

# *Miss Congeniality*

*Shelly Laurenston*

## Rozdział 1

- Skąd bierzesz te pończochy, Doktoreczko? - Niles Van Holtz, Van dla przyjaciół i rodziny, warknął. Pończochy wyglądały jak wyciągnięte z jakiegoś filmu, z lat 40. z seksowną linią z tyłu każdej nogi. Mógł się założyć, że miała też podwiązki. Rety, ta kobieta sprawiała, że wariował i nawet tego nie zauważała.

Zimne, brutalnie blade oczy skierowały się na Vana. - A, tak, - westchnęła. - Niles Van Holtz. Moja noc na tej dobroczynnej imprezie nie byłaby kompletna bez twojego ciętego dowcipu i ustawicznej obsesji na temat mojej bielizny.

- Z jakiego innego powodu włókłbym się, z wszystkich możliwych miejsc, do tego przybytku nauki, jeśli nie po to aby cię zobaczyć?

Van znał wiele wrednych kobiet. Pochodząc z bogatego środowiska wypełnionego śmiercionośnymi drapieżnikami, były bardziej zaskoczony znajdując miłą kobietę niż wredną. Ale dr. Irene Conridge, posiadająca doktorat z kilku dziedzin i będąca od piętnastego roku życia stypendystką Oxfordu, sprawiała, że wszystkie wydawały się być słodkie jak miód.

Irene Conridge przez niektórych była uważana za cudowne dziecko. I rzeczywiście taka była. Ale w soczystym wieku dwudziestu pięciu lat zostawiła "dziecko" daleko za sobą.

Od chwili, w której Irene weszła na teren kampusu uniwersytetu, Van zapamiętał jej zapach i nieubłaganie ją tropił. Miała wtedy osiemnaście lat, a Van dwadzieścia. Myślał, że jest tylko kolejnym świeżakiem lub, jak jego kumple lubili to nazywać, świeżym mięsem. Ale wystarczająco szybko - kiedy zimno go spławiła, pozostawiając oniemiałego na środku Dziedzińca - zorientował się, że właściwie, to była zaproszonym profesorem. I do tego nie byle jakim. Uniwersytety Ivy League w całym kraju walczyły o nią. Ale, z nieznanых powodów, przyjęła posadę na tym małym, ale elitarnym uniwersytecie na obrzeżach Seattle w stanie Waszyngton. Odrzuciła Harvard, Yale, M.I.T., Berkley, Oxford...każde z nich.

Nikt nie mógł tego zrozumieć, ale Van tak. Po co iść na wielki uniwersytet z masą innych geniuszy, kiedy możesz przyjść do mniejszego i być Numerem Jeden w kadrze? Ponieważ Irene zdecydowała się na "mały", rządziła. Niczego jej nie odmawiano, dawano wszystko czego potrzebowała i ostro starali, alby utrzymać ją szczęśliwą. w zamian, Irene utrzymywała dobre imię uniwersytetu w kręgach akademickich, przyciągała uczniów błagających o dostanie się do szkoły, aby mogli zapisać się na jej zajęcia - dopóki naprawdę nie wzięli udziału w jej lekcjach oraz sprawiała, że pieniądze wciąż pływały na konto. Ta kobieta nie była czarująca ale w jakiś sposób wyciągała forszę od kilku najbogatszych rodzin na północnym-zachodzie. Jego włącznie.

- Poza tym, mam obsesję tylko na punkcie twojej bielizny, Doktoreczko. - wiedział, że nie cierpi kiedy ją tak nazywa. - Powiedz mi, czy nosisz podwiązki pod tymi ubraniami?

- Tak. - bez ogródek odpowiedziała - Nie lubię rajstop. Uważam, że są zbyt krępujące.

Van nie mógł nic na to poradzić, znowu warknął. Wystarczająco, aby odwróciła się i spojrzała prosto na niego. - Czy ty właśnie na mnie warknąłeś?

- To było raczej mruknięcie.

- Fascynujące.

- Ja?

- Nie. Nie ty. Fakt, że dorosły mężczyzna może warknąć na podwiązki jest fascynujący. Jestem pewna, że któryś z działów psychologii znalazłby dla ciebie fascynujące badania.

- Kokietka.

Zmarszczyła brwi i nie było to spowodowane złością czy troską, ale głębokim zamyśleniem. - Jestem nią? Mówiono mi, że jestem zimna i dość zamknięta.

Van bardzo starał się nie roześmiać. Będąc szczerym, nie znał zimniejszej kobiety na planecie. Kobiety pierwotne, zamrożone w blokach lodu przez miliony lat były cieplejsze niż Irene. Ale wciąż... nie mógł dać jej spokoju.

Jego siostra, która kręciła się gdzieś na imprezie unikając każdego kto ją wkurzał, nie rozumiała jego obsesji na punkcie "prostej dziewczyny" jak zwykła nazywać Irene. Słyszał to już wcześniej. Irene nazywano "zwykłą" lub, jego ulubione, "nie oryginalną". Ale Van nie rozumiał o czym oni mówili. Ta kobieta była godna podziwu. Czarne, sięgające ramion włosy, kręcące się w niekontrolowany sposób sprawiały, z niewiadomych powodów, że ciągle myślał o wilgotnym ostrym seksie. Pełne usta, które widział w więcej niż jednym mokrym śnie na przestrzeni lat oraz królewski nos. Wysokie, zaokrąglone ciało, które ciągle chowała za nudną pruderyjnością i przyzwoitymi garsonkami w najnudniejszych kolorach, ale zawsze nosiła te seksowne pończochy i zabójcze buty. Ale to oczy go wykańczały. Widział takie oczy jak jej u wilków polarnych. Tak blade niebieskie, że wcale nie myślał o nich jak o niebieskich. Słyszał więcej niż jedną osobę nazywającą jej oczy dziwacznymi lub niepokojącymi, ale on mógłby patrzeć w te oczy przez wieczność.

- Mogę się założyć, że wcale nie jesteś zimna. Nie pod tym wszystkim.

- Właściwie to jestem. Oh. Jackie i ja mamy zakład. - wspomniała o swojej współlokatorce, Jaqueline Jean-Louis i byłym dziecięcym geniuszu muzycznym. Dwie kobiety znały się wzajemnie od lat i Jean-Louis uczyła w prestiżowym muzycznym oddziale uniwersytetu. Co Van uważał za fascynujące w całej tej znajomości, to to, że Jean-Louis była zmienną. A dokładniej szakalem. Zawsze zastanawiał się, czy Irene wie. Jeśli tak, nigdy tego po sobie nie pokazała. Ale nie byłoby to niezwykle, gdyby nie wiedziała. Wielu zmiennych przechodziło przez swoje życie z powodzeniem ukrywając kim naprawdę byli przed w pełni ludźmi otaczającymi ich. Było to ważne dla ich gatunku, aby utrzymać w sekrecie kim są naprawdę. W rzeczywistości, trudne wybory były czasami dokonywane z rozkazu, aby utrzymać tajemnicę.

- Naprawdę? - zapytał, biorąc kieliszek szampana z tacy przechodzącej obok.

- Tak. Jestem przekonana, że wierzysz, że jestem dziewicą i przez cały ten czas masz nadzieję mnie napastować.

Nie ważne co zrobił, nie mógł powstrzymać się przed wypluciem szampana.

\*\*\*\*\*

Zwyczajnie tego nie rozumiała. Przez już prawie siedem lat, ten mężczyzna uganiał się za nią. Na każdym charytatywnym wydarzeniu. Każdej imprezie uniwersyteckiej. Wszędzie, gdzie musiała się udać, aby wypełnić swoje obowiązki względem uniwersytetu, Niles Van Holtz tu był. On nie rzucał się na nią. Czekał, aż w jej głowie powstanie myśl, że zrezygnował a wtedy bum. Był tu. Zazwyczaj cicho za nią stawał i do jej ucha pytał o coś nieodpowiedniego. Można prawie rzec, że przychodziła oczekując tego.

Irene szukała przystojnej twarzy Van Holtza. A był przystojny. Wspaniały, właściwie, jeśli kierowałeś się zwyczajnymi standardami. Ciemne brązowe włosy, poprządkane białymi, czarnymi i szarymi pasmami prawie zakrywały jego oczy o dziwnym kolorze. Jakby złoto-bursztynowe czy coś. Tak naprawdę nie dbała o kolory, zostawiała taki rodzaj decyzji Jackie. Nawet teraz, sukienkę którą nosiła - blado srebrne...coś - wybrała dla niej jej przyjaciółka.

Van Holtz miał też raczej kwadratową szczękę i nos, który, mogła się założyć, miał skrzywienie przegrody, bazując na tym jak zakrzywiał się w prawo pod brwiami, oraz nienormalnie dużą szyję.

Tak, bardzo przystojny mężczyzna. I, prawdopodobnie, jeden z najbardziej aroganckich ludzi jakich spotkała. Na prawdę, jeśli miałaby ulokowane w nim jakieś uczucia, zostałaaby zmuszona do starcia go z powierzchni ziemi. Ale Irene miała bardzo niewiele uczuć ulokowanych w kimkolwiek. Jackie i chłopak Jackie, Paul, wystarczali jej jako inwestycja uczuć. I była z tego zadowolona.

Bardziej niż zadowolona.

Van Holtz oczyścił gardło. - Um...czemu sądzisz, że ma dla mnie znaczenie czy jesteś dziewicą?

Irene wzruszyła ramionami. - Tak się zachowujesz. Wyobrażam sobie, że prawdopodobnie lubisz, kiedy dziewczica mówi ci "Oh! Jesteś zbyt duży. Proszę, musimy przestać!" A ty odpowiadasz - zniżyła głos o kilka oktaw aby dopasować go do Van Holtza - "Nie martw się. Sprawię, aby było to dla ciebie miłe, słodka mała dziewczica dziewczynko."

Van Holtz gapił się na nią przynajmniej pełną minutę i Irene zaczęła się zastanawiać gdzie się włóczy Jackie. Zabrała ją ze sobą aby powstrzymywała ją do robienia rzeczy takich jak to. Mówienie czegoś, co przyniesie ogromne reperkusje finansowe. Rodzina Van Holtz dała uniwersytetowi masę pieniędzy i głupim przejawem szczerości, Irene mogła spowodować wyschnięcie tego źródła.

Ale wtedy Van Holtz odrzucił głowę w tył i śmiał się, szokując Irene i powodując, że wszyscy w pokoju obrócili się i patrzyli na nich. Oczywiście, Jackie nagle pojawiła się u jej boku.

- Co się dzieje? - szybko zapytała z miłym, sztucznym uśmiechem na twarzy.

- Nie jestem pewna, czy jestem wyśmiewana, czy rozśmieszam. - Irene powiedziała do przyjaciółki.

- Rozśmieszasz, Doktoreczko. - w końcu powiedział. - Przysięgam. Zawsze udaje ci się mnie rozbawić.

- Wiedząc to, czuję że moje życie jest teraz spełnione.

Jackie szarpnęła za jej włosy. Sygnał, że powinna się zamknąć, teraz.

Jak to się dzieje za każdym razem, kiedy Irene rozmawia z Nilesem Van Holtzem dwie osoby pojawiają się jeśli były w pobliżu. Jego starsza siostra, mniej niż przyjemna Carrie Van Holtz. I Farica

Bader. Kobieta jawnie zainteresowana Van Holtzem osobiście. Te dwie kobiety okrążyły ich, zerkając na siebie ostrożnie.

- Czy coś przegapiłam? - Carrie zapytała brata.

- Tak. Powiem ci później. - Te bursztynowe oczy skierowały się na Irene. - Po prostu spędzałem trochę czasu z moim ulubionym biofizykiem.

- Czemu? - jego siostra zapytała, a Irene musiała docenić jej prawdomówność. Oczywiście, Jackie tego nie zrobiła. Dała małe, ostrzegawcze warknięcie, które prawie spowodowało, że Irene się uśmiechnęła. Z wyjątkiem tego, że Irene się nie uśmiechała. Kiedy to robiła, czuła się dziwnie i niekomfortowo. Więc nigdy się nie fatygowała, chyba że złapała nieprzygotowanego ucznia.

- Van, - Farica oddychała ochryple, stając na palcach aby pocałować go w policzek. - tak mi cię brakowało na spotkaniu w ubiegłym tygodniu.

- Wybacz, Farica. - Van Holtz złożył szybki pocałunek na kostkach jej dłoni, ale jego oczy pozostały skupione na Irene. - Musiałem pojechać do San Francisco, aby sprawdzić nową restaurację.

- Myślałam, że twój ojciec zajmuje się takimi sprawami.

- Zazwyczaj tak. - wymruczał, jego oczy podążały w dół sukienki Irene i z powrotem w górę. - Ale ostatnio stał się wymagającym sukinsynem.

- Może rozważy emeryturę. - I nawet Irene mogła usłyszeć nadzieję w tym zimnym, kulturalnym głosie. Baderowie byli małą rodziną, ale najwyraźniej mieli nadzieję stania się potężniejszymi wśród elity Seattle. Powiązanie z Van Holtzami zagwarantowałoby to. Zwłaszcza małżeństwo. Ale, z tego co słyszała Irene przez te siedem lat, poprowadzenie Nilesa Van Holtza do ołtarza wymagałoby kilku wołów i całej masy łańcuchów. Ten facet nigdy nie zostawał z jedną kobietą przez dłuższy czas, ale mógł wracać co jakiś czas do swoich ulubionych.

Seks. To wszystko wiązało się ze współzyciem seksualnym. Coś, czego Irene unikała jeśli mogła. Jak powiedziała Van Holtzowi, nie była dziewicą. Dwa lata na M.I.T. zapewniły to. Ale nigdy jej się to nie podobało, a próbowała z kilkoma różnymi partnerami. Uważała cały proces za wstrętny. Miała silne przeczucie, że pewnego dnia będzie musiała wyjaśnić to Nilesowi Van Holtzowi, aby przestał patrzeć na nią jak na swój kolejny podbój. Pomimo tego jak przystojny był, pomysł bycia z nim nago, owiniętych dookoła siebie, nie robił nic poza sprawieniem, że czuła się chora. Nie chodziło konkretnie o niego. Chodziło o akt fizyczny sam w sobie.

Irene wzdrygnęła się tylko myśląc o tym.

Van Holtz zbliżył się, naruszając jej przestrzeń osobistą. - Jest ci zimno?

- Nie. - odpowiedziała prosto - Jestem zniesmaczona.

- Czemu? Zaglądałaś ostatnio w lustro? - skomentowała Farica.

Irene nawet nie mrugnęła. Była obrażana przez Faricę wcześniej i nigdy się tym nie martwiła. Kobieta miała swoje własne bolesne rozterki, krytykowanie Irene dawało jej trochę satysfakcji i Irene się o to nie złościła. Ale Van Holtz obrócił się do Farici Bader tak szybko, że kobieta postąpiła kilka kroków w tył tylko po to, aby wpaść na jego siostrę. Piekielny uśmiech na jej twarzy jasno wskazywał, że

Carrie Van Holtz byłaby szczęśliwa wrzucając Faricę do basenu pełnego rekinów, jeśli nadarzyłaby się okazja.

Ale Jaqueline, samozwańcza obrończyni Irene ruszyła do przodu, jej dłonie zwinięte w gotowe do walki pięści.

Z westchnieniem, Irene złapała ramię przyjaciółki i pociągnęła do tyłu. - Dalej, Jack. Chcę pokazać ci mój nowy komputer. W moim biurze. - Irene odeszła, Jackie za nią.

Nie fatygowała się, odwracając, żeby spojrzeć na Van Holtza lub jego siostrę. Jak z większością ludzi, zapomniała o nich kiedy tylko wyszła na korytarz, kierując się po schodach do swojego biura.

\*\*\*\*\*

- Nigdy więcej nie mów do niej ten sposób. - warknął Van. Gdyby byli na polowaniu, miałby teraz Faricę Bader na plecach, brzuchem do góry z jego szczękami zaciśniętymi dookoła gardła.

Jeśli myślała, że obrażanie Irene w jakiś sposób przybliży jej maleńką sforę do Vana była w wielkim błędzie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś tak przywiązany, Van.

- Nie jestem przywiązany. To było złośliwe. I bardzo niepotrzebne. Bijesz też kocięta?

- Jak śmiesz...

Carrie weszła pomiędzy nich. - Odejdź Faricia. Mój brat nie interesuje się tobą. A ja bardzo bym nienawidziła to, że musimy zmieścić twoją sforę dla, no wiesz, zabawy.

Z ostatnim spojrzeniem, Farica obróciła się na, nie wartych swojej ceny, butach i pognała lizać rany.

- Powiedz mi, że nigdy z nią nie spałeś.

- Zwariowałaś? - Van postawił swój pusty kieliszek na kolejnej przemieszczającej się tacy. Fakt, że te tace były przyczepione do ludzi ledwo zauważał. - Ta kobieta pragnie tylko jednego. I jest to oznaczenie i sparowanie z Van Holtzem. Prędzej odgryzłbym sobie ramię.

- Jestem szczęśliwa, że to słyszę. Ale - i Van wiedział, że zaraz nastąpi jedna z tych bolesnych rozmów z jego starszą siostrą. - chcę kiedyś zobaczyć cię z partnerką, szczęśliwego. Tak jak ja. Ale raczej nie z Irene Conridge.

Van parsknął - Partnerstwo? Z Irene? Czekaj. Pozwól mi to przeformułować. Partnerstwo? Z kimkolwiek? Nigdy się nie zdarzy, siostrzo.

- Nie masz zamiaru uczynić kogokolwiek swoim?

- Jezu, co za bzdury mama i tata ci wcisnęli. A ty to kupiłaś. Myślałem, że jesteś trochę mądrzejsza. - Pomysł, że ugryzienie kobiety czyni z niej twoją na wieki, wykluczając każdą inną wolną dupeczkę, wydawała się śmieszna. Van nigdy nie wierzył w żadną z tych historyjek wilczyc. On po prostu miał za dużo rozumu. I nie tylko, ale nigdy nie chciał stracić dostępu do masy kobiet. Czemu miałby? Jeśli

były tu mokre i gotowe, będzie je pieprzył. W pewnym sensie widział w tym swój cywilny obowiązek...tak, był tak dobry.

- Aby odpowiedzieć na twoje pytanie, nie. Nie planuję nikogo naznaczyć - i tu zrobił w powietrzu cudzysłów, - "jako swoją". Mam za dużo rozumu, żeby to sobie zrobić.

- Okej. Ale miałbyś tatę z głowy, gdybyś był z kimś sparowany.

Oboje z rodzeństwa zauważyli, że ich ojciec stał się dużo mniej przyjemny w ostatnim roku. Zręczliwość nie dodała do jego temperamentu ani trochę sprawiedliwości. Mężczyzna stale naciskał na Vana, a Van nie wiedział czemu. Może stary wilk chciał odejść na emeryturę. I to byłoby w porządku. Zasłużona władza nad biznesem i sforą, a Van byłby bardziej niż szczęśliwy ją dostając. Ale życie było zbyt krótkie i szalone, aby bawić się w te barbarzyńskie gry, gdzie młody wilk pokonuje starego. Byli Van Holtzami, do cholery. Byli cywilizowani, kulturalni i cholernie dobrze wyglądający. Jeśli staruszek chce walczyć, niech idzie się powłóczyć ze sforą Magnus albo, nawet lepiej, Smith. Ta sfora rodziła tylko mężczyzn alfy i, można się domyśleć, walki odbywały się cały czas.

Van, jednak, lubił swoje życie takim jakim było. Świetne interesy, umiejętność zmiany w wilka kiedy tylko najdzie go ochota, możliwość podróżowania gdziekolwiek zechciał, i nadmiar kobiet do jego dyspozycji. Czemu miałby to zamieniać na cokolwiek lub kogokolwiek?

Właściwie, nie zamieniłby tego na nic.

- Cóż, cokolwiek zrobisz, może byłoby lepiej, gdybyś trzymał się z dala od Conridge. Ona nie wygląda na zainteresowaną.

- Prawda, opiera mi się. Ale ją zdobędę. Jak wtedy, kiedy goniliśmy tego łosia w Kanadzie. Zajęło to nam dwa dni, ale się udało.

Jego siostra westchnęła. - Zaczynam się martwić o twój gust, mały braciszku. Ona jest...dziwna.

- Jest dziwna, ponieważ jest genialna. - Skierował się do wyjścia w którym zniknęła kobieta. - W tym momencie, dyskutuje o rzeczach, których ty i ja moglibyśmy nigdy nie pojąć.

\*\*\*\*\*

- Na pewno mogłabym stworzyć świetlny miecz.

- Nie mogłabyś stworzyć świetlnego miecza.

- Mogłabym. To wszystko nauka.

- Myślałam, że bycie Jedi było mistyczne.

Irene parsknęła. - Mistyczne, dupa. Tu chodzi tylko o naukę.

Otwierając drzwi do jej gabinetu, Irene weszła do środka z Jackie zaraz za sobą.

- Przykro mi za to, kochanie. - Jackie westchnęła.

Irene mrugnęła. - Za co?

- Za to co powiedziała Farica Bader.

Marszcząc brwi, Irene patrzyła się na przyjaciółkę.

- No wiesz, - kontynuowała Jackie - Farica Bader? Która kilka minut temu obraziła cię?

- Oh, tak. Ona.

- Jak ty to robisz? - Jackie zapytała z uśmiechem.

- Robię co?

- Nie pozwalasz rzeczom dotrzeć do siebie? Mam na myśli, że nienawidzę tej kobiety.

Irene wzruszyła ramionami. - Czemu ją nienawidzić? To wymaga emocji, które zabierają czas w moim harmonogramie. Wszystkie Farici Bader na świecie mogą mówić co tylko chcą. Ale w końcu wszystkie wracają do swojego małego, nic nie wartego życia, podczas gdy ludzie tacy jak my jadą, aby występować przed królami i królowymi Europy lub produkują rzeczy zmieniające rzyce. Ona jest dla nas bez znaczenia. Oni wszyscy są.

Jackie gapiła się na nią przez kilka chwil i Irene podziwiała jak piękna była Jackie. Wręcz oszałamiająca, z brązowymi oczami w kształcie migdałów po rodzinie matki i naturalnie brązowo-blond włosami po rodzinie ojca.

- Kocham cię, Irene. - powiedziała w końcu Jack.

Zaskoczona, Irene zapytała - Naprawdę?

- Oczywiście, że tak. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i jesteś niesamowita. Nie wiem co bym bez ciebie zrobiła w ciągu tych ostatnich kilku lat.

- A więc jest nas dwie, siostró. Ale teraz masz Paula.

- Taa, myślę, że tak. Ale ostatnio dziwnie się zachowuje.

- Jest w tobie szaleńczo zakochany i próbuje sobie z tym poradzić. Daj mu tydzień lub dwa.

Jackie zaśmiała się. - Jesteś aż tak pewna, Doktor Conridge?

- Oczywiście. Kiedy się pomyliłam?

Wciąż śmiejąc się, Jackie wstała i ruszyła ku drzwiom.

- Gdzie idziesz?

- Do łazienki.

- Idź do tej na dole. Ta po prawo jest w remoncie.

Jackie stanęła w progu, gapiąc się na prawie zniszczony korytarz. - Kiedy mają zamiar to skończyć?

- Niewystarczająco wcześnie. - powiedziała Irene, uruchamiając swój komputer. Szansa na to, że wróci na bankiet wyraźnie się oddaliła w momencie, w którym jej nowa maszyna się włączyła. - Sześć



razy kłóciłam się z majstrem o hałas. Nigdy się nie dowiem, jak właściwie chcą ode mnie skończenia pracy przy tym całym łomocie.

Jackie weszła z powrotem do biura. - Hej. To było w twojej skrzynce. - Podała Irene kopertę z dziekanatu.

- Świetnie. - mruknęła Irene, bojąc się, że kolejny student złożył skargę za to, że doprowadziła go do płaczu. Słabość. Testowała słabość.

Rozdzierając kopertę, Irene szybko zerknęła na list, wyjęła go i przestudiowała. Poczwała kolor - co to był za kolor - wpływający na jej twarz. - Uh oh.

Znów Jackie weszła do biura. Biedna, nie mogła udać się do ubikacji, aby czegoś nie stracić. - Co się stało?

- Potrzebują dostępu do laboratorium w przyszłym tygodniu.

- Więc? - Wtedy oczy Jackie się zwęziły. - Irene, powiedz mi, że zajęłaś się tą maleńką sprawą, o której dyskutowaliśmy.

- Um... - Irene wypuściła powietrze. - Nie do końca.

- Irene!

Podniosła otwartą dłoń. - Nie martw się. Zajmę się tym jutro. Będzie idealnie. To sobota. Niewielu uczniów tu będzie i będę mogła się ich pozbyć jeśli okaże się to konieczne. - Kiedy Jackie tylko jej się przypatrywała, Irene kontynuowała. - Przysięgam. Całości jutro już nie będzie.

- Lepiej, żeby tak było. - Jackie wypadła z biura, ale tym razem nie musiała się nagle wracać.

Irene odwróciła się do komputera, weszła na dysk C i otworzyła pliki zawierające dane o Projekcie Terminacja. Niemądrze trzymała te dane, myśląc, że może ich później potrzebować. Trudno było pozbyć się czegoś nad czym się tak długo i ciężko pracowało. Ale teraz, kiedy wiedziała co to może zrobić... Jackie miała rację. To wszystko musi zniknąć. Wpisała "delete c:/Projekt Terminacja" i wcisnęła Enter.

Uwolniła westchnięcie, że choć tyle zostało zniszczone, Irene oparła się na krześle, ale skrzyknięcie za drzwiami zmusiło ją do wyprostowania. Okej. Teraz popadła w paranoję...czy nie?

Usłyszała kolejny dźwięk i wstała, kierując się w stronę drzwi. Spojrzała w obie strony, ale nic nie zobaczyła. Kolejny dźwięk z końca korytarza spowodował, że całe ciało Irene się spięło. Rozejrzała się dookoła i zauważyła, że nie ma czym się bronić, jeśli byłoby to konieczne. Poruszając się szybko, podeszła do narzędzi leżących na podłodze i podniosła pierwszą rzecz jaką zobaczyła.

Powoli zbliżyła się do obszaru będącego w budowie, starając się nie wydawać dźwięków. To mogła być jej wyobraźnia, ale wyczuwała tu kogoś. Za stosem drewna. Absurdalne, oczywiście. Minęło kilka lat od kiedy jej rząd czy jakkolwiek rząd ją ścigał. Zaczęli tracić zainteresowanie nią, kiedy zajęła się nauczaniem, zamiast pracą dla jakiejś opłacanej przez rząd firmy produkującej broń biologiczną. Nadal, gdyby ktoś dowiedział się o jej małym wytworze, Irene nie miała wątpliwości, że posłużyliby się swoimi metodami, aby zdobyć choć próbkę.

Irene zatrzymała się. Agenci rządowi zawsze mieli broń. Miała tę małą belkę... właściwie kiedy jej legendarna logika ją opuściła? Prawda, że miała w plecaku własną broń, samoróbkę, ale nie mogła tego użyć przeciwko pistoletom. Nie, musiała złapać Jackie i uciekać. Poza tym, to mogła być tylko jej wyobraźnia, lepiej się upewnić niż potem żałować.

Tak jak do tej pory, nikt nie wiedział o jej projekcie i nikt się nie dowie. Już ona się upewni.

- Wszystko w porządku Doktoreczko?

Bez zastanowienia, instynktownie, Irene obróciła się i zamachnęła, lokując belkę prosto w twarz Nilesa Van Holtza. Uderzyła go tak mocno, że jego głowa uderzyła w przeciwległą ścianę, a potem uderzyła w podłogę.

- Oh... oh, to będzie straszne. - Zabiła Van Holtza. Przystanęła za nim, a jej umysł szybko przedostał się przez wszystkie książki prawne, jakie przeczytała w ciągu lat, szukając jakiegokolwiek drogi do udowodnienia, że to była samoobrona.

- Co do cholery.. Irene, co zrobiłaś?

Irene spojrzała w górę. - On skradał się za mną. - odpowiedziała spokojnie.

Jackie przykucnęła obok bezwładnego ciała Van Holtza. - Rozszczepiłaś mu głowę.

- Kilka szwów. Może jakieś uszkodzenia mózgu, ale żadne, których byśmy nie zauważyli. - Przyłożyła palce do jego gardła. - Ma puls. Są duże szanse, że przeżyje.

Wzdychając, Jackie spojrzała na nią. - Emocje, których powinnaś doświadczyć, to żal, zmieszanie i odrobina winy.

Od kiedy się spotkały, Jackie pozostawała "tą emocjonalną" a Irene "tą logiczną". Jackie miała wrażliwość artystki. Nie miała żadnej kontroli nad swoimi uzależnieniami lub skłonnością do agresji. Irene nie rozumiała ludzkich uczuć i dawno przestała próbować je zrozumieć. Większość małych dziewczynek po przewróceniu się w parku i zdarciu kolana, płakała. Irene analizowała co spowodowało jej upadek i dlaczego, właściwie, jej kolana tak bardzo boją. Potem analizowała pęd, który spowodował takie uszkodzenie.

- Wina? - zapytała. - Za co? To była samoobrona.

- To nigdy nie przejdzie w sądzie.

- Cholera. - Naprawdę myślała, że się uda.

- Powiedz mi, co się stało.?

- Myślałam, że coś słyszę.

- Bo tak było. Ja też to słyszałam.

Dwie przyjaciółki gapily się na siebie, potem Jackie zarzuciła sobie ramię Van Holtza na szyję. - Zrobimy tak. Ja go zabiorę do jego rodziny. Ty zabierzesz stąd to gównno, dzisiaj.

- Tak, ale...

- Żadnych ale, Irene. Zabierz to dzisiaj. Jasne?

Irene skinęła głową, zdając sobie sprawę z tego, że musi odsunąć swoje ego na bok, kiedy trzeba. - Dobrze. - Nie musiała pomagać swojej przyjaciółce w podniesieniu wciąż nieprzytomnego Van Holtza.

- Wiesz co z tym zrobić?

- Zostaw to mnie. - Irene skierowała się z powrotem do biura. - Mam plecak w samochodzie i trochę zapasowych ciuchów. Przebiorę się i wtedy zabiorę to stąd.

Jackie ruszyła w dół korytarza. - Widzimy się na godzinę?

- Tak. Idealnie.

Irene zamknęła drzwi biura i wyciągnęła torebkę, którą trzymała na wszelki wypadek lub pracę do późna. Nic fantastycznego, tylko T-shirt, jeansy i adidasy. Ale idealne, do tego, co musiała zrobić.

Wciąż pozostawało pytanie... Czy pozbyć się wszystkiego? Czy naprawdę byłoby źle, gdyby zostawiła tylko odrobinę? Tylko w celach naukowych, oczywiście.

\*\*\*\*\*

Nim Van otworzył oczy, zdał sobie sprawę z dwóch rzeczy. Po pierwsze, siedział koło samochodu. Po drugie, jego siostra była wkurzona.

Przysunąwszy rękę do swojego biednego czoła, Van zmusił się do otwarcia oczu i rozejrzał się. Jak się domyślił, jego plecy były oparte o rodzinną limuzynę, podczas gdy jego siostra odrywała głowę samicy szakala.

- Gdzie jest ta mała zdzira? Zabiję ją własnoręcznie!

Wyglądało na to, że mowa jego siostry nie zaimponowała szakalowi. - Zbliżysz się do mojej przyjaciółki, a osobiście rozerwę twoje gardło.

- Oh, naprawdę? - Carrie weszła w przestrzeń szakala i Van wiedział, że musi się odezwać zanim sytuacja zacznie się pogarszać.

- Carrie. Skończ już.

Natychmiast jego siostra pojawiła się przy jego boku. - Wszystko w porządku?

- Myślę, że powinnaś zawieźć mnie do domu. Myślę, że doktor Vasquez będzie musiał zszyć moją głowę na noc. - Zostaw szwy na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, a skóra zregeneruje się nad nimi. Dylemat posiadania naprawdę szybkiego metabolizmu.

- Okej. - Carrie złapała jego ramię, pomagając mu wstać.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

Samica szakała wzruszyła ramionami. - Nie jestem pewna. Ale klóciłam się z nią przynajmniej piętnaście minut.

- Z nią?

- Potrzebne szwy. - upomniał Carrie, zanim zdążyła coś wyolbrzymić.

Z wkurzonym chrząknięciem, Carrie pomogła mu wsiąść do limuzyny i wsiadła zaraz za nim. Zamknęła drzwi, patrząc na zmieniającego się szakała.

- Gdzie jest Irene? - zapytał.

- Ta suka nie chciała mi powiedzieć. Ale zaufaj mi, kiedy mówię, że chciałam się dowiedzieć. - Jego siostra obróciła się na siedzeniu i spojrzała na niego. - Nie jesteś zły, prawda?

Jak mógłby być zły na kobietę z tak świetnymi instynktami? - Przestraszyłem ją, a ona zareagowała. Nie rozdmuchuj tego do nieprawdopodobnych rozmiarów.

Jego siostra rzuciła mu wkurzone spojrzenie i usadowiła się z powrotem na siedzeniu. - Świetnie. Nie będę. Chcesz to odpuścić, twoja sprawa.

\*\*\*\*\*

Irene zatrzymała samochód na poboczu i wysiadła. Złapała za swój plecak i założyła na ramiona. Zmierzała do jednej z najbogatszych dzielnic w mieście, jakieś piętnaście minut od uniwersytetu. To miało najwięcej sensu ze wszystkich możliwości, a ona nie musiała się martwić o faunę i florę. To, co stworzyła, robiło szkody tylko jednej rzeczy...ludzkiemu ciału. Dla wszystkich innych rzeczy - zwierzę, roślin, drzew, insektów - przypominało pożywkę. Jak jej dobre intencje mogły pójść tak bardzo źle, Irene nadal nie wiedziała.

Po ruszeniu, Irene skierowała się prosto do lasu i szła. Znała trochę teren, ale tylko z map. Trzy rodziny, które żyły na tym obszarze, włączając Van Holtzów, nie mieli żadnych wydarzeń, które wymagałyby obecności kadry uniwersyteckiej. Irene nigdy nie była w środku żadnego z ich domów, ale nigdy o to nie dbała.

Irene szła, dopóki nie znalazła się niedaleko brzegu oceanu na terenie Van Holtzów. Idealne miejsce. Jeden z tych punktów pomiędzy majątkami rodzin Van Holtz, Löwe i Dupris. Jedna z najstraszniejszych rodzin jakie spotkała Irene. Ale ich pieniądze były zielone i dobroczynne, więc prowadziła swobodne pogawędki, kiedy było trzeba, nawet jeśli jej skóra swędziała.

Decydując, że przeszła wystarczającą odległość, Irene zatrzymała się obok dużego, silnego drzewa. Założyła gumowe rękawiczki i ostrożnie wyjęła swoją miksturę z plecaka. Trzymała to w specjalnym tytanowym pojemniku, który precyzyjnie odkręciła, a potem wylała cały płyn na drzewo. Irene poczekała i nie mogła się powstrzymać od uśmiechu, kiedy zobaczyła na gałęziach pączki rwące się do życia. Poza sezonem.

Zakręciła pojemnik i włożyła go z powrotem do plecaka. Potem wyjęła termos z wodą z kranu i wylała ją na swoje gumowe rękawiczki. To zmyje jakieś nadprogramowe resztki. Irene potrząsnęła głową. Rząd nie mógł marzyć o lepszej broni.

Ignorując odrobinę winy, która zagnieździła się z tyłu jej głowy, spowodowaną jakimiś 300 gramami ukrytymi w jej biurze, Irene schowała termos do plecaka razem z gumowymi rękawiczkami.

Zapinając plecak i umieszczając go z powrotem na plecach, Irene wstała, jednak zamarła w swojej pozie, kiedy usłyszała dźwięk złamanej gałązki.

Mrugając, patrzyła w ciemność, ale nie mogła nic zobaczyć. Mogła jednak coś wyczuć. Coś odcinało jej drogę powrotu do samochodu. Skanując swoją pamięć, przypomniała sobie mapę, którą oglądała jakieś siedem lat wcześniej, kiedy się tu przeprowadziła. Jakąś milę dalej był dom rodziny Löwe. Nie mogła ryzykować pójściem do Van Holtzów będąc potencjalnym zabójcą ich pierworodnego syna.

Kontrolując swój strach i odruch uciekania jak mała dziewczynka, Irene zrobiła mały krok do tyłu, a potem jeszcze jeden. Poruszając się tylko na wycucie, Irene wiedziała, że będzie musiała uciekać... od czego, nie wiedziała. Ale była pewna, że musi.

Więc obróciła się na piętach i pobięła w kierunku przejaśnienia, ale wpadła w poślizg, kiedy jej stopy dotknęły mokrego błota.

Irene patrzyła jak to podnosi swoją głowę znad zwłok łosia, twarz pokryta krwią. Patrzyło na nią, a ona szybko przekopywała swój mózg, żeby to zidentyfikować.

Hiena. Irene przelknęła i zrobiła ostrożny krok w lewo. Będzie się kierowała na terytorium Van Holtzów, ale spotka rodzinę Nilesa Van Holtza i będzie pod zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci.

Irene zrobiła kolejny krok i kolejny, ostrożnie się poruszając. Złapała za paski plecaka, gotowa go zerwać. Jest tylko jeden z nich. Mogła jednego pokonać. Jest tylko jeden, powiedziała do siebie.

Przynajmniej tak myślała, dopóki drugi nie wpadł na nią z prawej, łapiąc za jej plecak i okręcając ją jak lalkę. Potem nią rzucił, a to drzewo zmierzało do niej nieznośnie szybko...

## Rozdział 2

- Zatrzymaj się. - mruknął Van.

Siostra położyła mu dłoń na plecach. - Będziesz wymiotował?

- Nie. - Limuzyna zatrzymała się i Van wysiadł.

- Van, co się stało?

Ścierając z oczu wciąż sączącą się krew, Van popatrzył na bardzo stare Pinto.

- Więc? - siostra domagała się odpowiedzi.

- To samochód Irene. - Pamiętał to dokładnie. Raz prawie go nim przejechała. Wtedy mówiła, że to był wypadek, ale on nigdy nie uwierzył w jej uśmiech, kiedy to mówiła.

Van rozejrzał się, wachając powietrze.

Carrie wzruszyła ramionami. - I? To jej wóz. I co? Chcesz go podpalić?

Ignorując pytania siostry, Van spojrział na nią. - Spójrz, gdzie jesteśmy.

Carrie rozejrzała się i skierowała spojrzenie na las. - O, Boże. Rubikon.

On już ruszył, część jego ciała przemieniała się, kiedy przechodził przez ulicę. - Wezwij sforę.

- Ale Van...

- Zrób to! - było ostatnią rzeczą, którą mógł jej powiedzieć, zanim przemienił się w całości i skoczył między drzewa za Irene. Jeśli przekroczyła Rubikon, mogło być już za późno. Ale nie mógł o tym myśleć. Musiał się do niej dostać. Musiał przynajmniej spróbować.

\*\*\*\*\*

Irene mocno uderzyła w drzewo, ale obróciła się na czas, więc uderzyła w nie tyłem. Wylądowała na twardej, nieustępliwej ziemi, a szczęki, silniejsze od wszystkich innych drapieżników na tej planecie, zszarpały jej plecak, odrzucając go na bok. Potem to przyszło po nią.

Krótkie, stępione pazury uderzyły w jej plecy, przedzierając się przez jej T-shirt i rozrywając miękką tkankę ludzkiego ciała. Skupiając się na jednym celu, Irene próbowała wydostać się spod hieny, ale kły zwierzęcia złapały resztki jej koszulki i pociągnęły ją z powrotem, rzucając prosto w środek obszaru karmienia.

Więcej z nich wyszło zza drzew w jej kierunku. Wydawali dziwny odgłos śmiechu, kontaktując się między sobą. Nie spieszyli się. Nie musieli. Wszyscy wiedzieli, że im nie uciekniesz.

Irene poczołgała się do tyłu, przedostając nad resztką łosia, na którym się pożywiali. Jej myśli galopowały szukając czegokolwiek co pozwoliłoby jej zachować twarz i większość członków nienaruszonymi.

Szybko skanując okolicę, Irene zauważyła swój plecak. Jeśliby tylko mogła się do niego dostać...

Ale hieny musiały zauważyć kierunek w którym patrzyła. Jedna z nich ruszyła na Irene z rozwartymi szczękami. Ale zanim mogła się na nią rzucić, złota plama zaatakowała ją z boku. Hiena przeturlała się do tyłu i podniosła, starając się uniknąć ataku lwa. Lew nie miał zamiaru atakować. Uderzył hienę od niechcienia, najwyraźniej lubiąc polowanie. Kolejny lew dołączył i Irene zauważyła swoją szansę. Ale zanim mogła wykonać ruch, dziewięć lwic wyszło z innej strony lasu i ruszyło prosto na nią.

Irene znowu czołgała się do tyłu, panicznie starając się znaleźć rozwiązanie. Nie odpuściłaby. Potrzebowała czystego umysłu, żeby sobie z tym poradzić. Żeby przetrwać. Jej jedyny cel to przetrwanie.

Pojawiło się więcej hien, które zaatakowały lwice, utrzymując je z dala od Irene będącą, najwyraźniej, dzisiejszym daniem głównym.

Wiedziała, że ma tylko jedną szansę, z której skorzysta teraz lub skończy sprawdzając, czy któreś z wierzeń miało rację w sprawie życia pośmiertnego.

Na czworaka, Irene szaleńczo rzuciła się w stronę plecaka. Już miała go w rękę, kiedy kły zacisnęły się na jej boku i rzuciły nią w tył, prosto w sam środek walki. Upadła ciężko, turlając się, aby zapobiec złamaniom, trzymając w żelaznym uścisku swój plecak.

Wciąż się z nią bawili. Wiedziała o tym, ponieważ lwica, która ją złapała, mogła uszkodzić jej kręgosłup zamiast strategicznie ugryźć w bok. Nie chcieli jej zbyt szybko zabić. Bo gdzie w tym zabawa?

Skupiając się na zadaniu, Irene otworzyła plecak, wszędzie rozrzucając papiery, dokumenty i wydruki. Zignorowała to i złapała za coś co miała głębiej. Jej palce zacisnęły się na metalu, kiedy ostre kły wbiły się w jej udo i przeciągnęły ją w tył.

Wiedząc, że to jej ostatnia szansa, Irene poczekała, aż to coś zaciągnęło ją w róg, z dala od trwającej bitwy pomiędzy starymi przeciwnikami, a potem wypuściło. Zanim mogło znów ją złapać, albo rozerwać jakąś tętnicę, czy mózg, Irene obróciła się i uderzyła swoją robioną w domu bronią w jego gardło.

Niesamowite rzeczy mogą powstać, kiedy ktoś znudzony poczyta magazyny elektroniczne. Wtedy pomyślała, że skoro ktoś nazywający się Jack Cover może to zrobić, to czemu ona nie? Więc stworzyła trzy, nielegalne, takie jak ten. Takie, jak używali wszyscy policjanci w kraju. Ale ona uznała, te urządzenia za nudne. Więc zwiększyła napięcie na tych trzech najbardziej jak jej się udało. Zawsze trzymała jeden w torebce, na wypadek tych długich, późnych spacerów przez kampus, do samochodu, ale nigdy go nie użyła. Aż do teraz.

Irene nacisnęła przyciski z boków, które dodała do urządzenia. Kiedy stworzyła ten model, potroiła napięcie. I te zmasowane wolty właśnie przedzierały się przez jej napastnika.

Całe ciało hieny szarpnęło się w zaskoczeniu zanim zaczęło się dymić. Zapach palonej sierści sprawił, że Irene przestała przyciskać broń do jej gardła. Wyprostowała się, kiedy to potknęło się i przewróciło, nie przerywając przepływu, czy pozwalając urządzeniu odsunąć się od szyi.

Po sześćdziesięciu sekundach, uznała, że zrobiła wystarczająco i wstała, potykając się. Hiena nie przypominała nic więcej, poza zwęglonym i krwawym bałaganem.

Irene szybko przypomniała sobie, że jest ich więcej i obróciła się, trzymając broń przed sobą. Szorstki oddech wyrywał się jej z piersi i mogła poczuć krew spływającą po jej plecach i udzie, wsiąkającą w jeansy. Wszyscy patrzyli się na resztki martwej hieny leżące za nią.

Próbując kontrolować drżenie, wiedząc, że dla wszystkich zwierząt jest to przejaw słabości i jej zguby, krzyknęła, - No? Dalej!

Na początku nie ruszyli się. Patrząc na nią tymi zimnymi oczami. Była pewna, że mogli ją przejrzeć na wylot. Że mogli zobaczyć i wyczuć jej strach. Ale nie odwróciła wzroku i wolno się wycofywali. Wszyscy.

Utrzymywali wzrok na niej, jakby myśleli, że jest tak groźna jak oni i zrobili kolejny krok w tył. I kolejny. I jeszcze jeden. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, wszystkie lwy i hieny obróciły się i wbiegły między drzewa, kierując się na swoje terytoria.

Irene poczekała dopóki nie mogła ich już zobaczyć, czy usłyszeć, potem obróciła się i znów zamarła, zastanawiając się ile jeszcze da radę pociągnąć. Obserwowali ją nie mniej zimnymi oczami, ale bez strachu.

To musiała być cała sfora wilków. Uniosła swoją broń, tym razem nie mogąc powstrzymać drżenia, i czekała. Jeden z przodu ruszył, a ona obserwowała go, czekając na jakiś ruch.

Wykonał go, zmieniając się z wilka w człowieka. I nagle Niles Van Holtz szedł ku niej. Irene uniosła broń wyżej, do poziomu w którym powinna znajdować się jego wielka szyja, gdyby się zbliżył.

Van Holtz zatrzymał się i patrzył na nią. - Już dobrze, Irene.

- Muszę iść. - Irene zignorowała fakt, że teraz już całe jej ciało trzęsło się ze strachu i paniki i bólu. - Muszę pracować. Muszę wrócić do mojego laboratorium. Nie mogę zostać. Nie możesz mnie zmusić, żebym została.

- Irene, nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić. Przrzekam. Ale musisz mi zaufać i pójść ze mną, kochanie.

- Nie. Idę do mojego samochodu. Zostaw mnie w spokoju, Van Holtz. - Trochę szarpnęła domowym paralizatorem i kilka z wilków cofnęło się. Ale on nie. - Zrobię ci to, co zrobiłam jemu. - ostrzegła, wskazując na szczątki hieny. - Więc nie zbliżaj się do mnie.

- Oni nie odpuszczają, Irene. Wrócą po ciebie. Za nic nie dostaniesz się do swojego samochodu. Musisz iść ze mną.

Brzmiał tak rozsądnie. Brzmiał, jakby się przejmował. Ale o nią nikt nie dbał. Chcieli jej mózgu i tego, co mogła dla nich zrobić albo co stworzyć. Ale nikt - no, może z wyjątkiem Jackie - nie dbał o nią. A zwłaszcza Van Holtz.

Poza tym, musiała mu przyznać. Był uparty.

- Irene, wiem, że jesteś przestraszona, kochanie, i mogę ci wszystko wyjaśnić. Ale musisz pójść ze mną.

- Wyjaśnić? Co wyjaśnić?

- To co widziałas. O mnie.



Potrząsnęła głową. - Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Wiem o tobie wszystko, Van Holtz.

Wyglądał jakby był trochę rozbawiony tym co powiedziała. - Wszystko, co?

Skinęła głową i zanurkowała w to, co sprawiało, że czuła się bezpieczna i co ją uspokajało. Wiedza. - Sfora Van Holtz to potomkowie Holtzów z Galii. Barbarzyńców wykorzystanych przez osadników, aby nie pozwolili przejść przez Ren wojskom Cezara. Użyli oni pogańskich rytuałów, aby zmusić - wskazała na Sforę - was do tego. Użyli waszego rodu jako pewnego rodzaju bojowych psów. Ale kiedy to się skończyło, nie mogli kontrolować Holtzów. Nikt nie mógł. Skończyliście wśród Rzymian i odwróciliście się od osadników. Używając ich jak bydła do pożywania się, dopóki kościół Chrześcijański nie przejął władzy i nie tępił wszystkiego, co pogańskie. Wtedy, już Sfora Van Holtz, nawiązując do małżeństw włączających duńskie wilki, rozdzieliła się. Część opuściła Niemcy i zamieszkała w innych częściach Europy. Ewentualnie, skończyli na wybrzeżach Północnej Ameryki i na krótko osiedlili się w małym mieście o nazwie Smithville.

Do tej pory, prawie połowa Sfory zmieniała się w ludzi i wszyscy gapili się na nią zafascynowani. Zastanawiała się, jak wielu z nich nie znało nawet tych podstawowych informacji o ich własnej Sforze? Prawdopodobnie wszyscy.

W końcu, Van przemówił - Skąd...skąd to wszystko wiesz?

Irene wzruszyła ramionami, czując, że niekomfortowe byłoby wyjawienie nazwiska przyjaciółki obcym. Nawet zmiennym.

- Już wiemy, - rzuciła jego, teraz w ludzkiej formie, siostra - Jacqueline Jean-Louis. Możemy to na niej wyczuć.

Świetnie. - Tak, cóż, byliśmy na tym samym letnim obozie dla uzdolnionych dzieci - geniuszy - kiedy miałyśmy po trzynaście lat. Byłyśmy współlokatorkami. Przecięła sobie stopę, nie opatrzyła jej i wdała się infekcja. W nocy dostała gorączki, ale nie pozwoliła mi wezwać pielęgniarki. Po prostu poprosiła, żebym się nią zaopiekowała. Musiała się zmienić jakieś sześć, siedem razy. Następnego ranka opowiedziała mi o wszystkim.

- Ale skąd wiesz o nas? - dopytywała się siostra Van Holtza. To było w jakimś stopniu rozprasające, widzieć ich wszystkich nago, ale Irene o to nie dbała. Nadzy, ubrani...co za różnica.

- Jestem jednym z tych rzadkich okazów, które czytają książki, - odpowiedziała prosto. Jej kontrola wracała. - Znalazłam w bibliotece książkę o starych germańskich potworach. Ukrytą za masą innych książek. Cała była w łacinie, grece i trochę w pragermańskim.

- I zrozumiałaś to?

- Łacinę i grekę już znałam. Musiałam trochę posiedzieć, żeby odszyfrować rytm i strukturę pragermańskiego. To było całkiem fascynujące. - dodała.

Irene zauważyła, że opuściła ramię do boku i jej ciało już się nie trzęsło. Wzięła kolejny głęboki oddech i on też już nie był drżący. Wtedy zdała sobie sprawę, że Van Holtz miał rację. Musiała mu zaufać, bo hieny będą chciały ją dorwać za zabicie jednej z nich, a lwy, rozsądniejsi zmiennokształtni, będą chcieli jej śmierci, bo widziała za dużo.

- Pójdę z tobą do domu. - powiedziała mu. - Mogę zadzwonić do Jackie od ciebie, będzie się martwić.

Z wyraźną ulgą, Van Holtz skinął głową i wyciągnął rękę.

Irene zrobiła krok - nie mając najmniejszego zamiaru skorzystać z jego wyciągniętej dłoni - kiedy zdała sobie sprawę, że leży twarzą w dół na ziemi. Zanim wszystko stało się czarne, pomyślała: Ah, tak. Utrata krwi. Powinnam była to przewidzieć.

\*\*\*\*\*

Martwiły go jej rany. Płytkie zadrapanie na czole to nic w porównaniu z głębszymi uszczerbkami na jej piersi i udzie. Urocze, wciąż krwawiące, zadrapanie po jednej stronie twarzy, podbite oko. Jej palce były pozdzierane od pełzania po ziemi, kiedy próbowała uciekać. Wpakowałaś się w niezłą bójkę, moja mała Doktoreczko.

- Jesteś tego pewien? - zapytała go Carrie, blisko jego ucha.

- Tak. Jestem pewny.

- Hieny będą się domagały jej krwi, a suki będą chciały tylko jej śmierci. - Carrie niepotrzebnie przypomniiała.

- Zwołaj spotkanie z Dumą i Klanem. Coś wymyślimy, ale nie pozwolę im jej zabić.

Carrie skinęła głową, kiedy Van wstał z Irene bezpieczną w jego ramionach.

- I sprowadź dla mnie lekarza, - rozkazał, kiedy wchodzili między drzewa, kierując się na terytorium Van Holtzów. - wolałbym, żeby nie wykrwawiła się w środku nocy.

\*\*\*\*\*

To brutalne chrapanie ją obudziło. Jak jakikolwiek człowiek mógł spać przy tym całym hałasie? W sumie, Irene i tak nie miała zbyt twardego snu, więc wszystkie dodatkowe hałasy uważała za denerwujące.

Irene leżała w cudownym łóżku, na lewym boku, naga, i od razu zrozumiała czemu. Najmniejszy ruch wysyłał falę bólu przez jej układ nerwowy. Powoli przekręcając głowę, spojrzała na całe swoje ciało, ledwie okryte pojedynczym białym prześcieradłem. Niektóre części były zabandażowane - domyśliła się, że to aby chronić szwy, które mogła poczuć przy każdym ruchu. Cała reszta, nie będąca zabandażowana, obsypana była ślicznymi czarnymi i niebieskimi śladami. Dobrze, że nie dbała o swój wygląd, w innym przypadku prawdopodobnie by teraz szlochała.

Irene obróciła głowę w kierunku, z którego dochodziło chrapanie. Cholera. Van Holtz. Czy on na prawdę siedział przy niej całą noc? Nie mogła wykluczyć, że spał w swoim pokoju i przyszedł tu około piątej, żeby sprawiać takie wrażenie.

Jednak nie ulegało to wątpliwości, że uratował jej wczoraj życie i nie mogła tego zignorować. Podjął ryzyko, przynosząc ją do swojego domu i nie pozwalając innym jej zabić. Jakby to powiedziała Jackie: "To ta chwila, w której powinnaś czuć wdzięczność." I Irene była wdzięczna. Tylko kilku ludzi pomogło jej kiedykolwiek i była wobec nich lojalna. Ale wciąż, alternatywa bycia lojalną w stosunku do Van Holtza, wywoływała ciarki. Wiedziała, że ten facet wyciągnąłby z tego wszystkie korzyści, jakie by tylko mógł. Więc, będzie lojalna, ale nie będzie tego obwieszczać. Cicha lojalność też ma swoje korzyści.

Gapiła się na niego, śpiącego na krześle. Śpiąc, wyglądał prawie niewinnie. Ale nie był niewinny. Ani trochę. Ponieważ nawet przez sen się głupio uśmiechał. Kto się uśmiecha przez sen?

Miał na sobie tylko jeansy, nic poza tym. Od kiedy skończył uniwersytet, siedem lat temu, Irene widywała go tylko w garniturze. Czasami w oficjalnym stroju. Ale prawie nagi, z wyjątkiem pary jeansów...tak, to coś nowego.

A gdyby była szczerą do bólu - a kiedy właściwie nie była? - musiałaby przyznać, że to doświadczenie nie jest całkowicie uciążliwe. Posiadał wyjątkowe ciało. Może trochę zbyt duże, jednak jego mięśnie były ładnie zarysowane.

Jego ciało było jakby idealne, nawet jak na jej standardy. Długie i silne.

Rozglądając się dookoła i orientując się, że są sami, pozwoliła swoim oczom podążyć niżej, zastanawiając się, czy wszędzie jest tak duży. Najwyraźniej był. I, co fascynujące, to pozornie miało własną wolę. Patrzyła jak rośnie jej przed oczami. I potem zdała sobie sprawę, że na początku wcale nie miał wzrodu. Cóż, właściwie jak duże to jest? Czy to normalne, nawet jak na standardy zmiennych? I czemu nagle się tym przejmuje?

- Uh...Doktoreczko?

Przerażona, starając się tego po sobie nie pokazać, Irene spojrzała Van Holtzowi w twarz. A, tak, ten uśmieszek był stanowczo jeszcze gorszy.

- Szukasz tu czegoś szczególnego?

- Nie, - odpowiedziała szczerze. - po prostu jestem zafascynowana rozmiarem. Wygląda patologicznie obficie.

Van Holtz zamknął oczy. - Przez samą wolę, zignoruję to co powiedziałaś, ponieważ...cóż...to mnie wykańcza. I, zamiast tego, - pochylił się w krzesło, dokładnie obserwując jej ciało. - zapytam, jak się czujesz?

- Jakbym została pokiereszowana przez dzikie zwierzę.

- Będziesz się tym chwalić latami, prawda?

- Co, proszę?

- Jak często człowiek może powiedzieć, że nie tylko przeżył atak lwów i hien, ale dodatkowo zabił jedną z hien?

Irene skrzywiła się. - Wolalabym nie... - potrząsnęła głową, powoli przekręcając się na plecy, ciągnąc ze sobą prześcieradło, aby utrzymywało jej nagie ciało w jakiś sposób okryte. - Zabicie czegoś lub

kogoś kto, przynajmniej przez jakiś czas, posiadał ludzkie ciało nie jest czymś, czym bym się chwaliła, Van Holtz.

- Masz rację. Wybacz.

- Nie ma potrzeby przeproszać. Bazując na tym co mówi o mnie kadra i studenci, jestem pewna, że byłeś przekonany iż z radością zabiłabym kolejne stworzenie i powiesiła na ścianie.

- A nie?

- Tylko studentów, którzy mnie irytują.

Łóżko ugięło się i Irene powoli obróciła głowę, koncentrując się na mężczyźnie wyciągniętym obok niej. - Co robisz?

- Rozluźniam się.

Spojrzała się na niego, kiedy układał się na boku z głową podpartą na dłoni, i zmarszczyła brwi. - Czemu?

- Ponieważ mogę. - Uniósł fragment prześcieradła i zmierzył wzrokiem całą długość jej nagiego ciała.

- Nie masz nic przeciwko?

Irene zmarszczyła brwi, kiedy gapił się pod to prześcieradło. - Czy mam odbyć z tobą stosunek płciowy?

Prześcieradło wróciło na swoje miejsce, a Van Holtz powoli skupił wzrok na jej twarzy. - Przepraszam?

- Czy mam odbyć z tobą stosunek płciowy, ponieważ uratowałeś mi życie? Jako pewnego rodzaju zapłata za wyświadczoną usługę?

\*\*\*\*\*

To było coś w jej głosie, co powstrzymało go przed ponownym zerknięciem po to prześcieradło i kazało mu spojrzeć jej prosto w twarz. Nie żartowała. Nie próbowała go obrazić. Ona naprawdę pytała, czy musi zapłacić mu uprawiając z nim seks.

- Oczywiście, że tego nie oczekuję.

- Oh.

Czekał na coś więcej, co najwyraźniej nie miało nadejść.

- Możliwe, że powinniśmy się lepiej zrozumieć, Irene. Chcę cię. Od dłuższego czasu. Ale chcę uprawiać z tobą seks, kiedy oboje będziemy tego chcieli. Nie dlatego, że jesteś mi coś winna.

- Oh. Rozumiem. - Spojrzała na niego tymi intensywnie niebieskimi oczami i powiedziała tak niewzruszenie, jak jeszcze żadna kobieta do niego nie mówiła - Problem w tym, Van Holtz, że przetestowałam stosunek płciowy. Nie mam na myśli, że tego nie lubię. Albo, że mam złe

wspomnienia z tym związane i sama myśl sprawia, że czuję się niekomfortowo. Mam na myśli, że to przetestowałam. Uważam całą wymianę płynów ustrojowych w tę i z powrotem za odpychające. I nie mówię tylko o nasieniu. Mam też na myśli pot i ślinę. - Skrzywiła się odruchowo. - Liczba zarazków przechodzących pomiędzy dwojgiem ludzi podczas tego odebrałaby ci mowę. Poza tym, nienawidzę pocenia się. I nienawidzę bycia rozpraszaną. Ponieważ każdy powinien się skupiać podczas stosunku, bo moi partnerzy orientowali się, kiedy tego nie robię i zawsze byli obrażeni. Tak czy owak, zależnie od tego z kim akurat jestem, powinnam skupiać się na potrzebach jednej osoby, a, będąc szczerą, mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Van gapił się na nagą kobietę leżącą w jego łóżku. - Lubisz żyć w ten sposób? - musiał zapytać.

- Tak. Lubię. Prawdę mówiąc, nie rozumiem ludzi, którzy wdają się w związki. Są skomplikowane i bardzo często niesatysfakcjonujące. A potem jedynym wyjściem, aby pozbyć się tej drugiej osoby, są środki prawne.

- Związki to jedno. W tym akurat się z tobą zgadzam. Ale mówię o seksie. Nie masz...uh...potrzeb?

- Mam. Ale sama się tym zajmuję. Mam bardzo poręczny wibrator.

Van roześmiał się. Nigdy nie spotkał kobiety, która otwarcie, w rozmowie, przyznałaby, że lubi sobie dogodzić.

- Spójrz, jestem feministką, Van Holtz. Uważam, że nie ma nic złego, kiedy kobieta sama dba o swoje potrzeby fizyczne.

- Rozumiem.

Spojrzała na zabandażowany bok. - Czuję bardzo dużo szwów. Wiesz, widziałam kiedyś operację na otwartym sercu i mogę ci powiedzieć, że...

- Irene, - uciął, zanim mogła wpaść w monolog. - jestem wciąż w konwersacji na temat testowania seksu.

- Oh. Dobrze.

- Czy ta rozmowa jest dla ciebie kłopotliwa?

- Nie.

- Okej. - Van ułożył się wygodnie, obok Irene. Zazwyczaj, kiedy kobieta mówiła mu, że nie interesuje jej seks, on nie interesował się nią. I pomimo swojego zainteresowania seksem z Irene, uważał, że rozmowa z nią jest jakby...cóż...cytując ją samą, "fascynująca".

- Czy kiedykolwiek tęsknisz za seksem?

- Nie.

- A czy tęsknisz za przebywaniem wśród ludzi?

- Przebywam wśród ludzi. Mieszkam z Jackie.

- Prawda, ale mam na myśli, kogoś w twoim łóżku. Ktoś, kto cię obejmuje. A może ty i Jackie...uh...

Patrzyła na niego obojętnie i zdał sobie sprawę, że odpowiedź brzmi nie. Mógł odpuścić sobie tego rodzaju pokręcone fantazje. Najwyraźniej dr. Conridge nie lubiła "stosunku płciowego" z kimkolwiek. Mężczyzną czy kobietą.

- Jeśli masz na myśli lesbijstwo, to nie. Nie interesuję się też kobietami. Ale nie powinno ci być mnie żal. - nalegała spokojnie - Lubię swoje życie. Poza byciem kieraszowaną, jest całkiem proste i spokojne. I właśnie takie je lubię.

- Więc tylko to się liczy, Doktoreczko.

- Tak czuję. - podniosła na niego wzrok - To co zrobiłeś dzisiaj...wczoraj, mam na myśli. Naprawdę to doceniam. Wiem wystarczająco dużo na temat polityki zmiennych, aby wiedzieć, że nie zyskałeś sobie popleczników ratując mnie.

- Dam sobie radę. Ty tylko zdrowiej. Jest jakaś szansa na to, że zdradzisz mi czemu byłaś w tamtym miejscu?

- Nie. I wiesz, że nie muszę tu zostać.

- Tak. Musisz, Irene. Mam coś do załatwienia z rodzinami Löwe i Dupris, aby upewnić się, że nie będą cię ścigać. Dopóki sobie z tym nie poradzę, nie możesz odejść.

- Jackie...

- Jest bezpieczna. Spędziła tu noc i jest bardziej niż mile widziana. Dopiero co poszła do łóżka, około godziny temu, po przyglądaniu się każdemu ruchowi jaki wykonał lekarz.

Zamyślony, ostrożnie owinął prześcieradło dookoła jej ciała. - Dopilnuję, żebyś była bezpieczna, Doktoreczko. Obiecuję.

- Przepraszam. - powiedziała po chwili.

- Za co?

Irene wzruszyła ramionami, skrzywiła się, prawdopodobnie żałując tego ruchu, biorąc pod uwagę jaki ból spowodował. - Za to, że zawsze myślałam, że jesteś dupkiem.

Van wyszczerzył się. - Jestem dupkiem. A ty jesteś zimną suką. Ale to nie znaczy, że nie możemy być przyjaciółmi, Doktoreczko.

- Przyjaciółmi? - wzruszyła ramionami. - Nie mam nic przeciwko byciu przyjaciółmi. Mam tylko kilku z nich.

- Naprawdę? Z twoim urokiem osobistym?

- Ha, ha, Van Holtz. - prawie się uśmiechnęła.

Van zsunął się z łóżka, kierując do drzwi. - Przyślę jakąś wilczycę, aby pomogła ci dostać się do łazienki i zrobię ci jakieś śniadanie.

- Ty? Zrobisz mi śniadanie?

- Oczywiście. Tylko poczekaj aż spróbujesz moich gofrów, Doktoreczko. Zobaczysz niebo.

- Biorąc pod uwagę moje osobiste wierzenia, jakoś wątpię.

Van wyszedł na korytarz i zamknął drzwi. Kiedy przechodził obok pokoi jego rodziny, zobaczył jedną z wilczyc i kazał jej zająć się Conridge. Wyraz jej twarzy pasowałby, gdyby kazał jej stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Kiedy zszedł schodami w dół, zobaczył siostrę siedzącą na podłodze i czytającą gazetę. Usiadł obok i potrząsnął głową w zaskoczeniu.

- Miałaś rację.

- Z czym?

- Z Conridge. Nie wydaje mi się, żeby między nami miało się coś wydarzyć w najbliższym czasie.

Carrie poklepała go po ramieniu. - Ołała cię, prawda?

- Można tak powiedzieć.

- Przypomina mi komputer z "Obcego".

- Hm?

- No wiesz: "Statek zostanie zniszczony za pięć minut, rozpoczyna się odliczanie." To ona.

Van zachichotał. - Nie jest taka zła. Jest po prostu inna. Lubię ją. Prawdopodobnie zostaniemy przyjaciółmi. Co oznacza, że nigdy się z nią nie prześpię.

- Jesteś żaloszny.

- Tak. Tak. - powiedział, wstając i idąc do kuchni aby zrobić śniadanie dla całej Sfory i Irene. - Też cię kocham, siostrzyczko.

- Oh, właśnie, tata cię szukał.

Van zatrzymał się, natychmiast kręcąc głową. - Porozmawiam z nim później. Teraz sobie z nim nie poradzę. - Znów ruszył do kuchni, jego siostra zaraz za nim. - I złap za telefon. Chcę się spotkać z Löwes'ami i Dupris'ami tak szybko, jak to możliwe.

Podszedł do lodówki o przemysłowych rozmiarach i zaczął wyciągać z niej jajka i mąkę na ciasto. - Tak sobie myślę, że skoro nie będę jej pieprzył, to po co trzymać ją w moim domu?

Carrie westchnęła. - To urocze, braciszku. Jesteśmy z ciebie dumni.

- No wiesz... - Van się uśmiechnął - staram się.

### Rozdział 3

Irene podniosła wzrok znad książki leżącej na jej kolanach i wyrzała za okno wychodzące na wielki trawnik należący do posiadłości Van Holtzów. Przez prawie siedem dni cieszyła się luksusami bycia bogatym. I, żeby być całkiem szczerą, mogłaby się do tego łatwo przyzwyczaić. Chociaż, nikt nie był tak naprawdę przyjazny - poza samym Van Holtzem - byli uprzejmi.

Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, czuła się naprawdę odprężona. Nie mogła sobie nigdy pozwolić na wakacje, więc kiedy podróżowała, miała masę pracy, kiedy już dotarła na miejsce. Ale przez swoje obrażenia Irene nie mogła zbyt wiele zrobić. I, szczerze, Van Holtz nie pozwoliłby jej. Kiedy znalazł ją, w drugim dniu pobytu, wiszącą na telefonie z jej asystentem, myślała, że jego głowa eksploduje. "Czy to nazywasz odpoczynkiem?" dopytywał się wrywając jej z dłoni słuchawkę. Stoczyli nawet z tego powodu małą bójkę, ale kiedy zaczął unosić jej koszulkę - a nie miała nic pod spodem, z powodu szwów - wypuściła z ręki telefon. Potem miał tupet wyglądać triumfalnie, kiedy odwieszał słuchawkę.

Byłaby skrajnie wkurzona, gdyby nie uważała, że facet jest zabawny.

Irene obserwowała wiewiórkę schodzącą z jednego z tych wielkich drzew zaśmiecających teren. Zawsze uważała wiewiórki za całkiem fascynujące stworzenia. Ich sposób poruszania się zawsze ją trochę śmieszył. Podniosła coś z ziemi i szybko poruszała się w stronę drzewa. Ale, niestety, nie była dostatecznie szybka.

Irene skrzywiła się, kiedy pierwszy wilk dopadł wiewiórkę, wyrzucając ją w powietrze. Kolejny wilk przeskoczył nad głową pierwszego, łapiąc wiewiórkę w powietrzu i uciekając. Tamten stanął na dwóch łapach.

- Hej, Doktoreczko. - Van Holtz wcisnął się obok niej w za szerokie krzesło. Ten człowiek po prostu nie znał pojęcia przestrzeni osobistej. - Co porabiasz?

- Oh, tylko siedzę sobie przerażona.

- Przerażona? Czemu?

Dwa wilki wróciły na obszar widoczny z okna, teraz bawiły się rozszarpując to, co zostało z wiewiórki.

Van Holtz śmiał się, dopóki nie zagapiła się na niego, wtedy zdusił śmiech.

- Przepraszam. - wychylił się do przodu - Hej, wy. - Wilki przystanęły, patrząc się. - Idźcie się bawić gdzieś indziej.

Pobiegli i Van Holtz oparł się komfortowo, odpoczywając obok niej. Dopóki robił to z jej niezranionej strony, Irene nie kłóciła się. Wiedziała, że tylko by ją zignorował.

- Przepraszam za to. Tych dwóch dopiero zaczęło dojrzewać i odkryli jak się zmieniać.

- Rozumiem.

Zabrał jej z rąk książkę i spojrzął na okładkę. - Więc, wychodzę spotkać się z Löwe i Dupris. Nie mogę uwierzyć, że kazały mi tak długo czekać na to spotkanie, ale o to będę się kłócił, dopiero kiedy zapewnię ci bezpieczeństwo. Myślę, że będziesz mogła dziś wrócić do domu.



- To dobrze. - Zabrała mu książkę, względnie przekonana, że nie umiał czytać w starożytnym języku arabskim. - Lekarz powinien się niedługo zjawić, żeby wyjąć szwy. A Jack wpadnie i zabierze mnie do domu.

- Nasz kierowca może odwieźć cię do domu.

- Nie, dziękuję.

- Dobrze, - zagderał - bądź sobie trudna.

- Będę.

Van podniósł się z krzesła i pieszczotliwie podrapał głowę Irene. - Pogadamy później, Doktoreczko.

- Powodzenia. - powiedziała otwierając książkę - Pewnie będziesz go potrzebować.

\*\*\*\*\*

Van otwierał drzwi frontowe, kiedy głos ojca zatrzymał jego i jego siostrę.

- Gdzie idziecie?

Van wskazał siostrze, żeby wyszła i obrócił się, aby spojrzeć ojcu w twarz. - Spotkać się z Löwes'ami i Dupris'ami.

- W sprawie w pełni człowieka?

- Właściwie, to ona ma imię, jak wiesz. I, tak.

Jego ojciec zaczął się zbliżać, patrząc mu prosto w oczy. - Myślisz, że to mądre posunięcie, synu?

- To jedyne wyjście.

- Jesteś do niej przywiązany?

- Nie. Nie jestem. - Van uśmiechnął się. - Jest przyjacielem.

Jego ojciec uniósł jedną brew. - Przyjacielem? Od kiedy to, kobiety, nie spokrewnione z tobą, są twoimi przyjaciółmi?

- Od niej.

- Cóż, pośpiesz się. Kiedy wrócisz będziemy musieli się spotkać w sprawie interesów.

- Właściwie to muszę już...

- Czy powiedziałem cokolwiek, co pozwoliło ci uwierzyć, że to propozycja?

Van zacisnął zęby, włoski na karku stanęły mu dęba. Ostatnio nie mógł pozbyć się wrażenia, że ojciec go podpuszcza, ale nie mógł zrozumieć czemu. - Nie, ojciec.

- Więc zobaczymy się, kiedy wrócisz.

Kiwając, Van wyszedł na werandę.

- I nie zrób nic głupiego.

Van zacisnął pięści, ale postanowił iść dalej, zanim zrobi coś, czego będzie żałował do końca swojego życia.

\*\*\*\*\*

Irene poczuła na sobie ten wzrok na długo zanim podniosła głowę. Kiedy to zrobiła, przez chwilę zastanawiała się, czy wszyscy mężczyźni Van Holtz mają ten uśmieszek. I czy kobiety też?

- Doktor Conridge

Thumiąc swoje nagłe zdenerwowanie tym, że głowa rodziny Van Holtz i Alfa Sfory przemawia wprost do niej, odpowiedziała - Panie Van Holtz.

- Proszę, mów mi Dieter. - Usiadł na krześle naprzeciwko niej. - Więc jak się czujesz?

- Dużo lepiej, dziękuję. Dzisiaj mam usuwane szwy.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Mam nadzieję, że moja rodzina dobrze cię traktuje.

- Tak. Są całkiem uprzejmi.

Uśmiechnął się. - Uprzejmi?

Wzruszyła ramionami. - Uprzejmość jest dla mnie satysfakcjonująca. Naprawdę, nie oczekuję ani nie wymagam czegoś więcej.

- Rozumiem. A mój syn? Czy był... uprzejmy?

- Nie nazwałabym go uprzejmym...ale na pewno był miły.

- Lubi pani mojego syna, doktor Conridge?

Irene zamknęła swoją książkę i popatrzyła na starszego Van Holtza. - Nie żywię do niego niechęci. Ale dopiero od niedawna. Dawniej go nie lubiłam, ale jest bardzo miły od kiedy tu jestem. Więc teraz go lubię. Prawie można uznać, że panują między nami przyjacielskie stosunki...ale to prawdopodobnie przesada.

Zaśmiał się lekko. - Rozumiem. Czy zawsze jest pani taka...uh...

- Brutalnie szczerą?

- Chciałem powiedzieć bezpośrednio, ale brutalnie szczerą też może być.

Tak. Jestem. I wiem, że to wada.

- Wcale nie. Kocham szczerych ludzi.

- Wszyscy tak mówią...dopóki nie powiem czegoś, co im się nie spodoba. Wtedy jestem suką.

- Możliwe, że jeszcze pani tego nie zauważyła, doktor Conridge, - Powiedział Van Holtz, z tym wielkim uśmiechem na ustach. - ale w tym miejscu miasta bycie suką jest nie tylko akceptowane ale i oczekiwane. Więc...wygląda mi na to, że idealnie tu pani pasuje.

Dieter Van Holtz wstał. - Nie będę już przeszkadzał pani w czytaniu. I mam szczerą nadzieję, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie, doktor Conridge.

- Oczywiście, że nie. W grudniu odbywa się charytatywna gala, oczekuję, że będzie tam pan z książeczką czekową w dłoni.

- Oczywiście. - Tu znów pojawił się ten uśmieszek. - Ale oboje wiemy, że nie to miałem na myśli.

- Uh...naprawdę? - Ale dziwny mężczyzna już wyszedł.

- Genetyczne. - wymruczała Irene otwierając swoją książkę. - Najwyraźniej, niepoczytalność to ich skaza genetyczna.

\*\*\*\*\*

Van potarł czoło i próbował trzymać swój temperament na wodzy. Nie było to łatwe, kiedy jedyne czego pragnął to zdzielić jedną ździrowatą łwicę prosto w twarz.

- Więc co sądzisz? - warknął do Melindy Löwe.

- Sądzę, że nie można jej ufać.

- Melindo, ona żyje z szakalem od kiedy miała trzynaście lat. Dochowywała jej sekretu przez cały ten czas, czy naprawdę sądzisz, że Irene Conridge nagle postanowi złamać się i powiedzieć całemu światu?

- Przyjaciele to jedna strona medalu. Ale ona nie ma żadnego obowiązku chronić nas. I znasz moje zdanie o szakalach. Są jak afrykańskie dzikie psy. Nawet nie uważam ich za jednych z nas.

- To miłe.

- Nie wciskaj mi kitu, Van. Tak, jakbyś sam był ponad to. Wziąłeś tę kobietę tylko dlatego, że miałeś nadzieję ją przelecieć.

- Wciąłem ją, ponieważ nie uważałem za słuszne, że chcieliście ją zabić bo hieny postanowiły pobawić się z człowiekiem.

Clarice Dupris spojrzała znad filiżanki herbaty. - Dlaczego patrzycie na mnie? - zapytała niewinnie.

- To twoja wina. - oskarżyła Melinda. - Ale to nie zmienia faktu, że Irene Conridge nie może żyć. Wie za dużo i nie ma żadnego powodu, aby nas chronić.

Skubiąc ryżowe kruche ciastko, Clarice powiedziała lekko, - A gdyby została oznaczona? Jako partnerka?

Jeśli zmienny oznaczył i związał się z w pełni człowiekiem, człowiek uznawany był za "jednego z nas". Byli chronieni jak wszyscy zmienni, ale musieli być gotowi by walczyć z napastnikami lub chronić swoje młode.

Melinda zmarszczyła brwi. - Tylko kto ją oznaczy?

Vanowi zajęło minutę zauważenie, że wszyscy patrzyli na niego. Uśmiechnął się. - Co? Czy to wyzwanie, Clarice? Myślisz, że tego nie zrobię?

- Uh...Van? - Machnął ręką, by uciszyć siostrę.

- Co więc? - naciskał.

Clarice wzruszyła ostro ramionami. - Jedyne, co powiedziałam, to to, że ktoś mógłby ją oznaczyć. Nie powiedziałam, że to masz być ty.

- Oznaczanie kogokolwiek to bzdura i wszyscy o tym wiecie.

- Nie wiem, czy to bzdura, czy nie. - przyznała Melinda. - Jest to coś, co wy wilki najwyraźniej lubicie robić. Osobiście, lubię trzymać mężczyzn na dystans, dopóki nie mam ochoty się rozmnażać.

- My ciągle drwimy z naszych, - dodała Clarice. - dopóki nie zaczną płakać lub bić się między sobą. To nas bawi.

- Ale, - dodała Melinda. - jeśli to utrzyma twojego cennego człowieka przy życiu...

- ...a ty i tak nie wierzysz w oznaczanie...

- ...czy stanie się coś złego?

Myśleli, że się nie odważy. I, gdyby wierzył chociaż w cząstkę tego gówna, które jego rodzice chcieli wepchnąć mu w gardło przez ostatnie dwadzieścia siedem lat, nie zrobiłby tego. Ale Van nie wierzył. Jeśli chcieli mieć Irene Conridge oznakczoną, on ją oznaczy. A potem sobie odejdzie.

- Załatwione. - wstał. - Zawsze miło mi zobaczyć was dwie. - skłamał.

Kiedy tylko opuścili sklep herbaciany, jego siostra złapała jego ramię. - Czy ty oszalałeś?

Odgiął jej palce ze swojej ręki. - Przestać panikować. To nic. Ugryzę ją i odeślę.

- Jesteś takim...dlaczego ty...oh!

Han objął ramiona Carrie. - Skończ. Już dobrze. Wiem co robię.

- Nie, Van. Ten jeden raz gówno wiesz. - Znów na niego spojrziała. - I co, właściwie, sprawia, że jesteś przekonany, że Irene Conridge pozwoli ci się oznaczyć?

- To, że ta kobieta nie dba o to. Jeśli to jedyne, co utrzyma ją przy życiu, zgodzi się.

\*\*\*\*\*

- Po moim trupie, Van Holtz.

Irene wtargnęła do kuchni Van Holtza zatrzymując się na piętach.

- Jesteś nierozsądna. Jeśli to jedyne, co muszę zrobić, aby utrzymać cię przy życiu, co ci szkodzi?

Normalnie, zgodziłaby się z nim. Normalnie, obróciłaby się, odsunęła włosy z drogi i pozwoliła mu to zrobić. Potem wróciłaby do swojego życia, mając nadzieję, że go więcej nie zobaczy. Ale coś, nie wiedziała co, podpowiadało jej, że to byłby błąd. Błąd, którego nigdy nie przestałaby żałować.

- Nie.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteśmy. To dlatego mogę odpowiedzieć prosto i zwięźle, bez strachu. I odpowiedź brzmi stanowczo nie.

Van Holtz wydał z siebie jedno dramatyczne spojrz-przez-co-muszę-przechodzić westchnienie i oparł się o blat. - Irene, nie chcesz wrócić do domu?

- Oczywiście, że chcę.

- Więc daj mi dwie minuty i już cię tu nie będzie.

- Albo, mogę po prostu wyjść.

- I nie przeżyć nocy.

- Czemu cię to obchodzi?

- Złożyłem obietnicę.

- Tak. Złożyłeś. I szczerze to doceniam. Ale nie mam zamiaru tego zrobić. Albo pozwolisz mi tego zrobić. Po prostu odejść,

Irene zrobiła krok w tym i wtedy jego palce zacisnęły się na jej nadgarstku, zatrzymując ją. Próbowwała wyrwać z uścisku rękę, ale jej na to nie pozwolił.

- Ja nie żartuję, Van Holtz. Puść mnie.

- Ja też nie żartuję. Nie będę odpowiedzialny za twoją śmierć.

- Nie będziesz. Ja będę. Zwalniam cię od wszelkich zobowiązań w tej kwestii. Ale teraz puść mnie do cholery!

Znów szarpnęła ramię, a ten arogancki buc, warcząc, szarpnął ją do siebie. Trzaskając jego stopę swoją i wbijając mu łokieć w twarz, rozproszyła go na tyle, że udało jej się uwolnić i próbować uciec.

Ale był szybki. Jego wielkie ramię owinięło się dookoła jej talii i przyciągnęło ją do niego. Irene złapała się zlewu i trzymała.

Van Holtz też się nie poddawał. Pociągnął ją w tył i jej palce ześlizgnęły się. Zauważając patelnię na suszarce, Irene sięgnęła po nią. Już oberwał belką, więc patelnia spowoduje prawdopodobnie takie

uszkodzenia, że ona będzie mogła się uwolnić i uciec. Jej palce prześlizgnęły się nad metalową rączką i ślepo za to złapała. Van Holtz obrócił ją i Irene uderzyła, ale trafiła tylko w nogę.

Potem oboje zaczęli się na siebie gapić, oboje w szoku zanim spojrzeli w dół na jego nogę...i śliczny wielki nóż wystający z jego uda w drelichowych spodniach.

Przerażona, Irene odsunęła się. - Oh, mój...Znaczy... - Spojrzała w górę na najbardziej wkurzoną osobę, jaką kiedykolwiek widziała. - Przysięgam, Van Holtz. Przysięgam, że to był wypadek.

Van Holtz nie odezwał się, ale nie musiał. Wyraz jego twarzy mówił, że jej nie wierzy, a sposób, w jaki jego oczy zmieniły się z ludzkich na wilcze w ciągu jednego uderzenia serca, powiedział jej, że musi uciekać - w tej chwili!

Irene wykonała dziki bieg do drzwi, ale nie dostała się nawet do przeciwnego blatu zanim usłyszała warknięcie i głośny odgłos noża upadającego na kuchenną podłogę, wtedy te wielkie ręce kolejny raz zacisnęły się dookoła niej. Przycisnął ją do ściany, plecami do siebie, używając swojego ciała, aby przytrzymać ją w miejscu.

Próbowała się odepchnąć, ale jego kolano wciśnięte między jej uda, wytrąciło ją z równowagi, on użył swojej piersi, aby docisnąć ją z powrotem do ściany.

Irene wiedziała, że mogłaby go błagać, aby przestał. Dogadać się. Albo po prostu ładnie poprosić. Ale, z niewiadomych powodów, których nigdy nie zrozumie, postanowiła, że walka będzie lepszym wyjściem.

Warcząc, zsunęła swoją rękę niżej, do jego otwartej rany i wepchnęła w nią swoje palce. Najwyraźniej dźgnęła go całkiem mocno, ponieważ jej palce weszły głęboko, a Van Holtz ryknął z bólu. Mimo to jej nie puścił. Za to złapał ją za włosy i przekrzywił jej głowę na bok.

Zmusiła się do ostatniego wysiłku, aby go odsunąć, ale wielki skurwiel ani drgnął. A potem te kły zanurzyły się głęboko w jej ramieniu i Irene zapłakała z bólu.

W odwecie zanurzyła swoje palce jeszcze głębiej w ranie, ale te cholerne kły wbiły się w jej ciało jeszcze mocniej.

Po kilku dręczących i raczej bolesnych fizycznie chwilach, Van Holtz rozwarł szczęki i wypuścił ją w momencie, w którym wyjęła palce z jego rany.

Oboje dyszeli, Irene oparła głowę o ścianę, a Van Holtz oparł swoją o jej ramię.

Pomyślała, że dla dwojga ludzi, którzy szczycili się swoim opanowaniem, był to raczej tragiczny moment.

\*\*\*\*\*

W którym momencie stracił kontrolę? Kiedy dźgnęła go tym nożem? Tak. Tu się trochę wkurzył. Albo kiedy próbowała uciekać? Tak. To go trochę podenerwowało.

Ale przez żadne z tych nie przekroczył granicy. Niles Van Holtz stracił kontrolę kiedy powiedziała mu "nie".

Nie chodziło o ego. To było coś innego. Mógłby rzec, że trochę zraniło go, kiedy powiedziała "nie" z taką pewnością i odrobiną gwałtowności. Jakby zaproponował coś skandalicznego.

A kiedy go dźgnęła...przypadkowo czy nie, to zabrało resztkę kontroli jaką jeszcze miał. Jego wilk przejął nad nim kontrolę i wszystkim o czym Van mógł myśleć było oznaczenie jej. I tak zrobił.

Chryste, miał nadzieję, że nie zacznie nagle myśleć, że to cokolwiek zmienia. Że nagle zaczną się spotykać.

Ale oczywiście Van chwilowo zapomniał z kim ma do czynienia.

- Skończyłeś?

Chłód w tym głosie uderzył go, jakby właśnie się przemienił z wilka w człowieka przy temperaturze trzydziestu stopni poniżej zera.

Odsunął się od niej. - Tak. Skończyłem.

- Dobrze. - Odeszła od ściany i skierowała się do umywalki. Zmyła z dłoni jego krew, spokojnie wytarła je do sucha papierowym ręcznikiem, i poprawiła ubrania. - Domyślam się, że już jestem bezpieczna.

- Tak jak tylko możesz dopóki nie wejdiesz na ich terytorium lub zaczniesz gadać.

- Nie. Nie zacznę. Zatrzymałam sekret dla siebie przez tyle lat, nie mam zamiaru tego zmienić.

- Próbowałem to wytłumaczyć Melindzie Löwe, ale nie chciała słuchać.

- Niezbyt zaskakujące. Nigdy za mną nie przepadała. - Podniosła na niego wzrok i te lodowato zimne oczy nie powiedziały mu absolutnie nic. - Cóż...dziękuję za wszystko. Doceniam całą twoją pomoc w tej sprawie.

Van zmarszczył brwi. Czuł narastającą w środku wściekłość, która wcale mu się nie spodobała. Najbardziej nie spodobało mu się to, że wywołała ją kobieta. - Proszę bardzo. - powiedział najlżej jak potrafił.

Zrobiła krok ku wyjściu, ale zatrzymała się i spojrzała na niego. - Czy masz coś przeciwko pożyczeniu mi swojej bluzy? Upewnię się, że wróci do ciebie jutro lub za dwa dni. W tym momencie po prostu nie jestem w nastroju, aby rozmawiać o tym z Jackie, a zapach twojej bluzy mógłby mnie wytłumaczyć przynajmniej przez krótki czas.

- Tak. Jasne. - Van sięgnął w tył i uniósł część bluzy zanim ściągnął ją przez głowę. Strząsnął włosy z twarzy i podał jej ubranie. Patrzyła na niego chwilę, ale znowu nie mógł nic wyczytać.

- Dziękuję.

Wciągnęła kilka rozmiarów za dużą, czerwoną bluzę przez głowę, ale po kilku sekundach wyglądało, jakby zgubiła drogę, więc podszedł, pomagając jej przedostać ręce i głowę przez odpowiednie otwory.

- Dziękuję. - powiedziała znowu. To było coś w jej głosie i to, że nagle nie mogła spojrzeć mu w oczy, co włączyło u niego alarm. Złapał ją za podbródek i uniósł jej twarz, aby musiała na niego spojrzeć.

- Co się stało?

- Nic.

- Widzę, że coś się stało. Powiedz mi.

Zmieszana, zmarszczyła brwi. - Dlaczego...czemu to zrobiłeś?

- Co zrobiłem? Oznaczyłem cię?

- Tak.

Van wzruszył ramionami. - Bo to utrzyma cię przy życiu.

- Czy to jedyny powód? - Uh-oh. Tak jak się spodziewał, Irene najwyraźniej dorabia do tego wszystkiego niepotrzebne teorie. Czas wyprowadzić ją z błędu, natychmiast.

- To jedyny powód. - Oczyszczył gardło. - Irene, wiesz dużo o nas, ale cała ta sprawa z oznaczaniem partnerów i czynieniem ich swoimi na wieczność to folklor. Bajki. Nie wierzyłem w to kiedy byłem dzieckiem i nie wierzę w to teraz.

- Naprawdę?

- Tak. Naprawdę. - Boże, czuł jak ostatni cham. Może później pobije jakieś szczenięta. Może kopnie kotka. Musiał złamać tej biednej kobiecie serce...

- Ufff! - Wypuściła powietrze i, po raz pierwszy, uśmiechnęła się. - Dzięki Wszechmogącemu DOSowi!\*

- Co?

- Myślałam, że zaczniesz wałęsać się dookoła mojego domu jak jakiś bezpański pies, którego przypadkiem nakarmiłam. Ale teraz nie muszę się martwić. Prawda?

Van skinął głową, ta wściekłość, której przed chwilą doświadczył, powróciła do życia. - Tak. Prawda.

- Dobrze. Teraz mogę się odprężyć. - Wzięła kolejny, głęboki oddech ulgi. - Cóż...znowu, dzięki za wszystko. I tak, myślę, że zostałam poturbowana za całe życie. - Prawie, jakby zachichotała. - Oh. I przekaz rodzicom pozdrowienia.

A potem odeszła od niego. Nawet się nie obejrzała. Bez myślenia, poszedł za nią. Jej plecak leżał już przy drzwiach frontowych, gotowy.

- Wychodzisz teraz?

- Jackie czeka na zewnątrz. Nie widziałeś jej, kiedy wracałeś?

- Musiałem ją przeoczyć.



- Mówiłam jej, żeby weszła, ale wiesz, wy i wasze terytorium. - Otworzyła drzwi i Van zastanowił się jak mógł nie zauważyć dwudrzwiowego, wiśniowo czerwonego Mercedesa i ładnej kobiety siedzącej na oparciu czytając książkę.

Szakal podniosła wzrok i uśmiechnęła się. - Gotowa do drogi?

- Tak. - Irene podniosła swój plecak i zarzuciła na ramię, krzywiąc się, kiedy jego ciężar trafił na jej nowe ślady kłów.

Obejrzała się na niego przez ramię i wzruszyła ramionami. - Cóż... Do zobaczenia.

Van sterczał w swoich drzwiach wejściowych obserwując jak Irene Conridge wsiada do samochodu swojej przyjaciółki, układa plecak na kolanach jak małe dziecko i odjeżdża.

Nie wiedział jak długo tam stał zanim obok pojawiła się jego siostra.

- To było...naprawdę...dziwne. - powiedziała lekko.

- Wiem.

- Wszystko w porządku?

Wzruszył ramionami. - Tak. Jest dobrze. To koniec.

- To prawda, ale...

- Nie Carrie. Nie ma żadnych ale. Koniec. Nawet gdyby mi zależało, a tak nie jest, ta kobieta jest jak polarna pokrywa lodowa. Dziękuję, ale lubię mieć trochę więcej ciepła w moim łóżku.

- Okej.

- Więc zapomnijmy o tym.

- Okej.

- To koniec.

- Um...okej. A Conridge...

- ...nie mogłaby się mniej przejmować. Uwierz mi, kiedy mówię, że Irene Conridge nie czuje absolutnie nic w stosunku do nikogo.

\*\*\*\*

- Nienawidzę go.

Jackie spojrzała zaskoczona na Irene. - Co?

- Ja. Go. Nienawidzę.

- Ale ty nie nienawidzisz kogokolwiek. Mówiłaś, że to wymaga emocji, które zabierają ci czas z grafiku.

- To było zanim spotkałam największego... - walczyła aby znaleźć odpowiednie słowo i jej przyjaciółka zaproponowała jedno.

- Idioty?

- Tak! On jest strasznym idiotą. I nienawidzę go.

- Czy wydarzyło się coś, o czym powinnam wiedzieć, kochanie?

- Nie chcę rozmawiać o tym, ani o nim nigdy więcej. Chcę tylko zostawić ten cały straszny czas za mną i wrócić do pracy.

- Okej. - Jackie zatrzymała się na czerwonym świetle. - Co ty na to, żebyśmy wróciły do domu, przebrały się i obejrzały film?

Z pewnością musiała się przebrać. Jasny czerwony sweter, który nosiła przesiąknięty był jego zapachem. I mimo że to nie był brzydki zapach - właściwie był całkiem miły - była zbyt wkurzona, żeby jej nie drażnił. Tak naprawdę, żałowała obietnicy, że go zwróci. Wolałaby go symbolicznie spalić.

- Irene?

- Jaki film? - zapytała.

- "Terminator" powinien być dobry. I jest dużo zabijania.

Irene skrzyżowała ręce przed piersią i poczuła jakby była nadąsana...naprawdę przerażająca myśl. - Jesteś pewna, że jest dużo zabijania?

- Okrutny cyborg z przyszłości tłucze się po mieście, aby zgładzić jedną kobietę. A przynajmniej tak mi to opisał Paul. Więc, tak, myślę, że jest dużo zabijania.

- Dobrze.

Jackie ruszyła, a jej dłoń sięgnęła i poklepała nogę Irene. - Nie martw się. Jak tylko wrócisz do pracy poczujesz, że znów jesteś sobą.

- Lepiej, żeby tak było. - warknęła. Ponieważ jeśli musiałyby "odczuwać" coś jeszcze jakiś czas, pewnie musiałyby zabić tego mężczyznę z obowiązku.

Dupek.

## Rozdział 4

Kiedy jej trzydziestotrzyletnia studentka drugiego stopnia wybuchła płaczem, Irene poczuła, że chyba trochę przesadziła mówiąc: "Przepuścić cię? Masz szczęście, że cię nie zabiłam."

Wkurzona, bardziej na samą siebie niż coś innego, ale nie chcąc tego po sobie pokazać, Irene sięgnęła w tył, a asystent podał jej pudełko chusteczek higienicznych Kleenex. Położyła je przed studentką, ignorując wzrost napięcia szloch, i podeszła z powrotem do swojego biurka.

- Oczekuję kompletnej pracy laboratoryjnej pod koniec tygodnia. - Plecami do studentki, Irene szybko zebrała otrzymane w niebieskich teczkach materiały w kolejności alfabetycznej, dla swojego asystenta. - Nie przyjmę żadnego usprawiedliwienia, głównie dlatego, że mnie one nie interesują. Każdy student z niedokończoną pracą automatycznie oblewa kurs. I proszę, nie sprawdzajcie mnie w tej kwestii.

Podala plik teczek swojemu asystentowi i obróciła się twarzą do klasy. - Dlaczego wciąż tu jesteście? Wynocha. - Uciekali, jakby wypuściła na podłogę żywe, jadowite węże.

- Czy to moja wyobraźnia, czy jesteś bardziej...uh...zwięzła niż zazwyczaj?

Irene spojrzała na swojego asystenta, Marka. Dostała ponad siedemdziesiąt zgłoszeń na miejsce jej asystenta w ubiegłym roku, ale Mark był jedynym, który miał kwalifikacje na tę pozycję. Nie było łatwo pracować dla nauczyciela takiego jak ona, ale sprawiła, żeby było warto. Prawie wszyscy studenci, którzy przetrwali jeden z jej staży, dostawali się na super ciepłe posadki w najważniejszych laboratoriach lub bazach w kraju. Za wysokie sumy. Więc nie miała żadnych obiekcji, aby urządzić im "Conridge Gauntlet"\*, jak wielu to nazywało. Tylko Mark nie wyglądał na stale wystraszonego. W pewien sposób go szanowała za to, ale w dniu takim jak ten, naprawdę, szukała tylko ofiary, na której mogłaby wyładować swoją złość.

- Jeśli naprawdę chcesz zobaczyć jak zwięzła jestem, dalej mnie wkurzaj, Marcus.

- Jasne. - Wziął wszystkie papiery i skierował się do biura. Złapała swoją walizkę i podążyła za nim.

Dlaczego zakończyła wpadając na jego plecy, nie wiedziała, dopóki nie rozejrzała się i zobaczyła dwóch mężczyzn siedzących w jej biurze.

Świetnie, pomyślała.

Obchodząc Marka dookoła, umieściła wzrok na pierwszym mężczyźnie, którego zobaczyła. - Co cię tu sprowadza, Agencie Harris?

- Tylko wpadłem, sprawdzić co pani, Profesor Conridge.

Irene weszła do swojego gabinetu, upuściła walizkę na podłogę, obok biurka. - Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego nie możesz nazywać mnie doktor Conridge? Czy to tylko twoja niepewność przez ciebie przemawia?

Mark wziął swój plecak z kąta i skinął do Irene głową. - Uh...Doktor Conridge, idę do biblioteki, przekopać się przez te papiery dla pani. - Potem praktycznie pobiegł.

- Kolejny ciapowaty facet, jak mniemam. - mruknął Harris.

Irene usiadła za biurkiem. - Istnieje jakiś inny rodzaj? - Umieściła swoje stopy na blacie i odchyliła się w swoim fotelu. Już dawno nauczyła się jak przybrać zrelaksowaną postawę, kiedy było to ostatnią rzeczą, jaką czuła. Ale Agent Phillip Harris nie pojawiłby się tu, gdyby nie miał powodu. FBI rzadko marnowało czas na ekspedycje licząc tylko na łut szczęścia.

- Więc, Agencje Harris, co cię sprowadza do mojego skromnego, małego gabinetu?

- Pani, pani Profesor.

- Naprawdę? A to czemu?

- Ostatnio dużo się o pani mówiło.

- Jestem bardzo dobrze znana w kręgach biochemików i techników komputerowych. Wiesz o tym.

- To nie były artykuły na temat pani pracy, pani Profesor. Mówię o przechwyconych konwersacjach między znanymi radzieckimi agentami.

Irene mrugała oczami w zaskoczeniu. Rosjanie? Dlaczego, do cholery, Rosjanie mieliby o niej rozmawiać?

- Zapytałabym cię o czym rozmawiali, ale jestem pewna, że gdybyś wiedział już byś to miał. Zapewne wierzysz, że powiem ci coś fascynującego.

- Możliwe, że nie powinna pani grać w tę grę, pani Profesor. Zdrada...

- Nie jest problemem w tym przypadku i oboje o tym wiemy. Nie powinieneś sobie ze mną pogrywać, Agencje Harris. Nie możesz mnie przestraszyć, myśląc, że jestem rosyjskim agentem. - zachichotała. - Ale jestem pewna, że ze względu na moją cerę, idealnie pasowałabym do tego kraju. Ale przepraszam za rozczarowanie was. Nie mam pojęcia co, oni albo wy, myślicie, że mam i nie zacznę się tym teraz martwić.

- Mógłbym panią zamknąć dla pani bezpieczeństwa. - I wiedziała, że to groźba.

Irene uśmiechnęła się, a agent stojący za Harrisem wyglądał, jakby miał wykonać bieg do drzwi. - Czy naprawdę chcesz to zrobić, Agencje Harris? Naprawdę chcesz powtórki z tego co się wydarzyło, kiedy poprzednio tego próbowano? - Irene założyła ręce za głowę, splatając razem dłonie. - Powiedz, czy naprawili ten blok? Czy wciąż jest tam wielki dół?

Harris nie odpowiedział, ale wyglądał na niezłe wkurzonego. Irene przewróciła oczami i zdjęła nogi z biurka. - Skończyliśmy rozmowę, Agencje Harris. Mam prace do zrobienia i, będąc szczerą, po prostu nie jesteś aż tak interesujący.

Obracając się do komputera, Irene odwróciła monitor.

Mogła usłyszeć, jak Harris wstaje, a jego partner szybko idzie do drzwi.

- Jestem pewien, że jeszcze porozmawiamy, pani Profesor.

- Żyję dla tego dnia, Agencje.

Irene poczekała aż drzwi się zamkną i dała im jeszcze minutę czy dwie, aby odeszli, zanim westchnęła. Okej, więc miała pomysł, czego tak naprawdę Rosjanie chcieli. I co jej rząd bardzo

chciałby dostać w swoje ręce. Ale nikt, absolutnie nikt, tego nie dotknie. Nigdy nie pozwoliłaby, aby świat to zobaczył. Ale siedzenie i obsesyjne zachowania też nie będą pomocne. Więc Irene złapała swoją ostatnią pracę i zajęła myśli czymś innym.

Niestety, to "coś innego" okazało się być Van Holtzem. Minęły trzy dni, a ona wciąż o nim myślała. Dlaczego? O większości ludzi potrafiła zapomnieć po minutach, a czasem po sekundach. Ale za każdym razem, gdy pozwoliła sobie na myślenie o czymś innym niż równania i wzory, jej biedny, przepracowany umysł zawsze wracał do tego idioty.

Spojrzała przez pokój na plakat z Einsteinem, który powiesił jeden z jej uczniów na jej prośbę "Spraw, żeby gabinet był trochę bardziej...przyjazny". Ale nie widziała genialnego Alberta. Nie. Za to, zastanawiała się z iloma kobietami spał ten drań. Pewnie setkami. Mogła się założyć, że facet był niewyżyty seksualnie. I jednym z rodzaju przeleceć-wszystko-co-ma-dziurkę.

I siedziała tu...myśląc o tym. Zajmując część swojego wartego miliony dolarów mózgu tym przygłupim idiotą. Jakie to żalosne. Jakie to nedorzeczne. Jakie...ludzkie. Jackie obiecała, że to minie. Ten nagły napływ emocji. A Irene zaczęła liczyć dni, czekając aż te "uczucia" odejdą. Gdzieś daleko. Jak ludzie z normalnym IQ żyli takim czymś na co dzień, nigdy nie zrozumie.

Irene Conridge zużywająca siłę swojego superwyjątkowego umysłu na faceta. Tragiczne.

- Niech mnie ktoś zastrzeli.

Poza kilkoma studentami, pomyślała, że wielu skusiłoby się na ofertę.

- A ten gnojek spał pewnie z tysiącami. - poskarżyła się, chwilę zanim cisnęła jednym ze swoich ulubionych długopisów przez pokój.

\*\*\*\*\*

Van krążył za butikiem, którego właścicielką była Athana Löwe z Dumy Löwe. Może i uważał starszą siostrę Athany, Melinę, za wrzód na dupie, ale Athane lubił dużo bardziej. Dodatkowo, lwice były idealne na okazjonalne "schatzki". Lwy zazwyczaj rozmnażały się tylko ze swoim własnym gatunkiem, co oznaczało, że byli świetni na niezobowiązujący seks. Dokładnie to, czego potrzebował Van. Jedynie po to, żeby udowodnić, że rodzice byli w wielkim, wielkim błędzie.

Przez trzy dni chodził do pracy i wracał do swojego apartamentu albo innych miejsc Van Holtzów i ani razu, przez cały ten czas, nie przyprowadził ze sobą kobiety. Dzisiejszego ranka stał w kuchni, rozmawiając z siostrą, kiedy weszła jedna z nowych wilczyc. Miała na sobie tylko szorty i koszulkę. Z tego co słyszał, dotąd nie wykazywała zainteresowania nikim szczególnym. Ale spojrzała na niego z zachłannym zainteresowaniem. Była śliczna i zadziwiająco drobna, jak na wilczycę. Ale co on zrobił? Uśmiechnął się, skinął jej głową i wrócił do rozmowy z siostrą.

Cytując jedną z jego kuzynek, "Co to kurwa było?"

Kiedy zdał sobie sprawę z tego co zrobił, Van był cholernie przerażony. Gdzie się podział stary Van? Ten "jeśli jest ładna i zatrzymuje się wystarczająco długo, przelece ją" wilk, który miał taką reputację? Czy ta straszna kobieta, ze swoimi zimnymi oczami i ładnym, zaokrąglonym ciałem podała mu jeden

ze swoich eksperymentalnych narkotyków, żeby zobaczyć, czy może pozbawić faceta popędu seksualnego? Nie wybaczyłby jej tego.

Cholera, nawet jego siostra zauważyła. Głównie dlatego, że zdarzało mu się niejednokrotnie odejść od niej w środku rozmowy, żeby pogadać z dziewczyną. Ale tego ranka...nic.

Kiedy poskarżył się rodzicom, tylko parsknęli i rzucili sobie to spojrzenie. To, które każda jednostka rodzicielska miała opanowane do perfekcji. To "pozвольmy mu cierpieć, dopóki się nie nauczy" spojrzenie.

Ostatecznie, mimo wszystko, Van odmawiał uwierzenia. Doktor Irene Conridge nie miała nad nim absolutnie żadnej kontroli. I nigdy nie będzie miała. Gdyby chciał przespać się z zimną rybą, tłum podciąłby mu gardło i rzucił go do Oceanu Spokojnego.

Tylne drzwi do sklepu w końcu się otwarły i Van obrócił się, aby zobaczyć śliczną lwicę wysuwającą swoją głowę. Kiedy go zobaczyła, wyraz jej twarzy z powitalnego zmienił się na namiętny.

- Cześć, przystojniaku.

Widzicie? To jest ciepło i przyjacielskość. Od kota, nie inaczej. Jezu, Irene Conridge jest zimniejsza od kota? Czy to w ogóle możliwe?

- Cześć. - odpowiedział szorstko. - Chodź do mnie.

Uśmiechnęła się i podeszła, kołysząc biodrami. Athana zazwyczaj kręciła biodrami. Zawsze to w niej lubił.

Złote oczy spojrzały na niego zza czarnych rzęs. - Tak?

Nagle, z nikąd, pojawiło się to dziwne uczucie winy, tylko dlatego, że stał sam z kobietą w tylnej alejce. Nigdy wcześniej nie czuł czegoś takiego i powiedzenie, że nie czuł się z tego powodu szczęśliwy, to drastyczne niedomówienie.

Warcząc, złapał ramię Athany i przyciągnął ją bliżej. Zaskoczona, rozsunęła wargi, a on nie opierał się, całując ją mocno.

Po minucie, w końcu odsunął ją i Athana gapiała się na niego.

- Łał. - powiedziała w końcu. - Prawie jak całowanie mojej cioci Gertrudy, kiedy przyjeżdża na Święto Dziękczynienia.

Van trzymał ją na odległości ramienia. - Co?

Zachnęła się, ale nie wyglądała na naprawdę wkurzoną. - Cholera. A ty też jesteś dobry. Hieny biegają dookoła wrzeszcząc, że połączyłeś się z w pełni człowiekiem, ale wierzyłam, że te plotki to nie prawda.

- To nic nie znaczy.

Athana zachichotała. - No dalej, Van. Jesteś wilkiem. Równie dobrze możesz zaakceptować swój los.

Odepchnął ją i podszedł do kontenerów na śmieci. - Nie. Odmawiam złapania się w tę pułapkę.

- Kochanie, już za...

Zanim słowo "późno" mogło wydostać się z jej ust, Van obrócił się i powiedział - Wynajmijmy pokój hotelowy i pieprzmy się.

Wywracając oczami, Athana skierowała się do sklepu. - Zapomnij, Van. Nigdy nie pieprzyłam się z partnerami innych kobiet i nie mam zamiaru teraz zacząć. Nawet jeśli jest ludzką kobietą.

- Ale ja nie jestem nią zainteresowany. - O, Boże. Czy on właśnie zaskomlał?

Otworzyła drzwi. - Jeśli jesteś tak pewien, że to pomyłka, to idź do niej i sprawdź.

Iść do niej? Jego wyleczone, ale przerażone udo automatycznie się napięło na samą myśl...ale potem inne jego części napięły się z zupełnie innych powodów.

- Zaufaj mi, - westchnęła Athana. - Jeśli pocałujesz ją tak, jak przed chwilą pocałowałeś mnie, na pewno nie jesteś zainteresowany.

\*\*\*\*\*

- Jak wyglądam?

Irene podniosła wzrok i skinęła głową na swoją przyjaciółkę. - Wyglądasz wspaniale.

- Dzięki, kochanie. - Samochód zatrąbił i Jackie złapała swój szal. - Jesteś pewna, że nie namówię cię na wyjście? Te uniwersyteckie bale są dużo bardziej do zniesienia, kiedy jesteś tam, żeby się ze mną podrażnić.

- Nie dam rady. Nie dzisiaj.

- Agent Harris cię wystraszył?

- Cóż, nie pomógł mi się rozluźnić.

- Powinniśmy zostać?

- Nie. Idźcie. Miłej zabawy. - Irene zdjęła z twarzy swój przekrzywiony kucyk po raz osiemnasty. - Będę pracowała nad tymi papierami i pooglądam telewizję.

- Okej. - Jackie zaczęła iść do wyjścia, ale zatrzymała się. - Nawet nie próbuj rozkładać na części mojego Macintosha.

Irene spojrzała na najnowszy "model" komputera. Za trzy tysiące dolarów, jak dla niej, Steve Jobs robił sobie jaja. Przerklamowana zabawka. Ale i tak, Irene chciała rozebrać go na części i sprawdzić, co stworzył Jobs. Cholerna Jackie, niech będzie potępiona za znanie jej tak dobrze.

- Nie żartuję.

- Tak. Tak. Czy Paul nie czeka tam na ciebie?

Jackie jeszcze raz zmarszczyła brwi w ostrzeżeniu zanim wyszła.

Irene spojrzała na białe pudełko stojące na biurku jej przyjaciółki i zmusiła się do skupienia na papierach przed nią.

Kilka minut później zadzwonił dzwonek i Irene się nie ruszyła. Nie spodziewała się nikogo, więc nie miała zamiaru otwierać. Musiała się dzisiaj użerać z wystarczającą liczbą ludzi, niech ją cholera, jeśli jej noc też będzie wypełniona idiotami.

Znów rozległ się dzwonek, a za nim pukanie. Irene nawet się nie skrzywiła. Za kilka minut jej mózg zajmie się tylko i wyłącznie pracą. Tę umiejętność odkrywała przez lata. Czasami Jackie musiała nią potrząsnąć albo uderzyć, żeby zyskać jej uwagę.

Ale Irene jeszcze nie weszła w ten "stan" i z łatwością mogła usłyszeć, że ktoś obwąchuje jej drzwi. Podniosła głowę znad papierów, kiedy Van Holtz warknął zza drzwi, - Wiem, że tam jesteś, Conridge. Mogę cię wyczuć.

Fuuuj.

- Idź sobie. - odkrzyknęła. - Jestem zajęta.

Pukanie przeszło w walenie. - Otwórz te cholerne drzwi!

Wkurzona, ale zrezygnowana, że facet sobie nie pójdzie, Irene odłożyła papiery na kanapę i przeszła przez pokój. Otworzyła drzwi i zignorowała dziwne uczucie w żołądku spowodowane widokiem mężczyzny stojącego w ciemnoszarym swetrze, dżinsach i adidasach. Znała kilku mężczyzn, którzy zawsze potrafili ubrać się, jakby przypadkowo dobierali ciuchy.

- Czego?

Obserwowała, jak jego oczy przesuwają się po niej, od opadających, przepoconych skarpetek na jej stopach, przez znoszone bawełniane szorty i poplamioną koszulkę, która prezentowała jak straszny przeżyciem było malowanie korytarza, i mruknął - Kurwa. - zanim wpełznął się do jej domu.

- Musimy pogadać. - Powiedział zamiast powitania.

- Dlaczego?

Skrzywił się. - Co?

- Zapytałam dlaczego musimy pogadać? Z tego co wiem, nie mamy sobie nic do powiedzenia.

- Muszę cię pocałować.

Irene zmarszczyła brwi. - Dlaczego?

- Musisz zawsze pytać dlaczego?

- Kiedy ludzie przychodzą do mnie z czymś, co nie ma sensu...tak.

- Po prostu pozwól mi się pocałować i wtedy odejdę.

- Czy zdajesz sobie sprawę ile zarazków jest w ludzkich ustach? Już prędzej pocałuję otwartą kratę kanalizacyjną.



\*\*\*\*\*

Dlaczego musiała to utrudniać? Nie cierpiał przebywania tu. Nie cierpiał tego, że w ogóle musiał tu przyjść. Ale wciąż miał coś do udowodnienia i, do cholery, udowodni to, albo umrze próbując.

Ale jak śmiała wyglądać tak cholernie słodko! Nie wiedział, że ta Irene Conridge istnieje. Widywał ją tylko w tych kanciastych biznesowych garniturach, albo garsonkach, których, mógł się założyć, nie wybrałaby sobie sama. Okazyjnie widział ją też w dzinsach, ale i tak wyglądała wtedy na poważną i profesjonalną.

Teraz wyglądała cholernie cudownie i prawie ją przez to nienawidził.

- Dwadzieścia sekund z twojego czasu i odejdę stąd na dobre. Dwadzieścia sekund i nigdy więcej nie będę cię niepokoił.

- Dlaczego?

Jeżu, znowu dlaczego.

- Muszę udowodnić światu, że moje oznaczenie ciebie nie znaczy absolutnie nic.

- Oh, czy to nie słodkie, - powiedziała z oczywistym sarkazmem. - miło wiedzieć, że sprawdzasz, czy całowanie mnie jest tak wstrętne jak konieczne.

- Nie...ja nie.. - warknął. - Czy możemy to po prostu zrobić?

- Dwadzieścia sekund i odejdiesz?

- Tak.

- Na zawsze?

- Absolutnie.

- Dobra. Tylko zrób to szybko. Mam dużo pracy do zrobienia. I dodatkowo, to, że oddychasz moim powietrzem wkurza mnie bez powodu.

Chcąc to już zakończyć tak bardzo jak ona, Van podszedł do niej, złapał ją w tali i przyciągnął do siebie. Gapili się na siebie przez długą chwilę i potem ją pocałował. Tak jak wcześniej Athanę. Z tą różnicą, że Athana była w jego ramionach ciepła i chętna. A nie sztywna i zimna jak bryła lodu. Irene nawet nie otworzyła swoich ust.

Nie. Nic, pomyślał z przejmującą ulgą. To wszystko to straszna pomyłka. Mógłby - i tak zrobi - odejść od szanownej i genialnej Doktor Irene Conridge, bez oglądania się wstecz. Van prawie się uśmiechnął.

Dopóki nie poruszyła się w jego ramionach, jej głowa lekko przechyliła się w lewo o centymetr. Jak rozszalały wiatr, pożądanie przelało się przez niego. Przytłaczające, trawiące. Nigdy nie czuł czegoś takiego. Nagle musiał spróbować jej więcej, bardziej niż wziąć następny oddech. Napierał językiem na jej wargi, przekonując do otwarcia. Ku jego ogromnemu zdumieniu, otworzyła je i zanurzył się głęboko. Jej ciało szarpnęło się, jej dłoń sięgnęła w górę i złapała jego ramię. Prawdopodobnie chcąc go odepchnąć. Ale nie pozwoliłby jej. Nie, jeśli czuła choćby cząstkę tego co on. Więc złapał ją

mocniej, całował głębiej, pozwalając jej poczuć swoją twardą jak stal erekcję zatrzymaną w jego dzinsach, napierającą na jej żołądek.

Dłoń ściskająca jego ramię poluźniła uścisk i przesunęła się na jego włosy. Jej druga ręka złapała go za kark. I nagle, zimna, sztywna bryła lodu zmieniła się w rozszalały płomień pożądania. Jej język zaplątał się z jego i jęknęła w jego usta.

Zanim Van zdał sobie sprawę, kierował nimi do jej schodów. Nie przestawał jej całować, nie zrobiłby tego. Ostatnią rzeczą jaką chciał, żeby zrobiła, była zmiana decyzji. Miał zamiar zaciągnąć ją na górę zanim odsunie od niego usta.

- Co ty robisz? - wydyszała.

- Zabieram cię do łóżka.

- Zapomnij. - I gdyby Van był jednym z mężczyzn, którzy płaczą, szlochałby. Dopóki Irene nie dodała - Ściana. Użyj ściany.

## Rozdział 5

Van uderzył nią o ścianę. Próbował być delikatny i cierpliwy, ale, cholera, szybko tracił kontrolę. Tracił ją na rzecz tej kobiety, która, cytując, nie lubi seksu. Oczywiście, ta sama kobieta sięgnęła w dół i mocno złapała przez dzinsy jego penisa. Ścisnęła i więcej jego kontroli znikło. Chciał dotrzeć do drzwi jej sypialni, ale nie mógł się zmusić, żeby ją puścić. Wilk w nim chciał wziąć tę kobietę zanim zrobi coś głupiego, na przykład zmieni zdanie. Będzie jego, bo tak miało być. Najbardziej wkurzające w całej tej sytuacji - Jezu, strasznie wkurzające - było to, że teraz już nie pozwoliłby jej odejść. Nie mógłby. Cholera, nie mógł nawet zmusić się do uwolnienia jej ciała aby mogli dotrzeć do łóżka.

Z zadziwiającą wprawą, rozpięła jego dzinsy i zacisnęła rękę dookoła jego fiuta. Vana poczuł dreszcz. Kogo ta kobieta próbowała oszukać? Nie znosiła seksu? Nie było możliwości, żeby ta kobieta nie cierpiała seksu. Już prędzej nigdy nie spotkała kogoś pasującego...aż do teraz.

Jej długie palce przebiegły po jego penisie, powodując praktycznie niszczący efekt, który czasem czuł, kiedy go całowała z taką pasją, jakiej nie czuł nigdy z nikim innym.

Zapomnij. Nigdy nie dotrze do łóżka. Nie, dopóki nie będą mieli za sobą pierwszego razu.

- Tylne kieszeń. - sapnęła przy jej ustach.

- Co?

- Tylne kieszeń.

Jej ręka prześlizgnęła się dookoła jego talii i jej dłoń zanurzyła się w tylnej kieszeni jego dzinsów. Wyjęła zwitek kondomów, który wziął zanim opuścił apartament. Oczywiście, szykował je dla Athany, ale nie ma powodu, żeby rujnować nastrój małymi, brzydkimi prawdami, które nic już nie znaczyły.

- Mało pewności siebie, co?- zapytała, trzymając w dłoni prezerwatywy.

- Cholerna racja. - Wiedział, że nie zostawi mu innego wyboru. - Nie stosujesz niczego, prawda?

- Czego?

- Antykoncepcji. Mężczyźni z rodziny Van Holtz mogliby zapłodnić pień drzewa. Więc, jeśli nie jesteś gotowa na wpadkę...

Najwyraźniej nie była, ponieważ założyła mu prezerwatywę w kilka sekund. Co było dobre, bo Van nie wiedział jak długo mógłby jeszcze się wstrzymać. Jego wilk nie będzie zadowolony, dopóki nie weźmie partnerki, zatwierdzając partnerstwo. Przynajmniej według standardu wilków. Wiedział, że Irene będzie potrzebne więcej zapewnień. Nie tylko dlatego, że jest człowiekiem, ale dlatego, że jest wrzodem na dupie i nigdy niczego nie ułatwia. Ale to żaden problem. Skoncentruje się na tym, kiedy już bestia w nim będzie usatysfakcjonowana.

Van podciągnął ją wyżej, dociskając do ściany, żeby się nie ruszała.

- Ten będzie szybki, Doktoreczko. - ostrzegł ją. - Ale wynagrodzę ci to.

- Zrób coś dla mnie, Van Holtz. Przestań gadać. Przypominasz mi, że jesteś w pokoju.

Jego głowa poderwała się z nad widoku główki jego penisa w jej wejściu i popatrzył w te dziwne, niebieskie oczy. Ale szybko zdał sobie sprawę, że tylko się droczyła...cóż...jak na Irene, to było droczenie.

- Dalej będziesz mnie testować, Doktoreczko? Dalej próbujesz zmusić mnie do przekroczenia granicy?

- Myślałam, że już to zrobiłam. Gdybyś miał chociaż trochę mniej kontroli, twoje włosy stanęłyby w ogniu.

- Mów za siebie, dziecinko. - Napierał swoim fiutem, ale nadal nie wszedł w nią. - Ty i ja dobrze wiemy, że, w tym momencie, ten piękny tyłeczek jest cały mój.

\*\*\*\*\*

Niech go cholera! Miał rację. Dałaby wszystko - absolutnie wszystko - żeby mieć w sobie tego faceta.

Irene nigdy nie czuła się w ten sposób. Nigdy nie chciała nikogo w sposób, w jaki chciała jednego z najbardziej nieznośnych facetów na świecie. Cholera, rozważała nawet błaganie, jeśli znaczyłoby to, że ją wypieprzy. I wiedziała, że to właśnie to będą robić. On ją wypieprzy. Nie będzie to stosunek płciowy - poza technicznym znaczeniem tego sformułowania. Nie będą się kochać. Nie będzie żadnych lekkich westchnień i jęków. Żadnych wyznań miłości albo obietnic przyszłości. Będzie ją pieprzył i to dokładnie tego chciała.

Najwyraźniej brała do łóżka zbyt inteligentnych facetów. Mężczyzn, którzy myśleli, że dokładnie wiedzą, czego kobieta taka jak Irene chce z seksu. Żaden nie trafił.

Tak było aż Niles Van Holtz pchnął, zanurzając się głęboko w niej, brutalnie popychając jej plecy na ścianę, kiedy zdała sobie sprawę, że on da jej dokładnie to czego chciała. Potrzebowała.

Docisnął swoje wciąż ubrane ciało do jej. Rozdarł jej szorty i majtki po drodze na górę. Ale wciąż miała na sobie koszulkę i stanik. Nawet nie próbował podstawowej gry wstępnej. Nie dotykał jej piersi, nie zadbał o jej ciało. I nie musiał.

Pochylając się, wyszeptał chrapliwie do jej ucha - Posiadam ten tyłek, prawda, Irene? Po prostu to przyznaj.

Irene była pewna, że inna kobieta krzyknęłaby "tak" i krzyczała dalej. Niestety, Irene nigdy nie była jak inne kobiety. Gdyby taka była, nie zatopiłaby nagle swoich zębów w jego szyi i nie ugryzła mocno. Poczła smak krwi i Van Holtz zaskomlał z bólu sekundy zanim zaczął gwałtownie wbijać się w nią.

Po raz pierwszy w życiu, Irene nie mogła myśleć. Nie mogła rozumować. Logika i twierdzenia wyleciały z jej głowy jak woda z przewróconej szklanki. Wszystko, na czym mogła się skupić, o czym mogła myśleć, był sposób w jaki Van Holtz ją pieprzył. Nie był delikatnym kochankiem i nie chciała żeby taki był. Mimo tego, że czuła ból - jej ostatnie doświadczenia seksualne miały miejsce trzy lata wcześniej i do tego Van Holtz z jego, jak na jej gust, nienaturalnym rozmiarem - czuła nawet więcej przyjemności. Zatracała się w tych doznaniach. Zatracała się dla faceta, który - w tym momencie - miał jej tyłek na własność.

Warknął, a ona szarpnęła dłonie pełne jego włosów, starając się zmusić go do poruszania się szybciej, mocniej. Byli poza słowami w tamtym momencie. Poza zabawą czy nawet wrednymi docinkami. Po raz pierwszy, Irene mogła czuć...i uwielbiała to.

Najpierw pojawiło się mrowienie. Niska w jej brzuchu, głęboko w środku. I nagle wydoostało się, pędząc przez jej członki, eksplodując w jej organizmie. Nigdy nie czuła czegoś takiego i mała część jej mózgu, która jeszcze funkcjonowała, powiedziała jej, że właśnie doszła. Mocno, bazując na sposobie w jaki jej mięśnie zeszywniały i tym, że kompletnie straciła umiejętność porozumiewania się.

\*\*\*\*\*

Irene mocno trzymała Vana, kiedy jęknął przy jej szyi, jego ciało kompletnie wyczerpane, kiedy doszedł jak pociąg towarowy.

Jego kolana prawie się złożyły i utrzymał się na nich tylko dzięki sile woli. Ta kobieta prawie go zabiła.

Trzymali się siebie nawzajem przez kilka minut, ich ciężkie oddechy były jedynymi dźwiękami w korytarzu.

- Który... - Van przełknął, jego gardło było suche i bolące - Który to twój pokój?

- Ten.- Jedna ręka w końcu uwolniła ze śmiertelnego uścisku jego włosy i wskazała na drzwi z symbolem zagrożenia biologicznego na nich namalowanym. Nie żartuj? pomyślał Van, chcąc się zaśmiać, ale nie będąc w stanie. Ta kobieta to śmiertelna toksyna. Zabójcza. To oczywiste dlaczego żaden z mężczyzn z którymi była nie zrobił tego. Byli w pełni ludźmi. Kobieta taka jak Irene potrzebowała czegoś więcej niż normalny łańcuch DNA.

Z rękoma ciągle trzymającymi jej tyłek, Van zaprowadził ich oboje do jej sypialni i położył ją na zasłanym łóżku, które nie wyglądało, jakby wiele w nim spała.

Powoli się z niej wysuwając, zaciskając zęby, kiedy jęknęła, Van przebiegł rękoma po jej nagich nogach.

- Łazienka?

- Następne drzwi po drugiej stronie.

- Nie ruszaj się. Zaraz wracam.

\*\*\*\*\*

*Nie ruszaj się?* Irene była przekonana, że to nie będzie problem. Nie mogła się ruszać. To się nazywało paraliż i wydawało się, że właśnie to miała.

Po raz pierwszy w jej życiu, Irene rozumiała dlaczego ludzie chcieli odbywać stosunki płciowe. I dlaczego kobiety należały na odbywanie ich z Van Holtzem.

Dobrze, że nie odkryła tego wcześniej. Nigdy nie zostałaby stypendystką Oxfordu, czy otrzymała swój trzeci tytuł doktora. Natomiast spędzałaby więcej czasu "rznąc się jak szalona kobieta", cytując Jackie.

Może to była rzecz zmiennokształtnych. Coś wbudowanego w ich kod genetyczny. Zawsze zastanawiała się jakie dokładnie ekscesy odbywały się w pokoju Jackie, kiedy Paul zostawał na noc. Irene kochała swoją przyjaciółkę, ponieważ próbowała i nie robiła zbyt wiele hałasu, nie afiszowała się ze swoim związkiem z Paulem. Ale bywały takie noce, kiedy wydawali się kompletnie poza kontrolą. W takie noce, Irene wracała do swojego gabinetu albo laboratorium, żeby dokończyć pracę. Ale głęboko w myślach, zawsze zastanawiała się co Paul właściwie zrobił, żeby uczynić Jackie taką... szczęśliwą.

Cóż, teraz już wie.

Irene westchnęła, jej oczy zamknęły się. W końcu. Zrobili to. Koniec z tym. Van Holtz dostał to czego chciał i ona też. Teraz będzie mogła skupić się na swojej pracy i o nim zapomnieć.

Drzwi jej sypialni otworzyły się, ale nie fatygowała się żeby otworzyć oczy. Nie musiała słuchać jego wyjaśnień, dlaczego musi wyjść.

Ale on nie wyszedł. Za to ciepłe ubranie przesunęło się po jej waginie, ostrożnie ją czyszcząc. Zmusiła się żeby nie zmarszczyć brwi, nie chcąc pokazać co powodował.

- Przepraszam za to. - usłyszała jego mruczenie. - Nie chciałem cię wystraszyć.

Irene zaczęła odpowiadać, kiedy Van Holtz nagle zatopił twarz między jej udami.

Wciągnęła powietrze, otworzył oczy, jej ręka złapała za tył jego głowy.

- Co...co ty robisz?

Spojrzał na nią z pomiędzy jej nóg. - Smakuję cię. Nikt nigdy tego dla ciebie nie robił?

Wszystko, co mogła zrobić, to potrząsnąć głową kiedy go obserwowała, jej oczy rozszerzyły się.

Van Holtz wyszczerzył się. - Super. Jestem twoim pierwszym. - Potem znów zanurkował.

Irene położyła się na wznak, jej dłonie wciąż wplecione w jego włosy, i gapiała się na sufit. Mężczyzna lizał i ssał, nie spiesząc się. Irene słyszała skomlenie i w końcu zrozumiała, że to ona wydaje te dźwięki.

- Boże, Irene. Smakujesz tak cholernie dobrze. - warknął.

Irene zmarszczyła brwi. - W jakim sensie?

Van spojrzał na nią, jedna jego brew uniesiona.

- Czemu masz taki wzrok? Tylko pytam. Wydaje mi się, że to dość dziwne, co powiedziałeś.

- Za dużo myślisz.

- Tak, cóż...

- Musimy się tym zająć. - Van złapał jej kostki i pchnął jej nogi do jej klatki piersiowej, potem je rozłożył i wrócił do przerwanej czynności. Kolejny orgazm, silniejszy niż poprzedni, przedzierał się przez nią i Irene zapłakała, chaotyczne słowa i trochę starożytnej greki wydostało się z jej ust. Nie zemdląca, ale na pewno zdarzyło się kilka nedorzecznych chwil.

Kiedy mogła znów myśleć, zdała sobie sprawę, że Van Holtz zdjął resztę jej rzeczy, a także swoje. Teraz leżał obok niej, jego głowa spoczywała na jego dłoni, kiedy gapił się w dół na nią.

- Wszystko w porządku? - zapytał, jego wolna dłoń wolno zataczała koła na jej żołądku i piersi.

- Musisz iść.

Van Holtz zeszywniał, ale nie wyszedł. - Czemu?

- Mam masę pracy do zrobienia. - przyznała szczerze, nawet jeśli to była tylko wymówka dla przejmującej ją paniki. Teraz, kiedy namiętność znikła, Irene nie czuła się zbyt komfortowo z najbardziej puszczałką kreaturą, którą była kilka minut wcześniej. Miała obowiązki. Zobowiązania. Nie mogła ich porzucić, tylko dlatego, żeby mieć bezmyślny, zbędny stosunek z tym facetem i jego idealnym ciałem.

- Rozumiem. - powiedział. - Co ty na to, - Sięgnął w dół i wciągnął koc na ich ciała. - żebyśmy ucieli sobie krótką drzemkę?

- I co to, tak właściwie, zmieni?

- Wyglądasz na wyczerpaną, Doktoreczko. Kilka minut snu dobrze ci zrobi. A ja jestem wciąż trochę zbyt słaby, żeby prowadzić. Okej?

Irene odkręciła się w swoją stronę, z dala od niego. - Niech będzie. Ale wiesz, twoje dwanaście sekund minęło wieki temu.

- W porę to zauważasz, Doktoreczko. - Van Holtz zachichotał, kiedy układał się za nią.

\*\*\*\*\*

Irene obudziła się i natychmiast spojrzała na swój zegarek. Jeszcze nawet nie było jedenastej. Świetnie. Mogła mieć tonę rzeczy dokończonych do tej pory. Podrapała się i Van Holtz poruszył się przy niej. Mimo że czuła pokusę, nie mogła wyrzucić go w noc. Zamiast tego, pozwoli mu trochę pospać, kiedy wróci na dół i...

Łapiąc za wielką dłoń, wślizgującą się między jej nogi, obróciła się i spojrzała w całkowicie rozbudzone oblicze Van Holtza.

- Co ty robisz?

Nie kłopotał się odpowiedzią, kiedy złapał w usta jej sutek i ssął, podczas gdy jego palec ślizgał się w niej w tę i z powrotem.

- Czekaj...

Dwa palce zostały entuzjastycznie wepchnięte w nią i Irene wygięła plecy, jej biodra desperacko kołysały się w kierunku jego ręki. Wtedy jego kciuk nacisnął na jej lechtaczkę i eksplodowała, całe jej ciało trzęsło się i falowało obok jego.

Potem jej głowa opadła na poduszkę, szybko zasnęła.

\*\*\*\*\*

Irene otworzyła oczy i zdała sobie sprawę, że Van Holtz zgasił światła. To bez znaczenia, często poruszała się w ciemności. Poruszając się powoli, aby go znowu nie obudzić, Irene ostrożnie przełożyła nogę przez krawędź łóżka, ale zamarła, kiedy jej stopa ześliznęła się z ciepłej i stojącej, poruszającej się powierzchni.

- Uh...

- Wybierasz się gdzieś, Doktoreczko?

- Czekaj. - poprosiła. Ale już rozłożył ją na plecach i był w niej, pieprząc ją i całując jej szyję, liżąc i głaszcząc jej sutki.

- Van Holtz, ty bydlaku! Robisz to spec...ja...ah! To było bardzo przyjemne. Zrób tak znowu.

\*\*\*\*\*

Właśnie wyszła z sypialni i miała zakraść się na dół, kiedy złapał ją w talii i zaciągnął znowu do sypialni. Układając ją w nogach łóżka, kierując ją tyłem do siebie, użył swoich nóg, aby rozdzielić jej uda. Potem wziął ją od tyłu, jego zęby chwyciły jej ramię, kiedy jego dłonie bawiły się jej piersiami. Jego waga trzymała ją w miejscu na materacu i chciała móc powiedzieć, że tego nie lubi. Ale tak troszkę to lubiła.

Wypuścił jej ramię, odciągnął jej głowę do tyłu, trzymając za włosy i pocałował ją, kontynuując wbijanie się w nią. Ale sposób w jaki ją całował zawsze był taki czuły. Nawet kiedy wszystko wyrywało się spod kontroli, jego pocałunki nigdy nie były brutalne czy nerwowe. Po prostu...zdeteminowane.

Bydlak.

\*\*\*\*\*

Irene ziewnęła i obróciła się, przykrywając się z powrotem kocem. Wielkie dłonie pchnęły ją na plecy i jęknęła. - Nie, nie. Nie obudziłam się. Przysięgam! Po prostu się układam!



- Tak jak i ja. – wciągnął powietrze, znowu wsuwając się w nią głęboko. I do cholery, to było wspaniałe uczucie.

\*\*\*\*\*

Van zdjął włosy z jej twarzy i Irene jęknęła, broniąc się. - Nie. Nie znowu. Nie mogę.

Uśmiechnął się, prawie się za siebie wstydząc - ale nie tak do końca. Próbowwała go odsunąć. Jakby pozwolił na to kiedykolwiek.

- Nie znowu. Muszę iść. - wyszeptał i w końcu otworzyła jedno oko. Kto by pomyślał, że zaświecić może się jedno oko.

- Dobrze.

Byłby wkurzony, gdyby nie brzmiała tak słodko...i tak sfatygowanie.

- Wrócę dziś wieczorem. Pójdziemy na kolację.

- Nie mogę. - powiedziała prosto, zamykając oko. - Mam wcześniej umówione spotkanie.

Wszechogarniająca zazdrość przelała się przez niego. - Spotkanie? Z kim?

- Nie twój interes. Miałam to zaplanowane tygodnie wcześniej, nie zmienię tego przez dzikie baraszki na sianie. - podciągnęła koc do brody. - Masz to czego chciałeś Van Holtz, teraz możesz wrócić do zwyczajnego życia, a ja do swojego. Po ostatniej nocy musiałeś dostać to czego chciałeś. Przewróciła się w swoją stronę, odwracając od niego. - więc wracaj do swoich supermodelek i elity klubu country. A ja wrócę do mężczyzn, którzy wiedzą czym tak właściwie Algorytmiczna Teoria Informacji\* jest.

Van zacisnął zęby i gapił się na tył głowy Irene. Niech go cholera, jeśli wiedział czym Algorytmiczne cośtam cośtam jest. Niech go cholera, jeśli się tym przejął. Bo na dłuższą metę to nie miało znaczenia. Nie dla niego. I nie powinno mieć dla niej. Ale czy naprawdę myślała, że może go zmusić do odejścia tak łatwo? Czy naprawdę myślała, że można się tak łatwo pozbyć Van Holtza? Ta, Rzymianie też tak myśleli w 52 p.n.e. I mimo że Irene Conridge była cholernie trudniejsza niż batalion dobrze wyszkolonych żołnierzy rzymskich, on był potomkiem barbarzyńców...dostanie to czego chce.

A on chciał jej. Więc będzie ją miał - i ona niech lepiej też będzie z tego zadowolona.

## Rozdział 6

- Co? - Irene zapytała znowu, obracając swoje krzesło, aby spojrzeć na asystenta. Grał jej na nerwach cały dzień.

- Zapytałem, czy potrzebujesz jeszcze czegoś ode mnie zanim wyjdę.

- Nie.

Irene zaczęła obracać się z powrotem, ale zatrzymała się i zapytała - Używałeś wcześniej mojego komputera?

Mark przytaknął, jednocześnie zapinając plecak. - Musiałem umieścić twoje ostatnie poprawki teorii Sharkovskiego dla twojego wydawcy.

- Cóż, bądź ostrożny kiedy go używasz. Zawsze moje pliki są wymieszane.

- Chciałem zorganizować...

- Więc przestań. Nie organizuj. Nie przenoś. Nie tykaj moich plików, Marcus. Zrozumiałeś?

Mark wstał i Irene po raz pierwszy zauważyła jak wysoki był. Nie w wychudzony, dziwny sposób, ale ten dobrze rozwinięty, "grałem całe życie w football" sposób. - Przepraszam, doktor Conridge. Nie chciałem robić z tego problemu.

Irene potrząsnęła głową. - Zapomnij o tym, Mark. Idź. Do zobaczenia w poniedziałek.

Była różnica, kiedy czepiała się swoich studentów dla własnej rozrywki i kiedy czepiała się ich, ponieważ jeden facet zwyczajnie wkurzał ją bez powodu.

Jak mogła na to pozwolić? Jak mogła pozwolić jednemu mężczyźnie na wygryzienie sobie drogi do jej mózgu jak jakiemuś złośliwemu wirusowi? Cały dzień nie myślała o niczym innym i przerażało ją to. Zawsze była dumna z tego, że jest w stanie zablokować prawie wszystko, dzięki czemu mogła skupić się na problemie lub zadaniu. Właściwie, Jackie miała dostęp do konta bankowego Irene, ponieważ upewniała się, że opłacone zostaną wszystkie rachunki. Kiedy Jack pojechała na swoje tournée po Europie dwa lata temu, prawie straciły mieszkanie i biedna Jackie wróciła do ciemnego apartamentu, ponieważ Irene zapomniała kompletnie o rachunku za prąd. Teraz, jeśli Jackie nie ma w okolicy, Paul się tym zajmuje.

Ale, po raz pierwszy w życiu, Irene nie była kompletnie skupiona na jednej teorii czy problemie matematycznym. Pierwszy raz nie skupiała się kompletnie na nieożywionych obiektach czy myślach. Zamiast tego, wszystko o czym mogła myśleć był seks z Nilesem Van Holtzem.

Jej słabość obrzydzała ją. Ciało i kości Irene nigdy nie były czymś więcej niż pojemnikiem, który transportowałby jej mózg. Teraz były żywe, miały potrzeby i uczucia.

Drań.

Pukanie do jej drzwi zaskoczyło ją i musiała uspokoić swój oddech zanim powiedziała, - Tak?

Drzwi otworzyły się i jedna z jej starszych studentek wetknęła głowę do biura. Jenny Fairgrove. Albo, jak ją prywatnie nazywała, Perfekcyjna Jenny Fairgrove. Długie blond włosy i ciepłe niebieskie oczy,

Jenny była wszystkim, czym nie była Irene. I, w odróżnieniu od Irene, nigdy nie musiała walczyć o każdą cholerną rzecz. Bo piękni ludzie nigdy nie muszą.

- Hej, doktor Conridge.

- Panno Fairgrove.

- Chciałam tylko podrzucić moje dokumenty na pozycję asystenta w przyszłym roku. Chciałam dostarczyć je wcześniej.

Irene była jedną z ośmiu nauczycieli na uniwersytecie, którzy posiadali własny program dla asystentów. Studenci zgłaszali się na to miejsce prosto do niej i mogła wybrać ilu tylko chciała, czy potrzebowała. Inni profesorowie, którzy musieli dzielić się asystentami lub nie mogli go znaleźć, nienawidzili jej też za to.

- Włóż je do tego kosza.

Jenny weszła i wrzuciła formularze do koszyka. Irene obserwowała dziewczynę kątem oka. Jenny miała na sobie krótką, drelichową spódniczkę, skórzane kozaki, opiętą koszulkę i krótką, drelichową kurtkę. Właściwie, wyglądała mniej więcej na dwudziestotrzylatkę. Irene zawsze czuła się, jakby wyglądała na czterdziestkę. Cholera, ona czuła się jak czterdziestolatka. Aż do wczorajszej nocy. Ubiegłej nocy, po raz pierwszy w życiu, czuła się na swoje lata.

- Łał. Czy to nowy IBM PC AT?<sup>1</sup>

Irene spojrzała na swój komputer. Musiała praktycznie przyłożyć broń do głowy dziekana, aby zaaprobował tę cholerną rzecz. - Tak.

- Łał. - Powiedziała znowu Jenny, pełna denerwującego entuzjazmu. - Słyszałam, że ma kolorowy ekran, ale to wygląda świetnie, co?

Pewna siebie i blondynka. Irene nie знаła bardziej wkurzającej kombinacji.

- Tak.

Dziewczyna stanęła przed jej biurkiem. - Um... Doktor Conridge, chciałam tylko powiedzieć, że byłabym zaszczycona mogąc z panią pracować. Naprawdę, jestem na bieżąco z pani karierą i myślę, że jest pani po prostu niesamowita.

Irene wróciła do ekranu swojego komputera i zaczęła otwierać swoje programy. - Wszyscy tak mówicie...na początku.

- Łał, doktor Conridge! - Jeśli ta kobieta powie "łał" jeszcze raz... - Czy to pani chłopak?

Głowa Irene obracała się dookoła. - Co?

Jenny trzymała oprawione zdjęcie i Irene spojrzała na uśmiechającą się z zadowoleniem twarz Nilesa Van Holtza.

- Skąd to wzięłaś?

---

<sup>1</sup> komputer osobisty model IBM PC/AT

- Było tu na pani biurku. - Jenny uniosła brew. - Jest cudowny, doktor Conridge. Jest pani szczęściarą, co?

Kiedy ten facet dostał się do jej biura? I nagle zdała sobie sprawę, że położył ramkę ze swoim zdjęciem na jej biurku. Jakby w jakiś sposób jego wielka, cudowna, bezwartościowa twarz pasowała do jej biurka.

Irene złapała solidną srebrną ramkę w obie dłonie i warknęła - Świnia.

Kiedy spojrzała znowu w górę, Jenny Fairgrove już dawno nie było.

\*\*\*\*\*

- Czy to najlepsze na co cię stać, Reeny?

Irene uśmiechnęła się i spojrzała za wycofującą się postacią jej randki, Bradley'em St. Jamesem z bostońskich St. Jamesów. - Ma całkiem sporą wiedzę na temat historii sztuki i ma etat.

- Oh. Tu cię mam! - parsknął Paul. Irene przejmowała się osobą Paula od kiedy pewnej nocy Jackie przyprowadziła go pianego, aby ukryć w domu po koncercie Devo. Jack powiedziała, że nie mogła po prostu zostawić zmiennego leżącego na środku ulicy. Następnego ranka, Irene znalazła ich skulonych na kanapie, prowadzących jedną z tych boleśnie długich osobistych dyskusji nad kawą, które ludzie lubili. Irene wiedziała, że będą razem na zawsze. Ponieważ był taki dobry dla jej przyjaciółki, Irene właściwie pozwalała mu zwracać się do niej "Reeny". On był jak starszy brat, którego nigdy nie miała, ani nie chciała mieć. Ale jeśli byłaby zmuszona do posiadania brata, chciałaby Paula.

- Wiesz co sobie właśnie uświadomiłem, Reeny, moja kochana?

- Co, mój miły?

Paul rozejrzał się po ogromnym pokoju wypełnionym ludźmi w ich najlepszych ubraniach i biżuterii, czekających na światło, które zasygnalizuje początek koncertu. - Wszyscy ci ludzie są ty, aby zobaczyć moją kobietę.

- Tak, to prawda. - Irene spojrzała na niego. Był w okropnie dobrym nastroju przez całą noc. - Twoja kobieta, co?

Paul wzruszył ramionami, ale nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Teraz nią jest. - Pochylił się i wyszeptał. - Oznaczyłem ją zeszłej nocy.

Irene złączyła swoje dłonie zanim zarzuciła je na szyję Paula. - Jestem taka szczęśliwa z waszego powodu!

- Dzięki, Reeny. Byłem tak zdenerwowany, że powie nie.

- Oszalałeś? - Irene odchyliła się, aby spojrzeć mu w twarz. - Ona cię kocha. Oczywiście, że powiedziała tak. - Pocałowała go w policzek. - Jestem szczęśliwa z powodu waszej dwójki. I jestem zadowolona, że najpierw ją zapytałeś.

- Oczywiście, że to zrobiłem. Musiałem zrobić to poprawnie dla mojej damy.

Irene zrobiła krok w tył i poprawiła swoją sukienkę. Nienawidziła jej, ale to Jackie wybrała ją dla niej, więc wyglądała na niej dobrze. Czuła się... wyeksponowana.

- Jak bardzo nienawidzisz tej sukienki?

- Bardzo.

Bradley wrócił z łazienki w momencie, kiedy światła dwukrotnie zamigotały, dając znać, że koncert zaraz się zacznie. Razem, wszyscy weszli do sali i zajęli swoje miejsca. Przez swoje koneksje, Irene i Paul musieli usiąść w boksie, w którym miejsca miały śmiesznie zawyżoną cenę.

Kiedy orkiestra akompaniująca stroiła instrumenty, do ich boksu wszedł boy i szepnął coś Bradley'owi do ucha.

- Zaraz wracam. - powiedział i uściśnął jej dłoń. Eeew. Spocone palce. Nienawidziła tego.

Kiedy już wyszedł i wytarła swoje dłonie w sukienkę, obróciła się do Paula. - Okej. Więc powiedz mi wprost. Kiedy się wyprawdzacie? Muszę wiedzieć, żeby mieć czas na opracowanie systemu, który przypominałby mi o płaceniu moich rachunków i jedzeniu.

- Możliwe, że zapomniałaś, ale żyję w domu z czwórką innych facetów. - Wyciągnął do niej swoją dłoń. - Powiedz cześć nowemu współlokatorowi.

Irene uśmiechnęła się. - Muszę powiedzieć, że mi ulżyło! Myślałam, że wasza dwójka zostawi mnie samą. - Złośliwie odepchnęła jego rękę.

- Nie ma takiej opcji. Jesteś jej najlepszą przyjaciółką. I jednym z kilku ludzi, których naprawdę toleruje...oprócz mnie, oczywiście.

Światła przygasły i dyrygent wyszedł na scenę. Widownia całkiem głośno klaskała, ponieważ był dość sławny, ale kiedy Jackie wyszła na scenę trzymając swoje skrzypce Stradivariusa, cała sala wybuchła oklaskami, włącznie z Irene i Paulem.

Jackie uśmiechnęła się i skłoniła głowę, czekając aż oklaski ucichną. Kiedy tak się stało, Bradley wrócił na swoje miejsce.

- Kiedy ty... - Irene przerwała, kiedy zdała sobie sprawę, że to nie Bradley siedzi obok niej, ale Van Holtz w pełnym fraku, jakżeby inaczej.

- Co ty do cholery tu robisz?

- Ciii. - Wskazał na Jackie. - Zaraz zacznie. - szepnął.

Pochyliła się i wyszeptwała - Gdzie jest Bradley?

- Mój szofer odwiózł go do domu.

Irene mrugnęła. - Żywego?

Van Holtz potrząsnął głową, wyraźnie nie dając się sprowokować.

Jackie zaczęła grać i Irene zmusiła się, żeby słuchać i podziwiać niesamowity talent swojej przyjaciółki, zamiast skupiać się na idiocie siedzącym obok. Pięć minut później, kiedy wziął ją za rękę i nie chciał puścić, nawet go nie udusiła.

Ale bardzo chciała. Szczególnie wtedy, kiedy zorientowała się, że jego dłonie są bardzo suche i cholernie przyjemne.

\*\*\*\*\*

Van prawie czuł się winny, że przestraszył randkę Irene, ale kurdupłowaty facet w średnim wieku, o imieniu Bradley nie był dla niej. Poza tym, naprawdę niewiele trzeba było, żeby gościa przekupić. Gdyby był jej wart, nigdy nie pozwoliłby się przekupić. Ale Bradley wziął pieniądze i poszedł na zewnątrz za szoferem Vana. Chuj.

I, co ważniejsze, czy mogłaby być piękniejsza niż kiedy cicho gotowała się ze złości? Myślał, że da mu popalić w trakcie przerwy, ale nie zrobiła tego. Po prostu wypila swoją szkoeką i po cichu wrzała. A Van miał czas, aby nauczyć się, że nie musi martwić się kręcącym się koło niej szakalem. Należał do jej przyjaciółki, Jackie i to było wszystko, co obchodziło Vana. Był trochę zmartwiony, kiedy zobaczył ich przytulających się, przed rozpoczęciem koncertu. Oczy Vana się zmrużyły i zastanawiał się jak ciężko będzie skrócić szakala w precla.

Przepychając się przez tłum ludzi kręcących się za sceną, trio kierowało się do przebieralni Jackie. Kolejny tłumek stał także tu i zdecydowali nie pchać się dopóki Jackie nie skończy pozdrawiać fanów i ludzi, którzy życzyli jej powodzenia.

- Kurwa. - wymruczał Paul, odwracając się do nich.

Irene spojrzała w górę. - Co się stało?

- Ten stary profesor Jackie tu jest. A jego kwiaty są większe od moich.

Oboje, ona i Van, wychylili się za Paula, żeby zobaczyć jak starszy facet całuje policzki Jackie i podaje jej tuzin róż.

Irene parsknęła. - Nie wiem czemu się o to martwisz. To zdarzyło się bardzo dawno temu i ten staruszek nie dorasta ci do pięt.

- Był jej pierwszą miłością.

- Wcale nie. Poza tym, miała wtedy tylko 18 lat, co jest straszne i obrzydliwe. Miał nad nią przewagę. Uwierz mi, ona definitywnie z tym skończyła.

Paul spojrzał na swój bukiet z pół tuzina róż. Zachowywał się, jakby zerwał chwasty z przed budynku.

W końcu Van nie mógł już znieść tego żalostnego wzroku szakala. - Nie martw się o to. - Dał znak swojemu szoferowi, który poszedł z dwoma tuzinami róż, które Van kazał mu przywieźć po podwiezieniu Bradley'a. Van wyjął bilecik z bukietu i włożył do niego ten Paula. - Daj jej te.

W szoku, Paul wziął ciężki podarunek od szofera. - Jesteś pewien?

- Jasne. No dalej. - Van złapał za bukiet Paula i położył bilecik na górze. Miał przecucie, że Jackie i tak nie będzie o to dbać, ale znał Paula dość dobrze, żeby wiedzieć, że będzie przeżywał to całą noc.

Paul kiwnął. - Dzięki, stary. Jestem twoim dłużnikiem.

- Nie ma problemu. Poza tym - dodał Van - nie podoba mi się ten koleś.

- Taa. Mi też nie.

Irene westchnęła i przewróciła oczami. - Po prostu daj jej kwiaty, żebyśmy mogli już stąd iść. - Spojrzała na Vana. - Męczy mnie takie towarzystwo.

Paul odszedł i Van oparł się o ścianę, gapiąc się w dół na biust Irene. - Wiesz, Irene, - powiedział nisko, żeby tylko ona mogła go usłyszeć. - kiedy jesteś dla mnie taka wredna...

- Tak?

- Sprawiasz, że jestem strasznie podniecony.

\*\*\*\*\*

Cóż, czy naprawdę myślała, że pozbędzie się go tak łatwo? Musiał być najbardziej zdeterminowanym facetem jakiego kiedykolwiek znała. Dlaczego był tak zdeterminowany w jej sprawie, Irene nie miała pojęcia. Dostał to czego chciał, więc czemu cała reszta była konieczna, Irene nie wiedziała.

- Powiesz mi co zrobiłeś z moją randką?

- Powiedziałem mu, że nie jest dla ciebie odpowiedni i jeśli odejdzie po cichu, bez zamieszania, nie złamię jego karku jak gałązki.

Irene spojrzała w górę na Van Holtza. - Mówisz poważnie?

- Bardzo.

- Nie rozumiem. - powiedziała, kręcąc głową.

- Czego nie rozumiesz?

- Dlaczego tu jesteś. - Przybliżyła się, więc i on to zrobił. Było prawie tak, jakby byli sami, a nie zamknięci w pokoju pełnym ludzi. - Jestem ze sobą szczerą, Van Holtz. Nie jestem piękna. Nie jestem miła. Większość ludzi wychodzi z siebie, żeby mnie unikać. Nie mam zbyt wielkiego poczucia humoru, nie jestem czarująca i jeśli ludzie nagle znikną z planety, prawdopodobnie nawet nie zauważę. Ty, natomiast, jesteś kulturalny, bogaty i totalnie zadufany w sobie. Masz więcej niż wystarczająco pięknych kobiet, które są przekonane, że jesteś tak wspaniały, jak sam wierzysz, że jesteś i nie mają problemu z mówieniem ci jak świetny jesteś każdego dnia aż do końca świata. Dodatkowo, nie musisz się nigdy martwić, że powiedzą coś nieodpowiedniego, albo niegrzecznego. Albo, że będą mądrzejsze od ciebie. Nie ma między nami nic, poza zadziwiająco dobrym seksem, ale bazując na tym, co mi mówiono, nie potrwa to długo. Więc...co to jest? Czego oczekujesz po tych małych, romantycznych popisach?

Irene gapiła się na niego, czekając na odpowiedź. I wciąż się gapiła. W końcu, pstryknęła - No i? Nie masz zamiaru mi odpowiedzieć?

- Odpowiedzieć na co?

- Na to wszystko, co przed chwilą powiedziałam.

- Oh, to. Przestałem słuchać i zamiast tego tylko patrzyłem na twoje usta, które są bardzo piękne, tak nawiasem mówiąc. Ale przewidziałem, że nie powiesz nic, co chciałbym usłyszeć, więc po prostu cię zignorowałem.

Kompletnie nie miała pojęcia co powiedzieć temu mężczyźnie. Po raz pierwszy, ktoś sprawił, że oniemiała i...trochę ją rozbawił.

- Czy ignorowanie mnie ma wpłynąć na moje przywiązanie do ciebie?

- Nie. To zadanie moich ud i moich zatoń-w-ich-głębinach-na-zawsze brązowych oczu. - Pochylił się, nawet bliżej i mrugnął kilka razy. - Hipnotyzujące, prawda?

Irene nie mogła tego dłużej powstrzymać. To wydostało się z niej i nie mogła tego zatrzymać. Nawet kiedy wszyscy obrócili się i gapili na nią, włączając w to Jackie i Paula, nie mogła przestać. A próbowała.

Ponieważ tak duża ilość śmiechu naprawdę tylko sprawiła, że jego ego jeszcze wzrosło.

\*\*\*\*\*

Wiedział, że nie grał fair, ale nie miał wyboru. Gdyby zaprosił ją na obiad, automatycznie powiedziała by nie. Więc zaprosił jej przyjaciół i wywnioskował, że też przyjdzie. Co...zrobiła.

Gdyby zaprosił ją do siebie, do domu, powiedziała by nie. Więc używając jako wymówki faktu, że Paul i Jackie właśnie się sparowali, zaaranżował dla nich pobyt w apartamencie dla nowożeńców w pięciogwiazdkowym hotelu jego kuzyna w śródmieściu, zanim wyjechaliby na kilka dni do Meksyku. Potem kierowca jego limuzyny zabrał ich do wspomnianego hotelu. Co jakby, w gruncie rzeczy, sprawiło, że Irene została opuszczona.

Van pomachał do limuzyny jeszcze raz, zanim obrócił się dookoła. Stała tam w iskrzącej się, czerwonej, długiej sukni, stukając jedną nogą, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, nie wyglądając nawet na w połowie tak wkurzoną, jak prawdopodobnie chciała być.

- Więc? - warknęła.

- Więc co?

- Jak dostanę się do domu? - uniosła swoją małą torebkę. - Mam całe pięć dolców w tej torebce, ponieważ Paul miał zapłacić za taksówkę.



- Powinnaś nosić ze sobą więcej pieniędzy. - Zmrużyła oczy i Van uniósł dłonie. - Przepraszam, przepraszam. - wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że może chciałabyś zobaczyć mój apartament. Jest niedaleko.

- Dlaczego miałabym chcieć zobaczyć twój apartament? Są tam zwierzęta z zoo?

Zawsze zadawała najdziwniejsze pytania. - Nie. Żadnych zwierząt. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Poza mną, oczywiście.

- Czy miałabym udawać, że mi się podoba, nawet jeśli tak nie jest?

- Dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ moja pierwsza reakcja jest zazwyczaj najszczerza, a traciłam już pieniądze z charytatywnych imprez uniwersyteckich przez tę pierwszą reakcję, kiedy obraziłam kogoś ważnego. Twoja rodzina daje dużo pieniędzy uniwersytetowi, więc chciałam wiedzieć, czy powinnam przybrać ten udawany uśmiech, który powoduje, że boli mnie twarz.

- Nie. Chcę, żebyś zawsze była ze mną szczerą, Irene. Nawet jeśli szczerokość ssie.

- Będziemy znowu uprawiać seks? - zapytała w ten sam sposób, w jaki ktoś pyta czy IRS<sup>2</sup> złoży mu wizytę.

- Jeśli chcesz.

- A ty chcesz?

Warknął. - Nawet nie masz pojęcia.

Rozejrzała się po pustej ulicy. - Mam zaległą pracę do zrobienia.

- Ty zawsze masz coś do zrobienia. To nie może być zdrowe, Irene. Musisz wziąć trochę czasu dla siebie.

- Cóż...Chciałabym znowu uprawiać z tobą seks. - Spojrzała na niego brutalnie szczerymi oczami i powiedziała - To było dużo przyjemniejsze, niż myślałam, że będzie.

Wiedząc, że w ona w żadnym wypadku nie żartuje, Van odpowiedział - Tak. Mi też się podobało. Może mogłabyś spędzić ze mną weekend.

- Powinnam pracować.

To definitywnie nie było "nie".

- Możesz pracować po południu.

- A przez resztę czasu będziemy uprawiać seks?

Van oczyścił gardło. - Tak, Irene. Przez resztę czasu będziemy uprawiać seks.

Po kilku długich chwilach, kiwnęła głową. - Dobrze, więc. Którędy do twojego apartamentu?

---

<sup>2</sup> Internal Revenue Service – Urząd podatkowy w USA

- Tędy.

Irene zaczęła iść na zachód i Van zawołał za nią. - Irene? - Obróciła się i spojrzała na niego. Trzymał wyciągniętą w jej kierunku dłoń i patrzyła się na nią przez kilka długich minut. Prawie widział jak jej mózg szuka odpowiednich odpowiedzi. W końcu, sięgnęła i włożyła swoją dłoń w jego.

Van splótł ich palce razem i skierował się do domu z Irene idącą zaraz obok niego.

I nigdy nie był szczęśliwszy.

## Rozdział 7

- Czy naprawdę potrzebujesz tych wszystkich pokoi, czy to jedyne miejsce, w którym możesz zmieścić swoją głowę?

Irene przyjęła kieliszek wina, który podał jej Van.

- Co ja słyszę, najwyraźniej dzisiejszego wieczora tarzamy się ze śmiechu.

Wzruszyła ramionami. - Tak sędzę. Odkryłam, że w twoim towarzystwie czuję się wyjątkowo komfortowo. Cóż...na tyle, na ile mogę się czuć komfortowo będąc z kimś nie do końca ludzkim. A ty nie jesteś do końca człowiekiem.

- Cóż za komplementy. - Wziął jej dłoń i dziwnie było nie odrzucić jej automatycznie.

Van oprowadził ją po apartamencie. Najwyraźniej był jego własnością jak i cały budynek. Meble gustowne, ale użyteczne. Właściwie czuła jakby mogła usiąść na kanapie. Każdy pokój był czysty i dobrze utrzymany. Ale jego kuchnia...nigdy nie widziała tak lśniącego wnętrza poza reklamami środków czyszczących.

- Jest bardzo...czysto.

- To kuchnia. Oczywiście, że jest czysto. Wolalabyś myśleć, że twoje jedzenie pochodzi z miejsca zasiedlonego przez karaluchy?

- Nie. Ale to wygląda na ponad standardową czystość.

- Wcale nie. - Van obrócił się, aby wyjąć piwo z lodówki.

Kiedy jego twarz się od niej odwróciła, Irene przesunęła stojak z nożami odrobinę w lewo.

- Dorastałem w otoczeniu szefów kuchni. - kontynuował, odwracając się i natychmiastowo przywracając stojakowi pierwotną pozycję. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, że to zrobił. - Zawsze utrzymujesz swoją kuchnię w czystości, albo zostaniesz upomniany. A mój wujek potrafi być naprawdę wredny. Zazwyczaj zaangażowane są w to kły.

Irene przytaknęła, zadziwiająco entuzjastyczna z powodu odkrycia zachowań obsesyjno-kompulsywnych w tym zawsze kontrolującym się, ale permanentnie napalonym wilku.

Patrzył na nią i Irene nie wiedziała co z tym zrobić. Żeby zrobić krok do przodu, powiedziała - Więc, mamy zamiar to zrobić czy co?

Już ściągała ramiączka swojej sukienki, kiedy postawił swoje nieotwarte piwo na czyściutkim blacie i złapał jej rękę.

- Hej, hej. Po co ten pośpiech?

Irene westchnęła w rozdrażnieniu. - Spójrz, mam obowiązki. Rzeczy do zrobienia. Nie jestem jakimś bogatym dzieciakiem, który może robić co tylko mu się podoba. Innymi słowy, muszę to załatwić i wracać do pracy.

- Czy ktoś straci życie, bo spędzisz trochę czasu w mojej kuchni?

- Życie? Oczywiście, że nie, ale...

- Więc zrelaksuj się, Irene.

Irene zdała sobie sprawę, że miała rację, więc zmarszczyła brwi koncentrując się na próbach zrelaksowania się.

Van Holtz uwolnił jej rękę. - Czy tak się relaksujesz?

Warknęła. - Jeśli będziesz wciąż gadał, nie będę w stanie. Muszę się skupić, aby się zrelaksować. Skupienie jest kluczem.

- Dobra. Wystarczy. - Van Holtz złapał jej rękę i wyciągnął za sobą z pokoju.

- Gdzie idziemy?

Nie odpowiedział, ale zaciągnął ją do sypialni. Ledwie pomyślała, O, Boże. Ale on szedł dalej do łazienki, która mogła pomieścić cały legion. Puścił ją i zamknął drzwi łazienki.

Irene poruszyła ramionami. - Pysznic? Pachnę nieświeżo?

Van Holtz parsknął śmiechem. - Doktoreczko, pachniesz wspaniale.

- Więc czemu jesteśmy w twojej łazience?

Podszedł do obscenicznie wielkiej wanny, która wyglądała raczej jak basen i odkręcił wodę. Zaczęła się szybko napelniać. - Pomyślałem, że weźmiemy kąpiel.

- Kąpiel? Ile ja mam lat? Osiem? Czy będą też bąbelki?

Pstryknął palcami. - Masz rację, Doktoreczko. - Podszedł do jednej z kabin i otworzył drzwi. - Jedna z moich kuzynek z Niemiec zatrzymała się tu jakieś sześć miesięcy temu i miała trzy córki. Myślę, że zostawiły...tak! - Obrócił się, trzymając plastikową butelkę. - Różowe bąbelki.

- Nie rozumiem. Czy to wstęp do seksu?

- Ze mną wszystko jest wstępem do seksu. - wymruczał, sprawdzając temperaturę wody zanim wylał całą zawartość butelki. - Ale nie chodzi tylko o seks. Zdecydowałem już.

Nie podobało jej się brzmienie tego stwierdzenia. - Zdecydowałeś o czym?

- Że zostajesz na weekend.

- Nie zgodziłam się na to i czemu miałabym?

Van Holtz wstał i podszedł do niej. - Ponieważ ja i ty będziemy spędzać razem czas. Będziemy oglądać telewizję, jeść pyszne jedzenie, które przygotowuję, może pójdziemy kupić chłam, którego nie potrzebujemy, i żadne z nas nie będzie wykonywać żadnego rodzaju pracy.

- Znowu...czemu miałabym to zrobić?

- Ponieważ spędzimy weekend poznając się nawzajem.

- Myślałam, że się znamy. I myślałam, że doszliśmy do wniosku, że jesteśmy przyjaciółmi...tylko.

- Jesteśmy przyjaciółmi. A przyjaciele spędzają ze sobą czas nic nie robiąc.

- Zapomnij. - Irene skierowała się do drzwi. - Mam tonę pracy laboratoryjnej, która na mnie czeka...

- Będzie też dużo seksu.

Irene zatrzymała się z ręką na klamce. - Seksu?

- Dużo seksu.

- Naprawdę? Czy to tylko jakaś tortura Van Holtzów?

Stanął za nią i mogła poczuć ciepło jego ciała, dotyk jego rąk na jej ramionach, palce wślizgujące się pod ramiączka jej sukienki. - Oh, będą też małe tortury. - obiecał. - Ale tylko te przyjemne.

\*\*\*\*\*

Van nigdy nie zdawał sobie sprawy jak długo trwało jego dzieciństwo. Chodzenie do szkoły, zabawa z innymi szczeniakami ze Sfory, umawianie się z ludzkimi dziewczynami i debatowanie z przyjaciółmi o najlepszych sposobach na utrzymanie kłów schowanych podczas seksu. Cholera, nawet polowanie w każde Święta Bożego Narodzenia w Connecticut z rodzicami i siostrą. Rzeczy które robił dla przyjemności, nie dlatego, że miał pieniądze, ale dlatego, że nie urodził się gorszy ani lepszy od innych zmiennych. Nie różnił się niczym od szczeniaków ze Sfory Magnusa czy Smithów. Wszystko, czego wymagali od niego rodzice to niepokazywanie publicznie kłów, nie pozwolenie swoim kolegom z gimnazjum na przekupienie się, aby mogli podglądać jego siostrę, kiedy nago wychodziła z pod prysznic, i nie lizanie się po jajach, kiedy wydaje się, że Sfora nie patrzy...bo zazwyczaj tak nie jest.

Po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, że ludzie mogą wymagać od niego czegoś więcej kiedy miał pięć, dziesięć, nawet dwadzieścia lat. Ale oczekiwali tego od Irene. Na jednym z wydarzeń charytatywnych, usłyszał rozmowę dwóch starszych profesorów, dyskutujących o tym, jak widzieli kiedyś Irene wygłaszającą przemowę na uniwersytecie prawie piętnaście lat wcześniej. Van nie miał pojęcia czemu dziesięciolatka musiała wygłaszać przemowę, w kilku językach, nie mniej, do delegatów uniwersytetów, o czymś innym niż pies, czy występy kucyków. Oczywiście, to wyjaśniało dlaczego była najbardziej szorstką osobą jaką znał. Jak mogłaby być inna niż szorstka i spięta?

Ale nadal, kiedy Irene stała w jego kuchni, desperacko próbując się zrelaksować, nagle wiedział co musi zrobić. Co chciał zrobić. Chciał pokazać jej jak to jest być niemiłosiernie, boleśnie, wspaniale przeciętnym. Nie przez cały czas, wiedział, że na to by nie pozwoliła, ale wystarczająco, aby mogła nauczyć się cieszyć wszystkimi niesamowitymi rzeczami, które może robić. I żeby nie umarła od wrzodu, albo nadciśnienia w wieku czterdziestu pięciu lat. Na przykład kąpiel, pomyślał podczas wrzucania jej nagiego ciała do jego wanny. Piszczala jak rasowa dziewczyna, dopóki nie uderzyła w wodę i wypłynęła prychając i będąc całkiem wkurzoną. Ale do tego czasu pozbył się już ubrań i wszedł do niej do wody, więc z łatwością objął ją w pasie i przyciągnął, zanim mogłaby się wściec.

- Robisz to tylko po to, żeby mnie zirytować?

Uśmiechał się, będąc zadowolonym z siebie i zdeterminowanym, aby dać jej wspaniały i relaksacyjny weekend, Van zsunął z twarzy Irene mokre włosy. - Nie bądź śmieszna, Doktoreczko. - Pocałował ją, podtrzymując podbródek. - Oczywiście, że robię to aby cię zirytować.

\*\*\*\*\*

Jakie to irytujące. Właściwie uważała, że jest słodki. I czarujący. Kiedy to się stało? Zawsze myślała o Van Holtzu jako o zepsutym bogatym chłopaczku z kiedyś-barbarzyńskiej Sfory drapieżnych wilków. Ale, kiedy był zmotywowany, potrafił być słodki i - niech go cholera - czarujący. Nawet podczas wrzucania jej do wody. Coś, czego zawsze nienawidziła. Ale potem, poczuła jego ciało przy jej, otoczone przez poruszającą się wodę, i bąbelki wdzierające się do jej nosa.

Dodatkowo lubiła sposób w jaki na nią patrzył. Większość mężczyzn patrzyła przez nią. Kobiet też. Wszyscy patrzyli przez nią, chyba że chcieli od niej czegoś. I zazwyczaj było to związane z uniwersytetem. W tej chwili, Van Holtz patrzył jakby jej mózg obchodził go mniej niż tych z departamentu Wielkiej Brytanii. Większość kobiet obraziłaby się. A, jako raczej dumna feministka, ona też by to zrobiła...gdyby chciała podyskutować o Teorii Chaosu. Nie chciała. Chciała jego. Chciała mieć z nim stosunek płciowy. Czekaj. To było niepoprawne. Nie chciała. Stosunki płciowe miała z mężczyznami takimi jak Bradley. Nie chciała tego z Van Holtzem.

Chciała go pieprzyć. Chciała zostać przez niego wypieprzona. Chciała się spocić i wymieniać się płynami i zapomnieć swojego imienia. Chciała wszystkiego, co noc z Van Holtzem oferowała, ale odmawiała chcieć więcej. Odmawiała zostania złapaną przez jej impulsy seksualne, przez które uwierzyłaby, choćby przez sekundę, że rzeczy, które robią mogłyby kiedykolwiek prowadzić do czegoś więcej. Kiedy to się skończy – a skończy się raczej prędzej niż później - znajdzie kolejnego Bradley'a, który przygotowuje świetny udziec na kolację z dziekanem.

Irene wiedziała, że to bardzo zimne spojrzenie na związki, nawet jak na nią, ale nie miała złudzeń, że dostanie kiedykolwiek coś więcej. Była zbyt silna, zbyt nietypowa, ale nie w słodki, uroczy sposób - aby kiedykolwiek marzyć, że ktoś mógłby ją pokochać taką jaka jest i była dostatecznie mądra, aby wiedzieć, że nigdy się nie zmieni. Nie swoją naturę. Inaczej się nie liczy. Nawet gdyby powściągnęła język i przestała przerażać studentów, nadal będzie Irene Conridge, dziwadłem. Nic, co robi tego nie zmieni.

Ale tym razem sobie pozwoli. Zasłużyła na to. Przez co najmniej dwadzieścia lat robiła to, czego ludzie od niej oczekiwali i chcieli. Teraz będzie robić to, czego ona chce, nawet jeśli tylko przez weekend. Tylko przez ten krótki czas w jej życiu.

Duże kciuki musnęły jej sutki i wszystkie ważne myśli Irene odleciały, nie zostawiając nic poza głębokim pożądaniem.

Rękoma objęła szyję Van Holtza, a nogami jego talię, przyciągając blisko do siebie. Zdumiało ją jego gorąco. Jego ciało zawsze było ciepłe, ale też czasami, jak teraz, gorące. Zastanawiała się, czy to normalne dla zmiennych. Czy temperatura ich ciał była wyższa niż innych, zwykłych ludzi. Zastanawiała się, czy pozwoliłby jej wziąć próbkę jego krwi. Potem podniósł ją i posadził na kafelkowej podłodze i szybko przestała przejmować się jego łańcuchem DNA.

Zanim zorientowała się co się dzieje, język Van Holtza wśliznął się do jej środka i Irene złapała za jego mokre włosy, przytrzymując jego usta przy sobie. Jej ciało poruszyło się, jej biodra i miednica przesunęły się do niego. Wyjście z gorącej wody sprawiło, że mocniej doświadczała zimnego powietrza, jej sutki stwardniały prawie boleśnie, pojawiła się gęsia skórka. Ale nagle zimno sprawiło, że była bardziej świadoma dłoni Van Holtza zaciśniętych na jej udach, jego ust i języka doprowadzających ją do orgazmu, kiedy trzęsała się i jęczała pod jego rękoma i ustami.

Niewiele mogło odciągnąć jej zainteresowanie od niego, uczującego na niej. Z jednakową intensywnością pozerając ją, zapierał jej dech.

Irene jęczała, kiedy dochodziła. Jęczała i skowyczała i błagała go, aby nie przestawał. Nie przestał. Zrobił to znowu i znowu, dopóki nie padł wykończona na kafelkowej podłodze, z nierównym oddechem, trzęsącym się ciałem.

Wciągnął ją z powrotem do gorącej wody, bąbelków było dużo mniej niż kiedy była w niej po raz pierwszy. Trzymał ją przy swoim ciele, głaszcząc jej plecy i ramiona, aż trzęsienie ustało.

- Przepraszam za to, - głupio przeprosił - ale wszystko o czym mogłem myśleć, to sprawienie abyś doszła.

Oparła głowę o krzywiznę jego szyi i westchnęła. - W każdej chwili. I nie potrzebne są żadne przeprosiny.

Nie próbował niczego innego, mimo że czuła jego niezaspokojone pożądanie, spoczywające na wnętrzu jej uda.

Przesuwając palce przez jego włosy wydała westchnienie satysfakcji - i zdecydowała sama się trochę zabawić.

\*\*\*\*\*

- Wiesz, czytałam tę książkę napisaną przez młodego pisarza homoseksualistę.

Van skrzywił się, zastanawiając się, gdzie może zmierzać ta konwersacja. Z Irene nigdy nie wiadomo.

- To był poradnik. O tym jak przeprowadzić seks oralny na mężczyźnie. Wiesz, jeden facet uczy drugiego. To było naprawdę fascynujące i zawsze zastanawiałam się nad kilkoma technikami, które omawiał - a! A! ściskasz trochę za mocno, Van Holtz.

Zmuszając się do rozluźnienia uchwytu, Van odchylił się trochę i spojrzał na Irene. - Wybacz.

- Nic nie szkodzi. Pamiętaj tylko, że łatwo się siniaczą. A teraz...gdzie to ja byłam?

- Zawsze zastanawiały cię techniki, o których pisał.

- Oh. Tak. Racja. - Spojrzała na niego spod rzęs, które, nigdy nie zauważył, były niesamowicie długie. Ciemnobrązowe i długie, kontrastowały z tymi lodowato niebieskimi oczami. Ale to przez spojrzenie, które mu rzuciła, Van wiedział, że się z nim droczy. Nie w sensie, że zostawi go i jego biednego fiuta,

aby sami sobie radzili, ale żartobliwie, jak kochanka. - Tak czy siak, uważam, że kilka z technik, które opisał są fascynujące, ale nie wiedziałam, czy którakolwiek z nich da takie efekty, jakie obiecywał.

Van zgrzytnął zębami. - I?

- Cóż, gdybyś zechciał zostać moim tester-ach!

Nie chciał wyrzucić jej z wanny tak po prostu i kiedy ślizgała się po kafelkach, które zamoczył wyciągając ją i wrzucając do wody poprzednio, poczuł ukłucie winy. Ale to nie przeszkodziło jego kutasowi w przejściu kontroli na mózgiem. Opierając dłonie o krawędź wanny, odbił się i wyskoczył na prawie pięć stóp wwyż. Złapał ręcznik, okręcił nim Irene i zaniósł ją do sypialni.

Ostrożnie położył ją na podłodze i odszedł, dając im trochę dystansu. Przeraziło go to, że rzucił się na nią jak na jakiegoś królika, którego niespodziewanie znalazł na podwórku.

Van zamknął drzwi do sypialni, tylko dlatego, że musiał zająć czymś ręce - i oparł się o nie. Wypuszczając oddech, spozjrzał na nią. Pozwól jej przejąć kontrolę, ostrzegł sam siebie.

- Więc...jak masz zamiar to zrobić? - zapytał, i był cholernie z siebie dumny, że udało mu się to wydusić.

Ale Irene zmarszczyła brwi w dezorientacji.

- Co? Co się stało? - Chryste, jak udało mu się to tak szybko zepsuć?

- Nie masz zamiaru mi rozkazywać?

- Hę?

- No wiesz. Powiedz mi czego chcesz.

Nagle to Van był zdezorientowany. - Myślałem, że nienawidzisz kiedy coś ci każe?

- Nienawidzę. Zazwyczaj. Na zewnątrz. - Wskazała na drzwi, przed którymi stał. - Ale zauważyłam, że moje reakcje seksualne są wyższe, gdy mi rozkazujesz podczas stosunku.

Van gapił się na nią. Nie wiedział co powiedzieć, ale nagle zaczęła błyszczeć i...czy to anielskie skrzydła?

- Och. To było niegrzeczne? Ja...

- Cisza, Irene.

Natychmiastowo przestała mówić i Van musiał usztywnić kolana, żeby się nie ugięły.

- Puść ręcznik.

Zrobiła to, pozwalając mu powoli opaść.

- Chodź tu.

Chwilę się wahała, a potem powoli podeszła do niego.



Pochylił się trochę, jego nos muskał jej podbródek i policzek. Wdychał jej zapach. Boże, pachnie tak dobrze. Irene odpowiedziała, pocierając swoim policzkiem o jego. Jej palce, wahając się, sunęły po jego bicepsach.

Van przycisnął swoje usta do jej ucha i delikatnie rozkazał - A teraz na kolana, Doktoreczko.

\*\*\*\*\*

Z rękoma na jej ramionach, Van osunął Irene na jej kolana. Jej oddech przyspieszył, kiedy klękła przed nim, jej ręce zsunęły się po jego udach.

Van Holtz rozstawił nogi i czekał. Miała przecucie, że pozwala jej wykonać pierwszy ruch, co doceniała, bo wciąż szacowała.

Irene w skupieniu obserwowała jego penisa, analizując go. W jej opinii, był anormalnie duży. Ale nie było to niewykonalne. Po prostu musiała znaleźć najlepszy dostęp.

- Za dużo myślisz, Doktoreczko. Nie rozszczepiasz atomów. To tylko mój fiut.

- Tak. Ale nawet ja przyznam, że jest raczej ogromny. Chcę tylko zagwarantować najwyższy poziom satysfakcji.

Posłał jej wolny, wielki uśmiech i jego oczy zdawały się ocieplać, kiedy ją obserwował. - Fakt, że przejmujesz się dostatecznie, aby się o to martwić, gwarantuje mi najwyższy poziom satysfakcji.

Irene też się uśmiechnęła, odkrywając, że jest to coraz łatwiejsze, i spojrzała z powrotem na...cóż...fiuta Van Holtza. Bo, żeby być szczerym, "penis" nie oddawało mu ani trochę sprawiedliwości.

W myślach wzruszyła ramionami, a potem pochyliła się do przodu, otaczając językiem główkę jego fiuta. Całe jego ciało poruszyło się i Irene wydała dźwięk zaskoczenia. Nie oczekiwała, że jego reakcje będą tak...intensywne. Jej pewność trochę wzrosła, Irene uniosła dłonie, przesuwając nimi po wnętrzach jego ud, jej palce przesunęły się po bliźnie, którą zostawiła wbijając mu nóż, gdy przeciągnęła językiem od podstawy, aż do końcówki.

Van jęknął, jego oczy zamknęły się, i rozstawił szerzej nogi. Jego palce zanurzyły się głęboko w jej włosach, zachęcając ją. I, z kolejnym mentalnym wzruszeniem ramion, Irene otoczyła ustami główkę i połknęła go całego.

Za pierwszym razem wzięła go do końca i Van wydał drżący chichot. Ruszyła do tyłu, mocno ssąc, kiedy koniec jej języka okręcił się dookoła główki, zanim znów go połknęła. Van wydał kolejny jęk, ten był głośny i długi. Ktoś tu kogoś zachęcał. Irene powtórzyła ruch i mogła poczuć go z tyłu gardła.

- Boże, Irene. - wydyszał. - Nauczyłaś się tego z książki?

Uh...właściwie, nie myślała tak naprawdę o książce, od kiedy zaczęła. Była zbyt zajęta myśleniem o nim. Więc, w tym momencie, słuchała instynktu.

Który wydawał się skutkować.

Sunąc rękoma w górę jego ud, wzięła do ręki jego jądra. Ścisnęła je, podczas ssania i ręka w jej włosach zacisnęła się.

Irene kontynuowała branie go za każdym razem głęboko do gardła, kiedy Van szarpnął jej włosy, zmuszając ją do spojrzenia na niego, bez wypuszczania jego fiuta.

- Przestań, kochanie. - wydyszał desperacko. - Zaraz dojdę.

Marszcząc brwi, Irene zastanawiała się, czy go puścić. Z jakiegoś grzesznego powodu, nie chciała tego zrobić. Zobaczyć to.

- Irene? - Jedną dłoń wypuściła jej włosy i dotknęła jej policzka. Odepchnęła ją i znów wzięła go do gardła.

Van potrzęsnał głową, gapiąc się na nią zaszokowany. - Jezu, Irene...

Ścisnęła jego jądra znowu i ssała mocno. Zaklął sekundy przed tym, jak eksplodował w jej ustach. Irene połknęła, kontynuując ssanie dopóki zaczął błagać ją, aby przestała.

Zrobiła to, wycofując się powoli.

Głowa Vana opadła do tyłu uderzając w drzwi, najwyraźniej był zmęczony, a Irene spojrzała na niego w górę, ciekawa. - Czy to zadziałało?

Jego oczy się otworzyły i gapił się na nią w dół, wciąż dysząc. - Hę?

- Pytałam czy to...

- Zamknij się, Irene. - Zamknął oczy i zaśmiał się. - Po prostu...zamknij się.

Zazwyczaj, poczułaby się obrażona, bo ktoś kazał jej się zamknąć, ale z jakiegoś powodu, nie była. Może dlatego, że wyglądał na takiego...usatysfakcjonowanego.

- Dobrze. Wnioskuje z twoich nagłych odpowiedzi i dyszenia, że zadziałało.

Otworzył jedno oko i spojrzał na nią. Kiedy warknął, chciała się odsunąć, ale złapał ją za ramiona i podniósł aż stanęła na stopach. Pocałował ją mocno, jedną ręką chwytając jej pierś, a drugą łapiąc tyłek i unosząc jej udo. Uchwyciła się jego szyi i oddała pocałunek. Nie wyglądał jakby się przejmował tym, że czuje swój smak na jej języku, co było dobre, ponieważ obraziłby ją.

Van ruszył do przodu, dopóki tył jej kolan nie trafił na łóżko, wtedy rzucił ją na materac. Odbiła się zanim wdrapał się na nią. Wepchnął swoje kolano między jej uda, jedną ręką unióś jej ręce nad głowę, a drugą ugniatał jej pierś, i przez cały czas ją całował.

- Czy wie pani, doktor Conridge, że nie wyjdzie pani z tego łóżka w najbliższym czasie?

- Oh. Cóż...

- Jeśli doprowadzasz mężczyznę do szaleństwa, - ostrzegł ją, kiedy kolejno ssał jej piersi, a jego palce wślizgiwały się w nią głęboko, - musisz za to zapłacić.

Nie miała na to absolutnie żadnej odpowiedzi.

## Rozdział 8

Irene obudziła się i odkryła, że Niles Van Holtz jest okręcony wokół niej niczym pyton. Jego głowa znajdowała się pomiędzy jej piersiami, jego ręce otaczały jej talię, a jego nogi były zaplecione z jej. Leżeli na boku, więc nie musiała brać na siebie całej jego wagi. Ale i tak nie miała pojęcia co zrobić z tym facetem. Chwycić za ramiona i potrząsnąć? Hhmmm. To wydaje się odrobinę nieczule. I troszkę ryzykowne. Z jej szczęściem, pewnie uderzyłby się w głowę i umarł z powodu tętniaka. Mogłaby go lekko szturchnąć w ramię i powiedzieć żeby się przesunął, ale nie budził się łatwo. Prawdopodobnie lepiej byłoby, gdyby uderzyła go kilkukrotnie. Zaraz. Nie. Bicie go też zostałyby uznane za niegrzeczne.

Wzdychając, ułożyła się wygodnie na poduszkach. Może po prostu zaczeka aż sam się obudzi. Męczyzna jego rozmiarów zazwyczaj jest kierowany przez głód. Będzie musiał niedługo coś zjeść.

Irene spojrzała na nich i zdała sobie sprawę, że jej ręce są złożone na jej boku. Z czystego kaprysu, uniosła ręce i objęła Van Holtza. Warknął przez sen i pomyślała czy powinna się przestraszyć. Ale zanim mogła coś zrobić, miękkie usta opadły na jej pierś, kiedy duże ręce przesunęły się po jej plecach.

Definitywnie nie była to niemiła reakcja. Zastanawiając się jak daleko tego typu rzeczy zajdą, Irene delikatnie przeczesała dłońmi włosy Van Holtza. Westchnął przez sen, jego uścisk wzmocnił się, a usta szukały aż znalazły sutek i ssały.

Sapnęła w zaskoczeniu, zadowolona i ciesząc się uczuciem jego ust na jej ciele. Wciąż spał, jego oczy były lekko przymknięte i wydawał ciche senne-warknięcia, które pochodziły z tyłu gardła.

Wepchnął swoją nogę między jej uda, jego kolano naciskało mocno na jej pachwinę, a jego usta i język pracowały nad jej sutkiem. Zanim Irene się zorientowała, przeszył ją orgazm, jej ciało wilo się aż ustały ostatnie dreszcze.

Kiedy tak leżała dysząc, ułożył swoją głowę między jej piersiami i zaczął chrapać. Ale pięć minut później otworzył oczy i rozejrzał się, ostatecznie skupiając na niej. Uśmiechnął się delikatnym, sennym uśmiechem, a grzywka wchodziła mu w oczy. - Dzień dobry, Doktoreczko.

- Dzień dobry.

- Jestem głodny. - Lubiła sposób w jaki po prostu to stwierdził.

- Uh...

- Zrobię nam śniadanie, a potem pójdziemy do centrum handlowego.

- Centrum?

- Nie martw się. Spodoba ci się. - Ziewnął i wypuścił ją, przekręcając się na plecy.

- Jestem napalony. - Stwierdził to tak jak "Jestem głodny".

- Uh...

Van Holtz wziął kondoma z szafki nocnej. - Nie masz nic przeciwko? Zanim wstaniemy?

- Uh...

- Fajnie. - Palce lekko sprawdziły i już był w niej, zanim mogła zastanowić się co powiedzieć. Kiedy pchnął, a ona wygięła się, aby go spotkać, wypuścił głęboki jęk. - Jezu, Irene. Jesteś już taka mokra. - Gapiąc się na nią, wyszczerzył się w TEN sposób. - Co robiłaś dziś rano?

\*\*\*\*\*

- Czemu jest tu tak dużo ludzi? Nie mają nic lepszego do roboty?

- Ciągłe mnie o to pytasz i... cholera. Gdzie jesteś?

Nic nie powiedziała, ale drań i tak ją znalazł. Przeklęte psie zmysły.

- Nie masz wstydu?

Irene wyszła zza stojaka z ubraniami za którym się chowała. - Nie czuję się najlepiej w tłumie.

- To centrum handlowe, Doktoreczko. Nie ma się czego bać. - Złapał jej rękę i przyciągnął do miejsca w którym stał. - Nie ma więcej ukrywania się. Przysięgam, to jak przebywanie z dziesięcioletkiem.

Tym razem mocno trzymał jej rękę, kiedy przechodził pomiędzy stojakami ze sprzętem sportowym. - Jak robisz zakupy na święta, jeśli nie możesz znieść centrum handlowego?

- Daję Jackie kilkaset dolarów i listę zakupów.

- Oh, to miłe.

- Ona lubi zakupy. Ja, natomiast, nie. Jeśli chce spędzać czas użerając się z tymi świątecznymi tłumami, będę więcej niż szczęśliwa dając jej pieniądze aby mogła to zrobić.

- Cóż, mówię ci już teraz... - Przytrzymał przy niej kostium i pokręcił głową. - Zły kolor. Tak czy siak. Oczekuję, że będziesz kupować prezentu dla mnie sama. A nie wysyłać jakiegoś lokaja, aby to zrobił.

Kiedy przychodziło do związków "na wyłączność" z żyjącym i oddychającym człowiekiem, Irene była pierwszą do przyznania, że prymuską to raczej nie jest. Ale zauważyła, że w miarę upływu dnia, po nocy, którą nawet markiz de Sade uznałby za ociekającą seksem, Van Holtz wciąż mówił rzeczy, po których kobieta z romantycznymi skłonnościami uwierzyłaby, że chciał czegoś bardziej stałego.

Dobrze, że wiedziała lepiej.

- Jedyną rzeczą, którą planuję ci dać jest zakaz zbliżania się.

- Ha ha. - Uniósł kolejny komplet. - To jest to. Kolor idealnie pasuje do twoich oczu.

- Moich oczu?

- Tak. Są cudownie błękitne. Potrzebujesz kolorów, które je uwydatnią.

- Mówiono mi, że moje oczy są dziwaczne i niepokojące. Jeden profesor z departamentu teologii określił je jako bezbożne.

- Myślę, że są podniecające. - Uniósł kostium. - Chcesz go przymierzyć?

Wyraz jej twarzy musiał dać mu do zrozumienia jakie ma o tym zdanie, ponieważ wzruszył ramionami i pociągnął ją do lady. Po kilku innych nabytkach, spacerowali przez centrum zastanawiając się nad zdobyciem czegoś do jedzenia, kiedy Van Holtz niespodziewanie wciągnął ją do sklepu z komiksami.

- Muszę coś sprawdzić dla jednego z moich kuzynów.

- Właściwie to ilu ty masz tych kuzynów?

- Dużo. Mówiłem ci, że mężczyźni od Van Holtzów to naturalni rozplodownicy. Mój ojciec skończył po dwójce, ale moi wujkowie - cała ich ósemka - nadal kontynuują. - Zatrzymał się i obrócił, żeby spojrzeć jej w twarz. - Ile chcesz mieć dzieci?

Wzruszyła ramionami. - Nigdy się nad tym...czekaj. Czemu pytasz?

Nagle wyglądał na tak zmieszanego jak ona się czuła. - Bez powodu. Pytam tylko ze względu na grzeczność.

- Okej.

Irene nie powiedziała nic więcej i zaczął przechodzić wzdłuż stojaków. Pięć minut później nagle powiedział - Ale chcesz mieć dzieci, prawda?

- Jeśli sztuczne zapłodnienie będzie tak niezawodne jak czytałam ostatnio...może.

- Sztuczne zapłodnienie?

- Tak. To się dzieje kiedy jajeczko...

- Wiem co to jest Irene. Tylko zastanawia mnie dlaczego planujesz dzieci w taki sposób.

- Naprawdę myślisz, że pozwolę na wymianę płynów między mną i Bradley'em?

Brwi Van Holtza zniżyły się i obserwowała jak zmienia się z stosunkowo normalnego człowieka w samca, który jest na skraju przemiany do formy zwierzęcej.

- Co? Co ja takiego powiedziałam?

- Co ma do tego Bradley?

- Nie myślałam konkretnie o nim. Mówiłam o Bradley'ach tego świata. - Wzruszyła ramionami. - Ta myśl sprawia, że mam gęsią skórkę. Więc, sztuczne zapłodnienie wygląda mi na najbezpieczniejszą i najmniej odrażającą metodę.

Van Holtz westchnął. - Prawda, to jest jakaś opcja. Albo mogłabyś po prostu uprawiać seks z kimś z kim chcesz to zrobić.

Wzruszyła ramionami i wzięła komiks o Supermanie. - Prawda. Ale to zdarza się tak rzadko. Ty jesteś pierwszy. Nie moim pierwszym partnerem seksualnym, jak ci mówiłam, ale pierwszym, z którym seks nie był przymusem.

Odstawiając torby z zakupami, które trzymał, Van Holtz przeczesał dłońmi swoje włosy. - Przysięgam, próbujesz sprawić, żebym oszalał.

- Co takiego powiedziałam tym razem?

- Zapomnij o tym. Koniec dyskusji.

Wzruszyła ramionami. - Okej.

Wrócił do szukania pośród komiksów, a Irene zaczęła czytać jeden z nich. Będąc szczerą, uważała, że są trudne do zrozumienia. Jej oczy nigdy nie wiedziały na którą chmurkę spojrzeć najpierw.

- Więc, - powiedział Van Holtz. - nie ważne czy sztuczne zapłodnienie, czy dobra staromodna metoda...ile dzieci?

Dlaczego nie chciał odpuścić, nigdy tego nie zrozumie. Ale nie chciała się z nim kłócić. Właściwie całkiem miło spędzała czas z Neandertalczykiem. - Myślałam o co najmniej dwojce. Jackie ma rodzeństwo i zdaje się ich lubić. Ja nie miałam, a fajnie byłoby mieć starszego brata, albo nawet siostrę jeśli nie byłaby tak mądra jak ja. Niepotrzebna rywalizacja. - dodała, kiedy na nią spojrział. - Tak. Więc co najmniej dwójka.

Van Holtz chrząknął. - Dobrze.

- Dlaczego dobrze? - Zignorował ją i wciąż przeszukiwał stosy. - Van Holtz?

- Uh... Przepraszam?

Irene obejrzała się przez ramię na trzech młodych chłopców stojących za nią. Dałaby im trzynaście czy czternaście lat. I tak nigdy nie była najlepsza w określaniu wieku.

- Tak?

Chłopcy spojrzeli po sobie nawzajem i z powrotem na nią. - Czy pani jest Doktor Irene Conridge?

Brwi Irene zmarszczyły się odrobinę i jeden z chłopców odwrócił wzrok.

- Tak. O co chodzi?

Chłopcy nagle odwrócili się i zaczęli szeptać między sobą, potem popchnęli jednego z nich do stolika od którego przyszli. Irene spojrzała na stolik i zobaczyła mapy, wielościanowe kostki, książki i wystarczająco dużo śmieciowego jedzenia do zniszczenia armii. Jedna z książek miała na okładce smoka w całej jego ognistej chwale. Powstrzymała uśmiech. Przypomniała sobie kilka nocy spędzonych jako potężny mag.

Wysłany do stolika chłopiec przeszukał swój ogromny plecak i wrócił z magazynem. Natychmiastowo rozpoznała swoją twarz na okładce i przypomniała sobie, że napisała artykuł o Teorii Chaosu do magazynu naukowego kilka miesięcy wcześniej. Kompletnie o tym zapomniała.

- Mogłaby pani to dla nas podpisać?

Irene wzięła gazetę. - Oczywiście. - Zanim mogła poprosić o długopis, Van Holtz wcisnął jej jeden w dłoń. Nie kłopotowała się nawet żeby spojrzeć na niego i zobaczyć wyraz jego twarzy. Mogła sobie wyobrazić całe to zadowolenie sama, dzięki.

Dowiedziała się jak chłopcy się nazywają i podpisała magazyn, nie pytając jak mają zamiar dzielić się tym szczególnym przedmiotem. Podczas podpisywania zapytała - Więc jaką kampanię przeprowadzacie, panowie?

Ich oczy wytrzeszczyły się w zaskoczeniu. - Gra pani w D&D?<sup>3</sup> - zapytał jeden z nich ze zgrozą. Miał niefortunny przypadek trądziku, z którego miała nadzieję wyrosnąć raczej wcześniej niż później.

- Właściwie to grałam. Minęło kilka lat. Kupujecie swoje modele, czy robicie je sami? - Zanim się zorientowała, zaciągnęli ją do stolika i dołączyło do nich kilku innych naukowych świrów. Dyskusja przeskoczyła z gry na Teorię Chaosu, potem generalnie naukę, matematykę aż w końcu wróciła do gier. Robiła co mogła odpowiadając na ich pytania i rozglądając się kilkakrotnie, szukając Van Holtza. Nie widziała go, więc pozwoliła sobie na moment cynizmu myśląc, że zostawił ją tu zniesmaczony. Mógł być dupkiem, ale nigdy nie widziała, żeby był aż takim draniem. Więc dalej odpowiadała na pytania i udawała, że się nie martwi.

\*\*\*\*\*

Van usiadł na ławce przed sklepem z komiksami. Odwiedził pobliską księgarnię i wybrał książkę "I Ty zrozumiesz Naukowca". Jeden rozdział i już się zgubił.

- Cóż, witam panie Van Holtz.

Van natychmiast rozpoznał ten namiętny głos i ledwie zdążył powstrzymać grymas. Spojrzał w górę i zmusił się do uśmiechu. - Farica. Cześć.

- Co tu robisz?

- Czekam na swoją randkę.

Mrugnęła kilka razy zanim przypomniała sobie o promiennym uśmiechu. - Randka, hę? I kto jest tą szczęściarą?

Jak na zawołanie, Irene wyszła ze sklepu z komiksami, jej nerdowski fanklub zaraz za nią.

- Tak. - mówiła. - Program otwarty jest każdego lata dla uczniów między trzynastym a szesnastym rokiem życia. - Chłopcy szli za nią i nie mogli zobaczyć jak desperacko porusza ustami - Pomóż. Mi.

Van wyszczerzył się, czując, że ta niesamowicie dziwaczna kobieta złapała jego serce. Mocno się w niej zakochał i nie miał kompletnie pomysłu co z tym zrobić poza brnięciem dalej.

- A co z ocenami. - Jeden z nich zapytał Irene.

- Chodzi bardziej o potencjał.

---

<sup>3</sup> D&D – Lochy i Smoki (Dungeons & Dragons) - najpopularniejsza i uważana za prekursora gatunku fabularna gra fantasy

Miała najcudowniejszy wyraz twarzy. Jakby zamknął ją w pokoju z rozjuszonymi wiewiórkami. Mógł powiedzieć, że nie będzie w stanie kontynuować "mile" pogawędki dłużej, więc zdecydował się uratować ją z rąk wyznawców.

Nie musiał robić dużo, tylko wstać. Chłopcy zatrzymali się i gapili w niemym przerażeniu kiedy podchodził.

- Na nas czas. - powiedział tylko, patrząc na młodych mężczyzn, aby dać im jasno do zrozumienia, że oznaczało to "idźcie sobie". Poszli, ale dopiero po potrząśnięciu ręką Irene więcej razy niż wydawało się to konieczne.

- Wszystko w porządku? - zapytał kiedy w końcu odeszli.

- Jestem wykończona i umieram z głodu.

- Więc chodźmy cię nakarmić. Oh. Czekaj. Mam coś dla ciebie. - Sięgnął do jednej z toreb i wyciągnął z niej T-shirt, który wybrał w jednym z śmiesznych nowych sklepów, kiedy ona stawiała czoła swoim fanom.

Irene rozłożyła T-shirt i przeczytała na głos - I DOS, therefore I am.<sup>4</sup>

- Pomyślałem, że brzmi odpowiednio nerdowsko. - Uśmiechnął się, ale Irene miała tak dziwny wyraz twarzy, że zmartwił się iż popełnił jakieś nerdowskie faux pas. - Co się stało? Nie podoba ci się?

Irene przełknęła i potrząsnęła głową. - Nie. Ja... - Wzięła głęboki wdech. - Uwielbiam ją. Dziękuję.

- Jesteś pewna? Mogę ją oddać.

Przycisnął koszulkę do piersi jakby próbował jej ją wyrwać siłą. - Powiedziałam, że ją kocham. - praktycznie warknęła. Jego matka brzmiała w podobny sposób, kiedy myślała, że hiena podeszła odrobinę zbyt blisko do jej młodych. - Cofnij się, Van Holtz.

Unióś ręce, dłońmi do góry. - Okej. Okej. Uspokój się.

- Jestem głodna. - powiedziała ściskając swoją koszulkę.

- Cóż, doktor Conridge, nie uważasz, że powinienem otrzymać odpowiednie podziękowanie za mój uroczy prezent?

Gapiała się na niego chwilę zanim rozejrzała się dookoła centrum, jej twarz się zaróżowiła. - Tutaj?

Zamknął oczy i zmusił się, aby się nie śmiać. - Nie to, Doktoreczko. Później. Kiedy będziemy sami, albo znajdziemy łazienkę. Pocałunek wystarczy.

- Oh! - Jej twarz poczerwieniała jeszcze bardziej. - Oh. - Uniosła się na palcach i pocałowała go w usta. - Dziękuję. - wyszeptała. - Naprawdę mi się podoba.

- Świetnie. A teraz chodźmy coś zjeść.

Van złapał torby z zakupami i próbował ją pociągnąć, ale gapiała się na coś za nim. - Co? - zapytał.

- Um... - skinęła na jakiś punkt nad jego ramieniem.

---

<sup>4</sup> "I DOS, therefore I am" - parafraza "Myślę, więc jestem". DOS to system operacyjny.



Obrócił się oczekując, że zobaczy jakieś kłopoty, ale wszystko co zobaczył to zszokowana i bardzo czerwona twarz Farici Bader. - Oh. Do zobaczenia, Farica. Przekaż swojej mamie pozdrowienia.

Van złapał dłoń Irene i skierował się do restauracji, która mogła spodobać się Irene. Oczywiście, fakt, że ta kobieta zazwyczaj jadała masło orzechowe i krakersy sugerował, że nie będzie zbyt wybredna przy jedzeniu.

\*\*\*\*\*

Irene nie wiedziała co zaskoczył ją bardziej. Prezent, który dał jej Van Holtz - najbardziej przemyślany prezent jaki kiedykolwiek dostała od mężczyzny, czy sposób w jaki zignorował długonogą łamaczkę męskich serc Faricę Bader? Ciężko zdecydować, bo każde jest wyjątkowe.

Van Holtz zabrał ją do restauracji w centrum handlowym i szybko zostali usadzeni przy oknie. Uroczo, więcej zakupowych widoków.

- Wiesz, że Farica Bader nie będzie szczęśliwa, że odrzuciłeś ją tak łatwo.

Rzucił jej spojrzenie znad menu. - Kto?

- Farica Bader. Rozmawiałeś z nią dwie sekundy temu.

- Oh. Ona. Tak. Pogodzi się z tym, jestem pewien.

Irene gapiała się na lemoniadę, którą postawił przed nią kelner. - Zdaje się, że cię lubi.

- Bardziej lubi nazwisko Van Holtz. Baderowie to mała Sfora. Chętnie połączyliby się z nami, aby nie musieć tracić więcej terytoriów na rzecz sfory Magnus, albo Smith. A teraz co myślisz nad zamówieniem czegoś do jedzenia?

Irene zdała sobie sprawę, że nadal trzyma w rękach swoją cudowną koszulkę, więc zmusiła się aby ją odłożyć na siedzenie obok niej. Potem zmartwiła się, że o niej zapomni, więc ułożyła ją na swoich kolanach, połowę chowając pod udem.

- Co ty robisz?

Poderwała głowę. - Nic. Myślę, że zjem burgera. - wyrzuciła z siebie w pośpiechu.

- Może być. Ale nie jedz za dużo, ugotuję nam dzisiaj kolację.

- Van Holtz nie musisz...

- Dlaczego nie mówisz do mnie Van, jak wszyscy inni?

- Chcesz, żebym mówiła do ciebie "z"?

Van Holtz zamrugał. - Co?

- Van po holendersku znaczy "z". Więc prosisz mnie, żeby mówiła do ciebie "z". Dodatkowo, Holtz znaczy budulec lub drewno. Więc twoje nazwisko, przetłumaczone dosłownie, to "z drewna" - Zakryła

usta, kiedy nagle zachichotała, szokując oboje. - Wybacz. - Kaszlnęła, aby zatrzymać śmiech. - Po prostu, po wczorajszej nocy, uważam, że to nazwisko pasuje.

- Wiesz Irene, jesteś jedyną osobą, którą znam, która umie obrazić mnie i komplementować jednocześnie.

- To taka cecha nauczyciela. - Jej dłoń automatycznie sięgnęła po koszulkę, muskając delikatnie paznokciami. - Co ty na to, żebym nazywała cię Holtz? Wolę mówić do ciebie "drewno" niż "z".

- Będiesz jedyną. - Odłożył menu. - To będzie twoje pieszczotliwe przezwisko dla mnie.

Irene oczyściła gardło. - Tak sądzę.

- Podoba mi się, że masz dla mnie osobiste przezwisko.

- Zawsze miałam dla ciebie pieszczotliwe przydomki, ale ty zawsze mówiłeś, że są niegrzeczne.

Śmiał się kręcąc głową. - Bachor.

Pojawił się kelner i Irene zamówiła jedzenie pierwsza. Podczas gdy Holtz zamawiał swoje, Irene wyglądała przez okno. Po kilku sekundach, westchnęła. - Musi być nowy.

- Kto musi być nowy?

Irene wskazała na mężczyznę po drugiej stronie korytarza centrum. - On. Musi być nowy.

- Nowym kim?

- Agentem. Amerykanin z taką lepką fryzurą. Wiesz, że żel do włosów jest przywilejem, a nie prawem? Tak czy siak, tych dobrych nie potrafię zauważyć przez godziny. Jego napuszony tyłek spostrzegłam jakieś dziesięć minut po tym jak wyszliśmy z twojego apartamentu. - Kelner wrócił z sałatką i Irene oderwała oczy od jasnej czerwonej koszuli, którą facet miał nerwy nosić, aby zjeść sałatę pokrytą rosyjskim sosem. Wtedy zorientowała się, że gapi się na nią Van Holtz.

- Co?

- Dlaczego chodzą za tobą agenci?

- Zawsze mnie śledzą. - Wzruszyła ramionami i upiła łyk drinka. - Kiedy byłam młodsza, może dwunastoletnia, to właściwie zabrali mnie do aresztu dla mojego bezpieczeństwa. - Parsknęła. - Tak na prawdę to chcieli po prostu trzymać mnie poza zasięgiem Sowietów. Sprowadzili nauczycieli do kompleksu, w którym mnie trzymali. I musiałam tam siedzieć całe dni, bez przyjaciół, bez rodziny - nie żeby byli przydatni, ale wciąż.

- Co się stało?

- Wypuścili mnie.

- Czemu mieliby to zrobić?

- Wysadziłam w powietrze połowę kompleksu i przemodelowałam przebieg ulic w odległości 30 mil. To był wypadek. Tak jakby.

- Masz na myśli tak jak uderzenie mnie belką i dźgnięcie nożem w nogę?

- To były wypadki. Gdybym naprawdę chciała cię dźgnąć, celowałabym przynajmniej w twarz.

- To urocze, Irene.

- Przepraszam. Świadomość, że wciąż mnie śledzą, wkurza mnie.

- Nie robią tego cały czas, prawda?

- Nie.

- Więc czemu robią to teraz?

Irene nie odpowiedziała, a Holtz odrobinę pochylił się nad stolikiem.

- Co zrobiłaś?

- Czemu myślisz, że cośkolwiek zrobiłam?

- Bo nie patrzysz mi w oczy.

Kiedy musiała spojrzeć na niego, aby zobaczyć wyraz jego twarzy, wiedziała, że naprawdę nie patrzyła mu w oczy.

- Nie będę z tobą o tym dyskutować.

- Czemu? Bo tego nie zrozumieję, czy dlatego, że zrobiłaś coś, o czym wiesz, że było złe?

- To nie fair. - Zniżyła głos do szeptu i pochyliła się nad stolikiem, aby nikt nie mógł ich usłyszeć. - To nie tak, że ktokolwiek z nas zabiera się za to szukając czegoś...niebezpiecznego. Miałam dobre intencje.

- Więc co się stało?

Westchnęła. - Skutki uboczne. Bardzo niebezpieczne skutki uboczne. - Skutki uboczne potrafiły zrujnować najlepsze eksperymenty.

- I ci ludzie chcą tego dla niebezpiecznych skutków ubocznych?

- Prawdopodobnie. - Wątpiła aby chcieli tego dla zdolności odżywczych.

- Więc zniszcz to...albo to dlatego byłaś w lesie tamtej nocy?

- Tak. To jest powód dla którego tam byłam. I zniszczyłam to...w większości.

- W większości?

- Nie pryčaj na mnie, - odchyliła się. - Nie masz pojęcia jak wiele godzin nad tym spędziłam. Cała praca którą w to włożyłam. Oczekujesz, że po prostu to wyrzucę?

Holtz wziął głęboki oddech. - Po pierwsze, muszę cię zapytać, czy istnieje jakiegokolwiek niebezpieczeństwo dla ludzi, przez to co tam wyrzuciłaś?

- Nie. Wcale. Daję słowo.

- Dobrze. - Potem patrzył na nią przez dłuższy czas, zanim powiedział - I po drugie...nie rozumiesz, że nie masz nic do udowodnienia?

Irene wzdrygnęła się. - Co to niby znaczy?

- To znaczy, że nie masz nic do udowodnienia nikomu poza sobą.

- To bzdura, Holtz. W tym biznesie, ciągle się udowadniasz. Ciągle się udoskonalas. Inaczej...

- Inaczej co? Inaczej możesz spędzić weekend ze swoim chłopakiem? Inaczej rząd przestanie cię śledzić? Inaczej będziesz mogła pozwolić sobie na relaks i po prostu miło spędzić czas na tej planecie? Czy to będzie takie złe?

Specjalnie wybrała zignorowanie komentarza o chłopaku i zamiast tego powiedziała - Kiedy wszystko, po czym jesteś rozpoznawany to twoja rozległa wiedza, nie chcesz jej stracić.

- Nie stracisz tego. Już wyciągnęłaś swoją ocenę, Irene. Teraz możesz się zrelaksować i robić co tylko chcesz.

- Nie. Nie mogę. Każdego dnia ktoś przychodzi chcąc wyrzucić mnie z mojego wywalzonego tronu. Chcąc wziąć to, co jest moje. Pomyśl o tym w kategoriach terytorialnych, Holtz. Coś, co potrafisz zrozumieć. To moja działka. Nie mam zamiaru rezygnować z tego dla kogokolwiek.

- Więc ryzykujesz życie swoje i innych trzymając coś, o czym wiesz, że jest niebezpieczne?

Irene opadła z powrotem na swoje siedzenie. Oparła łokcie na stoliku, splotła palce i oparła czoło o kłykcie. Kompletnie znienawidziła tego faceta za to, że miał rację.

- Spójrz, Irene, nie mówię ci, że musisz zająć się tym w tej chwili. Wiem, że masz to w jakimś bezpiecznym miejscu. Ale pomyśl, o tym, maleńka. Pamiętasz jak się czułaś stojąc przed hieną? Wyobraź to sobie na skalę globalną.

Irene zamknęła oczy, nie chcąc tego widzieć, ale powiedziała - Pomyślę o tym.

- To wszystko o co proszę. - Położył swoją serwetkę na stoliku. - A teraz, wybac, wracam za minutę.

- Potem wstał i już go nie było. Naprawdę miała nadzieję, że wróci, bo miała tylko pięć dolarów w kieszeni. Nie wystarczająco, aby zapłacić rachunek. Oczywiście, mogłaby zaczepić agenta na zewnątrz. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy wykorzystałaby fakt, że ich zauważyła na swoją korzyść. Niekoniecznie uważała, że robi dobrze, ale było zabawnie

Jedzenie pojawiło się w momencie, w którym Holtz wśliznął się na siedzenie, a Irene udało się powściągnąć emocje na tyle, żeby mieć się pod całkowitą kontrolą.

Holtz wziął od niej ketchup i umieścił obsceniczną ilość na swoim burgerze i obok frytek.

- Wszystko w porządku? - zapytała, podnosząc frytkę i zmuszając się do jedzenia.

- Już tak. - Odłożył ketchup na środek stolika i podniósł swojego burgera. - Ale, Irene, od teraz musisz mówić mi takie rzeczy. - Kiedy jej brwi się zmarszczyły, potrząsnął głową. - Nie. Nie o tym. Miałem na myśli, kiedy ludzie cię śledzą.

- Czemu?

Z ustami pełnymi jedzenia, wymamrotał - Jak mogę zadbać o twoje bezpieczeństwo, jeśli nie wiem co się dzieje?

- Zadać o moje bezpieczeństwo? Dlaczego miałbyś dbać o moje bezpieczeństwo?

- Nie wkurzaj mnie, Irene. Już jestem zirytowany, bo nie powiedziałaś mi o tym wcześniej. Bezpieczeństwo, to nie coś, z czym igrają Van Holtz'owie. - Wziął kolejnego ogromnego gryza i zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej pochłonie tego gigantycznego burgera w ciągu następnych sześćdziesięciu sekund. - Ale będziesz kryta. Od poniedziałku. Do tego czasu i tak jesteś ze mną.

Irene nie spodobał się dźwięk tych słów. - Od poniedziałku co?

- Będziesz miała ochronę.

- Ochronę? Nie chcę ochrony.

- Ale ją dostaniesz.

- Ale...

- Nie będziemy się o to kłócić, Doktoreczko. Jeśli rząd uważa za niezbędne mieć cię na oku, to potrzebujesz ochrony i ja upewnię się, żebyś ją miała.

Irene włożyła dłonie we włosy i patrzyła na stolik Formici. - Nie rozumiem.

- Co tu jest do rozumienia?

- Wszystko. Mam na myśli, dlaczego to robisz? Dlaczego przejmujesz się tym czy mam ochronę, czy nie?

- Nie wiesz?

- A wyglądam, jakby wiedziała?

Wyszczrzył się. - Nie. Wyglądasz na nieźle wkurzoną. Jesteś słodka, kiedy tak wyglądasz.

- Dziękuję ci. - powiedziała sztywno. - Więc wytłumacz mi, dlaczego czujesz potrzebę, aby mnie chronić?

Jego spojrzenie było długie i rozdrażnione. - Ponieważ, jako moją partnerkę na całe życie i ewentualnie żonę, odczuwam potrzebę upewnienia się, że jesteś chroniona.

- Twoja...twoja żona?

- Oczywiście. Wilki Van Holtz się żenią, kochanie. W odróżnieniu od wilków Magnus albo Smith, moje dzieci nie będą bękartami.

- Dzieci?

- No. Pamiętasz? Dwójka minimum. Ale i tak jestem za opcją trojka, albo ostatecznie czwórka. Ale tym będziemy się martwić później.

Irene gapiła się na Van Holtza z otwartymi ustami, a jej umysł był nagle przejrzysty pusty. Lata później mówiła na to "Krótkotrwałe katatoniczne coś, co miałam w latach osiemdziesiątych".

Holtz wyszczerzył się do niej, ketchup został w kąciku jego ust, i spojrzał w dół, na jej porcję. - Hej, będziesz jeść te frytki, kochanie?

## Rozdział 9

- Wy tłumacz mi jak wplątujesz się w takie sytuacje.

- Nie zaczynaj. - Irene zatrzymała się przed drzwiami swojego biura, wyciągając klucze i manewrując plecakiem tak, aby nagle nie obrócił się i nie uderzył jej w twarz - jak to się zdarzało wcześniej.

Nareszcie skończyła wykłady i, cytując jednego z uczniów, "Jejku! Wypuściła nas z niewoli beznadziei!". Cholerna, wszechwiedząca fizyczka. Była gorsza niż większość, których zna. Ale obwiniała jednego mężczyznę o jej mniej niż miły humor ostatnimi czasy.

- Po prostu nie rozumiem, Irene. Paul i ja wyjeżdżamy na trzy dni do Meksyku i kiedy wracamy, zastajemy cię zaręczoną.

- Nie jestem zaręczona, - burknęła. - Ten facet ma urojenia.

Irene wtargnęła do swojego biura, Jackie zaraz za nią. Rzuciła plecak na podłogę zanim przeszła za biurko.

- Przysięgam, ten facet przyczepił się do mnie jak izotop. Dosłownie nie mogę do zdjąć.

- Ostrzegalam cię przed wilkami. - Jackie opadła na krzesło naprzeciwko Irene, lokując stopy na wysłużonym drewnie. - Oni są obłąkani.

Irene praktycznie wpadła na swoje krzesło przy biurku. - Doprowadza mnie do szału, Jackie. Mówię serio. Nagle zdecydował, że jestem...na co się gapisz?

- Co to jest za twoją głową? Na tablicy korkowej?

Nawet nie musiała się obracać, żeby spojrzeć. Zamiast tego, Irene po prostu westchnęła. - To jego zdjęcie, prawda?

- Paul i ja zastanawialiśmy się dlaczego znajdujemy je po całym domu.

- Jak on się dostaje do domu? I mojego biura?

- Każdy szanujący się wilk potrafi otworzyć zamek wytrychem.

Irene położyła głowę na biurku. - Nic nie rozumiem, Jackie. To nie miało się wydarzyć. Nigdy nie byliśmy...on i ja...on nie może serio myśleć, że my...

- Oh, kochanie, może. I myśli. Ostrzegalam cię, wilki nie są zbyt często zakochane, ale kiedy są...bum! Potem trzymają się przez całe życie. Szczególnie mężczyźni.

- Najgorsze jest to, że on jest taki miły. Mam na myśli - Irene podniosła głowę, oparła łokcie i dłonie na blacie. - gdyby był totalnym osłem, mogłabym go rozerwać na strzępy bez wahania. Ciach, ciach, ciach i zostawiłabym go ja wielu mężczyzn i studentów przed nim. Ale on jest miły. Naprawdę miły. Nigdy nie miałam kogoś tak dla mnie miłego.

- On zawsze cię lubił, Irene.

- Super. Teraz i ty masz urojenia.

- Naprawdę. Nigdy nie zwracałaś na to uwagi, ale ja widzę wszystko, kochanie, i ta psina czuła do ciebie miętę od początku.

- Myślałam, że chciał tylko stosunku płciowego.

- Przestań to tak nazywać. I może tylko tego chciał na początku. Ale najwyraźniej to się zmieniło. Osobiście, wiedziałam, że wszystko już przesądzone w momencie, w którym doprowadził cię do śmiechu.

Wydając zdenerwowane warknięcie, Irene położyła głowę z powrotem na biurku. Kiedy tylko to zrobiła, zadzwonił telefon. Nie musiała nawet odbierać, żeby wiedzieć kto jest na drugim końcu.

Wyrwała słuchawkę z odbiornika. - Tak?

- Cześć, Doktoreczko.

Zajadłe zduśnięcie ten wybuch nerwowego podniecenia jakie wywołał jego głos za każdym razem, gdy go słyszała. - Van Holtz.

- Chcę cię dzisiaj zobaczyć.

- Mam pracę do zrobienia.

- Może około siódmej? Spotkaj się ze mną w restauracji, pójdziemy stąd.

- Mam pracę do zrobienia.

- Nie martw się o ubranie. Coś zwyczajnego. Dzinsy, koszulka.

- Mam pracę do zrobienia.

- To do zobaczenia.

- Mam pracę... - Ale już się rozłączył.

Irene odłożyła słuchawkę. - Mówię i mówię i jest tak jakbym nie mówiła nic.

- To taka wilcza cecha, kochanie.

- Co? Grubiaństwo?

- Ignorowanie. Wszystkie pieski to robią. Mówisz "nie, nie jedz ze stołu", a one idą dokładnie po to, żeby zjeść ze stołu, rzucając ci to niewinne spojrzenie przez cały czas.

- Więc co mam zrobić? Uderzyć go zrolowaną gazetą?

- Cóż, to zależy od ciebie.

- Niby co?

- Pytanie, które musisz sobie zadać, to czy naprawdę chcesz, żeby przestał?

- Nie rozu...

- Kochasz go, Irene?



- Co? Nie! Nie bądź śmieszna! Dlaczego mnie o to pytasz? Zamknij się.

- Okej. Wezmę to za "tak".

- Nie waż się. Nie kocham go. Jeśli już o tym mówimy, to ciebie też nie kocham.

- Kłamca. - z uśmiechem zaszydziła Jackie.

- Nie kocham nikogo. Jestem zimna i kalkulująca i jestem złośliwą, bezuczuciową suką.

Powtarzała to sobie od trzech dni. Nawet kiedy pojawiał się na jej schodach każdej nocy i go wpuszczała. Nawet kiedy zabierał ją do łóżka i upewniał się, że nie zazna ani minuty snu. Nawet kiedy rznął ją tak mocno i długo, że ledwo pamiętała swoje imię, jeszcze mniej teorie i wyniki laboratoryjne. Nawet wtedy, powtarzała sobie jak zimną, kalkulującą, bezuczuciową suką wciąż była. - I kiedy zobaczę tego bogatego idiotę, to jest dokładnie to, co mam zamiar mu powiedzieć.

- Aha.

- Myślisz, że tego nie zrobię?

- Myślę, że nie będziesz miała okazji.

- Zrobię okazję. - przyrzekła Irene.

\*\*\*\*\*

- A to są moi wujkowie Geert i Volker.

Nawet kiedy Irene powiedziała swoje uprzejme "witam" i potrząsnęła rękami jego licznych wujków, Van mógł słyszeć zgrzytanie jej zębów. Zaczął zastanawiać się, czy dentysta będzie konieczny przy takim tempie.

- Więc, poznałeś już wszystkich...którzy mieszkają w Ameryce Północnej.

- Poznasz resztę stada w Święta. - obiecał jego wujek Ulbrecht, a Van widział jak Irene zaciska pięści nawet kiedy przytakuje. Dla jego rodziny, Irene jest prawdopodobnie najgrzeczniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek przyprowadził do domu. Ale Van wiedział lepiej. Nie ośmieszyłyby się przed nimi, ale kiedy tylko dorwie go samego...

Irene spojrzała na niego przez ramię i zanim mogła cośkolwiek powiedzieć, on powiedział - Obiad gotowy.

Rodzina ruszyła do jadalni. Złapał dłoń Irene i, wbrew jego przewidywaniom, nie odepchnęła jej. Zamiast tego, obróciła się i spojrzała mu w twarz. Zbliżając się, jakby chciała mu coś szepnąć, wolną dłonią złapała jego fiuta i przekreśliła. Van chrząknął i zamknął oczy. Chciał zrobić coś więcej niż to, ale Irene wiedziała, że nie pokazałby słabości przed rodziną.

- To, co właśnie robię, mogę zapewnić cię, nie jest wypadkiem. - wypluła z siebie z pomiędzy zaciśniętych zębów i szarpnęła, aby podkreślić swoje zdanie. - Zrozumiałeś?

Van przytaknął i wypuściła go, podążając do jadalni.

Dzięki Bogu obiad przebiegał szybko i według planu. Van mógł widzieć lata praktyki Irene, kiedy zręcznie dawała sobie radę z każdym jego wujkiem i każdą ciotką, nawet raz nie zdradzając jak zła była naprawdę. Co, będąc szczerym, doceniał. Nie planował naciskać na nią w ten sposób, ale jego ojciec zaaranżował to małe wydarzenie i dał jasno do zrozumienia, że chce zobaczyć na nim Irene. Od kiedy emocjonalnie trzymała Vana na dystans kiedy podrzucił ją pod jej dom w poniedziałek rano - i powiedział wilkom, żeby jej strzegli jakby ich życia od tego zależały - wiedział, że nie zgodzi się łatwo. Więc, tak, porwał ją, w teorii. Siedząc obok niej na kanapie zaśmiecającej salon, podczas gdy reszta jego kuzynów wyciągała gry planszowe i karty, wyszeptał jej do ucha - Wciąż jesteś na mnie zła?

Nagrodziła go lekkim dreszczem.

- Tak. Nie lubię być zaskakiwana.

- Wiem, ale to była jedyna możliwość, żeby cię tu zaciągnąć.

- I musiałam tu być bo?

- Mój ojciec chciał nas zobaczyć razem.

- Następnym razem powiedz mu "nie".

- Jest samcem Alfa, kochanie. Nie mogę powiedzieć "nie" bez walki. - Van potrząsnął głową. - Poza tym, sposób w jaki się ostatnio zachowuje? Nie ma takiej opcji. Staram się przebłagać staruszka. I daj spokój, nie było tak źle, prawda?

Wzruszyła ramionami, jej łokieć spoczywał na oparciu kanapy, jej podbródek na dłoni. - Zeberka były zadowolające, tak mi się wydaje.

Wstrzymał chichot. - Dzięki. Ja je zrobiłem.

- Ostatecznie posiadasz jakieś talenty poza atrakcyjnością i byciem wrzodem na moim tyłku.

Van delikatnie ujął jej wolną dłoń. Tę samą, którą ścisnęła jego jaja. Musiał ją kochać...jeszcze jej nie zabił.

- Nie złość się na mnie.

- To nie miało zająć tak daleko. - wyszeptwała ostro. - Stosunek płciowy i nic więcej.

- Nigdy się na to nie zgodziłem.

- Nie. Ty chciałeś mnie tylko raz pocałować i potem miałeś wyjść. Zdaje mi się, że powiedziałeś „dwadzieścia sekund góra”. - Spojrzała na niego, a te jej oczy wciąż wyciskały oddech z jego płuc. - Twoje dwadzieścia sekund się skończyło, Van Holtz.

- Dwadzieścia sekund? Jesteś pewna, że nie powiedziałem dwadzieścia lat?

Warcząc, spróbowała wyrwać swoją dłoń. - Nawet tego nie próbuj. Wiem dokładnie co powiedziałaś.

- Może. A może, kiedy byłaś zagubiona w ramionach pożądania, źle mnie usłyszałaś.

Przestała walczyć i spojrzała na niego. - "Zagubiona w ramionach pożądania"?

- Ta. Co jest z tym nie tak?

Parsknęła śmiechem i odwróciła od niego wzrok. - Jack ma rację. Wszyscy jesteście obłąkani.

- I mówi to szakal. I chciałem tylko zapytać, czy jej rodzice celowo nazwali ją szakal Jackie?

- Przestań. - Irene opuściła głowę, ale mógł zobaczyć jak usilnie próbuje się nie roześmiać. - Po prostu skończ w tej chwili.

- To jak imię postaci z kreskówki.

- Dostała imię po swojej wspańskiej prababci i przestań natychmiast.

Van pochylił się, chowając nos przy jej karku. - No dalej, Doktoreczko. Chodźmy na spacer. Tęskniłem za tobą.

Irene przełknęła i zagapiła się na niego. Uśmiechnął się i sposób w jaki jej ciało jakby rozplynęło się na siedzeniu powiedział mu, że ją ma...dopóki...

- Czy chciałabyś do nas dołączyć, moja droga?

Wujek Verner patrzył się w dół na nich z tym cholernie wkurzającym uśmiechem na twarzy. *Jezu, czy to jest to spojrzenie, o którego posiadanie zawsze oskarżała mnie Irene? To tłumaczy, dlaczego jest taka wkurzona, kiedy to robię.*

- Dołączyć? - zapytała Irene, zabierając swoją dłoń z Vana.

- W przyjacielskiej grze w Ryzyko. - Wskazał na stolik, przy którym siedzieli dwaj jego wujkowie.

Irene potrząsnęła głową. - Myślę, że nie chce pan tego, proszę pana. - Sposób w jaki to powiedziała zmusił większość rodziny do obrócenia się i popatrzenia na nich.

- Nie chcę? - zapytał Verner, jego uśmiezek nie zniknął.

- Nie chce pan. Może Monopol albo Życie.

- Boisz się? - dopytywał Volker siedząc przy stoliku i układając się w wygodniejszej pozycji.

- Nie. Ale mam niesamowite szczęście w grach losowych i jestem bezlitosna. Przegracie, panowie. Zniszczę wasze krainy, wezmę wasze kobiety, zgwałcę waszych mężczyzn i zrobię z waszych dzieci moich niewolników. Zdobędę każdy zamek, dom i farmę, które będą w moim zasięgu. Nie będę usatysfakcjonowana, dopóki nie będę posiadać tego wszystkiego i was. Zniszczę was wszystkich, panowie i, szczerze, nie sądzę byście byli w stanie temu podoleć.

Van zakrył dłonią usta, aby powstrzymać śmiech i nie śmiał spojrzeć na siostrę. Verner cofnął się o krok, wskazując na stolik. - Teraz musimy nalegać.

- Jak pan sobie życzy. - Irene westchnęła i wstała. Spojrzała na Vana i puściła oko zanim odwróciła się do jego wujka. - Mam nadzieję, że jest pan "beksą", panie Van Holtz. Niczego nie kocham bardziej od lamentu mężczyzn, których unicestwiam.

\*\*\*\*\*

- Nie mogę uwierzyć, że doprowadziłaś go do płaczu.

- Nie zrobiłam tego. Po prostu uronił kilka łez.

- Ta. Myślę, że to nastąpiło, kiedy powiedziałaś mu "Teraz kontroluję twoje porty i posiadam twoich mężczyzn."

- Jego żona się śmiała.

Van otworzył drzwi do sypialni i Irene weszła do środka. - Miło tu.

- No. To mój pokój. Miłe, duże łóżko.

- Tak. To miłe duże łóżko. Będzie mi miło doświadczać go samej.

- Irene...

- Nie skoml, Holtz. To nieatrakcyjne.

- Okej, okej.

Holtz stanął za nią i nagle ogromny pokój wydał się taki maleńki.

- Irene, chciałbym ci podziękować.

Rzuciła na niego w górę spojrzenie. - Za co?

- Za dawanie sobie rady ze wszystkim, czegokolwiek moja rodzina nie wydziwi.

- Wydziwi?

- Ta. Wszyscy ostatnio dziwnie się zachowywali. Szczególnie mój ojciec. Nie wiem co się dzieje, ale wiem, że mi się to nie podoba.

- Może boi się, że jesteś gotowy zostać samcem Alfa.

- Jestem. Ale nie jestem gotowy, aby walczyć o to z moim ojcem.

- Ale bazując na moich lekturach...

- Twoich lekturach?

- Tak. Wstąpiłam wczoraj do biblioteki w czasie lunchu i poczytałam trochę o wilkach i ich strukturze socjalnej. - Holtz wyszczerzył się i miała nadzieję, że nie śmiał się z niej. - Nie śmieć się ze mnie.

- Nie śmieję. Serio. Myślę, że to... słodkie.

Przewróciła oczami. - Wygląda na to, że lubisz to słowo. Albo to, albo twoje słownictwo jest dosyć ograniczone. - Potrząsnęła głową. - Tak czy siak, bazując na tym jak zbudowana jest wilcza kultura, możliwe, że będziesz musiał walczyć ze swoim ojcem o przywództwo.

Zaśmiał się. - Gdyby to był dwunasty wiek, zgodziłbym się z tobą, Doktoreczko. Ale Van Holtzowie są ucywilizowani. Nie mam zamiaru zmasakrować swojego ojca, żeby udowodnić swoją gotowość na przejęcie wodzy. Staruszek będzie musiał po prostu to jakoś przełknąć.

Holtz wypuścił oddech, a jego oczy skupiły się na jej ustach. - Teraz, kiedy mamy to już uzgodnione...

- O, nie. Wynocha. - Irene popchnęła go - cóż, raczej pozwolił jej się popchnąć, zgadywała Irene - do drzwi i na korytarz.

- Daj spokój, Irene. - Opierając ręce na futrynie, Holtz pochylił się. - Pozwól mi zostać. Przysięgam, że nie pożałujesz.

- Twoja matka i ojciec są sześć pokoi dalej i mają wyostrzone zmysły. Nie ma takiej opcji, żebym pozwoliła ci spędzić tu noc.

- Martwisz się o te hałaśliwe rzeczy, które robisz?

- Holtz...

- Jeśli mnie ładnie poprosisz, mógłbym cię zakneblować.

Kończąc rozmowę, Irene zatrzęsnęła drzwiami przed twarzą Holtza. - Spadaj. Nie wracaj dopóki śniadanie nie będzie gotowe.

- Milusia.

\*\*\*\*\*

Van patrzył do lodówki i zastanawiał co chce zjeść. Co prawda, zjadł pełny posiłek z deserem, ale chciał więcej. Właściwie, to chciał Irene, ale, jak zwykle, postanowiła być niedostępna. Ale i tak, w końcu musiał przyznać, że lubi być zakochanym. Nigdy nie pomyślałby, że tak będzie. Zawsze myślał o tym jak o kolejnej pułapce. Ale Irene nie zastawiłaby zasadzki na nikogo. Ona naprawdę nie chce, żeby jej zawracać głowę. Właściwie, wyglądała na tak przestraszoną, jak on się czuł. Wiedział, że w końcu ją przekona. Przekona ją, że w jakiś nieznan sposób są dla siebie idealni. Poza tym, musiał coś zrobić. Nienawidził tego, że nie ma jej w jego łóżku. Tylko jedna noc oddzielnie i nigdy nie czuł się tak samotnie w całym życiu.

Van złapał zapach ojca za nim i nawet się nie odwrócił.

- Cześć, tato. - Chwycił jabłko, aby kontrolować głód i pomyślał o upolowaniu czegoś. Ale zanim mógł się ruszyć, warczenie jego ojca najeżyło włosy na karku Vana wymagając uwagi.

Powoli, Van obrócił się i stanął twarzą w twarz z samcem Alfa sfory Van Holtz. Jego ojcem. Stojąc na stole kuchennym, już zmieniony, Dieter Van Holtz patrzył zimno na swojego jedyne go syna. Wyszczrzył kły.

Wciąż trzymając jabłko, Van uniósł ręce, dłońmi do góry. - Tato. Proszę. Nie rób tego. - Ale wiedział, że już za późno. Wiedział co robi jego ojciec. Wiedział, że sfera stoi na zewnątrz, czekając aż starszy wyzwie młodszego.

Pazury jego ojca ruszyły w jego kierunku, kiedy skoczył ze stołu, popychając Vana przez tylne drzwi na werandę. Kiedy Van uderzył w twarde drewno, był już w wilczej formie.

\*\*\*\*\*

Irene siedziała na dużym, wygodnym fotelu w swoim pokoju, jej nagie nogi zgięte pod nią. Nosila jedną z koszulek Vana jako koszulę nocną. Ponieważ nie planowała spędzenia nocy, nie wzięła ze sobą żadnych ubrań.

Przewróciła stronę tandetnej książki w grubej oprawie, którą znalazła na półce w pokoju. Był to gatunek książek, które pozwalała sobie od czasu do czasu przeczytać, ale nie mając nic do zrobienia i będąc wciąż niezbyt senną, nie czuła się winna, że pozwala sobie na to teraz.

Prawie godzinę wcześniej słyszała wszystkie typy warczenia i mrużenia dochodzących z tyłu domu. Zignorowała to, mimo że była bardzo zmartwiona co się mogło dziać. Prawdopodobnie upolowali właśnie jakiegoś biednego jelenia, a ona wolałaby raczej o tym nie wiedzieć. Tak jak nie potrzebowała wiedzieć skąd pochodzi jej stek.

Szklane drzwi wiodące na balkon otworzyły się.

- Myślałam, że mieliśmy już tę dyskusję, Holtz...

Irene obserwowała ciemnobrązowego wilka, który zatoczył się do jej pokoju. Jak pokonał balkon, nie miała zielonego pojęcia. Dostyc niepokojąca ilość krwi ciągnęła się za nim, ale nie wiedziała czy to jego, czy jakiegoś innego.

- Holtz?

Podszedł do niej i oparł głowę na jej kolanach. W czasie, gdy ona gładziła jego włosy palcami, zmienił się w człowieka. Miał ślady ugryzień i zadrapań na większości tułowia, ale krwawienie nie było tak obfite, jak jej się wydawało.

Jego długie ręce otoczyły ją i przytulił się do niej. Po ostrożnym odłożeniu książki za fotel, użyła obydwu rąk, aby odciągnąć jego głowę i ramiona. - Co się stało? - zapytała łagodnie.

Westchnął głęboko. - Właśnie rozerwałem mojego ojca na kawałki, żebym mógł zostać następnym samcem Alfa sfory Van Holtz. Zostawiłem go zakrwawionego i leżącego tam, żebym mógł zabrać sforę na polowanie w lesie.

- Udowodnienie tego co zrobiłeś ci nie przeszkadzało.

- Prawda. - Przycisnął swoją głowę bliżej jej ciała, jakby chciał się w niej zanurzyć. - Udowodnienie, że jestem silniejszy od każdego z nich.

- Wyzwał cię, prawda?

- Wiedziałaś, że to się wydarzy. - To nie było pytanie.

- Tak. Wiedziałam. Nie wiedziałam kiedy, ale zgadywałam, że niedługo. Twój ojciec obserwował cię całą noc.

- Jeśli chciał, żeby został samcem Alfa teraz, powinien był po prostu mi to zostawić.

- To nie podziękowałyby i dobrze o tym wiesz. Oboje wiemy, że musiał to zrobić albo ryzykowałby, że któryś z jego braci lub ich synów wyzwie cię.

Holtz w końcu spojrzał w górę, posyłając jej smutny uśmiech. - To też wyczytałaś w czasie swojej wczorajszej wycieczki wilkoznawczej?

- W większości.

Holtz kiwnął głową i zabrał swoje ręce z dala od jej ciała. - Cóż, dziękuję. Nie było zupełnie nikogo innego, z kim mógłbym o tym porozmawiać.

- Jestem szczęśliwa... - Irene przełknęła swoje zdenerwowanie, wiedząc instynktownie jaki musi być następny krok. - Jestem szczęśliwa, że do mnie przyszedłeś. Ale jeszcze nie skończyłeś. - Czytała o tym w jednej ze swoich książek, wiedziała co musiał zrobić, aby zabezpieczyć swoją pozycję jako Alfa. Wiedziała co ona musi zrobić.

Holtz odwrócił poważne bursztynowe oczy w jej kierunku. - Co masz na myśli?

- Nalegali, żebym tu była nie bez powodu. I ty wiesz jakiego. Musisz to skończyć.

Patrzył na nią zmieszany przez kilka sekund, potem potrząsnął głową. Zdecydowany. - Nie. Nie ma takiej opcji, Irene.

Odepchnęła się od krzesła i wstała, ściągnęła koszulkę przez głowę i rzuciła ją na podłogę. - Musisz to dokończyć. Teraz. - Zanim ona straci swoje opanowanie.

- Nie, Irene. Ja nie... - Oczyszczył gardło. - To co mamy jest nasze. Niczyje więcej. Nie wciągnę cię w to tylko po to, żeby...zapomnij.

Irene podeszła do drzwi balkonowych i je otworzyła na oścież, potem podeszła do górnej szuflady komody i wyjęła z niej pudełko prezerwatyw, które znalazła wcześniej, kiedy szukała czegoś, co mogłaby założyć do snu. Wróciła do niego i patrzyła w dół na jego przystojną twarz. Czuła to dziwne uczucie w piersi. Przez kilka chwil martwiła się, że to coś, co wymaga natychmiastowej opieki lekarskiej. Potem Van Holtz spojrzał na nią w górę i uczucie podwoiło się, potroiło.

Kocha go.

I będzie chronić to co jej.

Kłękając przed nim, Irene sięgnęła i otoczyła ręką jego fiuta. Zaczął twardnieć kiedy tylko zdjęła koszulkę. Ale kiedy położyła na nim dłonie, nagle trzymała stalową rurę.

- Boże, Irene. - warknął. - Przestań.

- Nie ma innego wyjścia, Holtz. Nie daję ci innego. - Aby to udowodnić, pochyliła się i wzięła główkę jego penisa do ust. Jego oddech świsnął, a jego ręka wplotła się w jej włosy, chwytając tył jej głowy. Rozluźniając gardło, wzięła go całego i mocno ssała.

Ręka masująca jej głowę nagle miała pazury i Holtz odepchnął ją od siebie. Dał jej dokładnie tyle czasu, aby zdążyła założyć gumkę, zanim pchnął ją na plecy. Zanurzył w niej swojego fiuta zanim mogła pomyśleć co powiedzieć.

Irene umieściła swoje dłonie na jego biodrach i ścisnęła mocno, przyciągając go jeszcze bliżej. Pozwalając mu wiedzieć bez słów, że ona chce tego. Chce jego. I nie chce, żeby się powstrzymywał.

Patrzył na nią w dół oczami wilka. Ale przez zimne oczy drapieżnika zobaczyła więcej miłości i troski niż widziała kiedykolwiek u mężczyzny.

Holtz położył dłonie płasko na podłodze nad jej ramionami, napierając na jej ciało przedramionami. Trzymały ją w miejscu, kiedy wchodził w nią pierwszy raz. I następny. I następny.

I nie mogła ukryć jak dobrze było to czuć. Tak dobrze, że nie chciała, żeby kiedykolwiek przestał.

Wbijał się w nią znowu i znowu, nie pozwalając jego oczom opuścić jej twarzy. Nie pozwalając jej patrzeć gdzieś indziej niż na niego. Sposób w jaki w nią wchodził powinien boleć. Powinna błagać go, żeby przestał. Ale zamiast tego uniosła kolana, żeby mógł dostać się głębiej.

Nie zajęło długo, żeby ten orgazm przetoczył się przez nią. Żeby uderzył w nią z taką siłą, że krzyk jaki z niej wydobył był tak głośny, że prawdopodobnie usłyszano go na terytorium Stada Löwe.

Nie wiedziała kiedy zaczęły lecieć łzy, ale szlochała w czasie tego orgazmu i w czasie następnego. Przy trzecim, kazał jej naznaczyć go. Żeby zrobić go jej. Znalazła miejsce już krwawiące od pazurów jego ojca. Umieściła zęby na ranie i mocno ugryzła.

Je burczenie powiedziało jej, że to go boli, ale potem całe jego ciało zesztyniało i doszedł. Ich dwójka złączyła się tak pierwotnie, że działali tylko instynktownie.

Holtz leżał na niej, ich pot i wszystkie typy innych płynów mieszały się ze sobą. I Irene to zwyczajnie nie obchodziło. Właściwie, w końcu przyznała, że to uwielbia.

- Boże, Irene. Wszystko w porządku? - Jego ręce przesuwały się nad nią, uspokajając ją.

Przytaknęła, wciąż niepewna swojego głosu. I naprawdę nie chciała znów zacząć płakać.

Odchylił się i patrzył na nią. Jego oczy były znów ludzkie, jego siekacze zniknęły. - Jesteś pewna? Zraniłem cię?

Irene sięgnęła w górę jedną ręką i przebiegła palcami po jego policzku, ustach. Przypatrywała się uważnie jego twarzy, zapamiętując każdą linię, każdą bliznę.

- Kocham cię.

\*\*\*\*\*

Powiedziała to tak po prostu, zwyczajnie. W sposób, w jaki mówiła większość rzeczy. I tak po prostu cały świat Vana się zmienił. Stał się idealny.



Położył się na plecach, ciągnąc ją ze sobą, nie pozwalając jej odejść. Jego penis, okryty prezerwatywą, wciąż był w niej zanurzony i już nabierał ochoty na drugą rundę. - Kocham cię, Irene. Boże, kocham cię tak bardzo.

Objęła ramionami jego szyję i oparła głowę o jego ramię. Nic w jego życiu nie wydawało mu się tak odpowiednie. Van objął obie strony jej twarzy dłońmi i zmusił ją, żeby na niego spojrzała. – Ten raz, Irene, - powiedział miękko, kładąc ją z powrotem na plecach. - Ten raz jest tylko dla nas.

Potem wziął ją powoli i łagodnie, policzek Irene przyciśnięty do jego piersi, jej ręce mocno go trzymały.

I kiedy sfera wyła do nich na zewnątrz, razem z jego matką i ojcem, poczuł jak się uśmiechnęła.

## Rozdział 10

Van sięgnął po Irene, ale jego ręce dotknęły pustego łóżka. Otworzył oczy, rozejrzał się po pokoju i znalazł Irene stojącą w drzwiach tarasowych, patrzącą na niezbyt odległy ocean. Owinięta była prześcieradłem, a jej włosy wyglądały dziko i kompletnie nieokiełznane w świetle poranka. Wyglądała na dobrze wypieprzoną i chciał, żeby tak wyglądała najczęściej jak to możliwe.

- Coś się stało?

Spojrzała na niego przez ramię. - Czemu twierdzisz, że coś się stało?

- Nie czytasz, nie narzekasz, że musisz wracać do pracy i nie pracujesz. Po prostu stoisz i gapisz się, co oznacza, że myślisz...co oznacza, że coś się stało.

- Rozgryzłeś mnie całkiem szybko.

- Właściwie, miałem lata na rozgryzienie cię. Więc co się stało, Doktoreczko?

Oparła się o framugę. - Myślę o wczorajszej nocy.

- Żałujesz?

- Nie. - Zwróciła na niego te niesamowicie niebieskie oczy. - Ale mam nadzieję, że ty też nie.

- Dlaczego miałbym?

- Bo to się nie zmieni.

Nie zrozumiał jej. - Co się nie zmieni?

- Ja. To jest to. Bazując na genetyce, jedyne zmiany jakie widzę, to powiększanie się mojego tyłka i okazjonalnie pojawianie się pieprzyka, jeśli nie będę unikać słońca. Zwłaszcza mój mózg się nie zmieni aż do Alzheimerera, demencji lub tragicznej operacji głowy.

Śmiejąc się, Van położył się na łóżku. - Irene, o czym ty do cholery mówisz?

- Nigdy nie będę uprzejma, albo delikatna, albo grzeczna. Nigdy nie będę wyglądać lepiej niż teraz i jestem mocno przeciwna. - Uniosła dłoń zanim mógł coś powiedzieć. - Nie jestem ślepa i zawsze jestem ze sobą szczerą. I nigdy wcześniej mi to nie przeszkadzało. Jestem szczęśliwa z tego kim jestem. Mam ważniejsze sprawy na głowie niż to czy noszę ostatniego Gucci albo czy wyglądam grubo na zdjęciach.

- Okej.

- Żeby było jasne, nie mam zamiaru spędzić mojego życia martwiąc się czy wyglądam dla ciebie wystarczająco ładnie, albo rozczarowując cię, kiedy będziemy szli na tak nieziemsko okropny obiad, że wołałabym żuć paznokcie niż na niego iść. Ty tego chciałeś i teraz z tym utknąłeś.

Van podniósł brwi. - Skończyłaś?

- Tak. Powiedziałałam wszystko, co musiało być powiedziane.

- To dobrze. A teraz chodź tu.

Odwróciła się od drzwi i podeszła do łóżka. Uniósł kołdrę, a ona zrzuciła prześcieradło i się pod nią wśliznęła. Przyciągnął ją bliżej, kładąc ręce na jej plecach i wypychając kolano między jej uda. Oparł czoło na jej ramieniu.

Zaczął już zasypiać, kiedy klepnęła go w ramię.

- Co? - westchnął.

- Nie masz nic do powiedzenia?

- Nie.

- Kompletnie nic?

- Twoje zmartwienia są bezpodstawne i szukasz wymówki, żeby uciec. Nie dam ci jej i nie mam zamiaru zanudzać się bzdurnymi frazesami. Jeśli tego chciałaś, powinnaś była zostać z Bradley'em.

- Odstraszyłeś go. - przypomniała mu.

- I zwiewał jak dziewczynka. Ja nie. Więc zamknij się i śpij.

- Cóż, jeśli masz zamiar być niemiły...

- Wiesz, że jestem rano drażliwy.

- Aktualnie jesteś wręcz diaboliczny.

- Marudzisz.

Walnęła go w ramię, a on przekręcił ją na plecy, wykorzystując swoje ciało, żeby ją przytrzymać.

- Najwyraźniej muszę cię nauczyć właściwego sposobu okazywania szacunku samcowi Alfa. Albo, jak będziesz mnie od dziś nazywać, twojemu panu i władcy.

Irene patrzyła się na niego w górę, jej twarz - jak zwykle w takich momentach - bez wyrazu.

- Co? Wolałabyś „mój zbawco”?

\*\*\*\*\*

Dla Irene, najdziwniejsza część zmian w jej dotychczasowym życiu nastąpiła, kiedy skończyła pracę. Normalnie, nie kończyła pracy aż do następnego ranka. Spanie po trzy, cztery godziny to dla niej standard. Ale, po raz pierwszy od kiedy sięgała swoją niezawodną pamięcią, Irene czuła ochotę, żeby wyjść na noc. Czekala na coś.

Van dzielił się zarządzaniem główną restauracją Van Holtzów ze swoją siostrą - wymagane od wszystkich młodych Van Holtzów. W noce, kiedy pracował do późna, pracowała też Irene. Ale w noce, kiedy nie pracował, wracała do domu zazwyczaj nie później niż o siódmej. Zawsze przygotowywał dla niej posiłek, stale zmartwiony, że nie zjadła wystarczająco. Albo odpowiedniego jedzenia. Stanowczo odmawiał kupowania jej masła orzechowego i krakersów.

Po tym jak zjadła, a on porozmawiał z nią pijąc wino, zmieniał się i razem ze sforą wyruszał na polowanie, a ona oceniała prace i sprawdzała opisy laboratoryjne. Nigdy nie rozmawiali na temat jej powrotu do domu jej i Jackie, a ostatnio słyszała, że Paul w końcu się wprowadził.

To dziwne jak zmienni załatwiają rzeczy. Bez wielkich dyskusji czy informowania ludzi o planach. Jednego dnia żyjesz z przyjaciółką, uwielbiając swoje życie miejscowego geniusza, a następnego dowiadujesz się, że przeniosłaś się do posiadłości i nie wyróżniasz się z tłumu.

Kilka razy, w związku z jej pracą, Irene musiała zostać dłużej i albo Van, albo któryś z jego wilków odbierał ją. Van nienawidził kiedy zostawała długo, ciągle zmartwiony o jej bezpieczeństwo. Ale nie mogła nic na to poradzić, po prostu w domu nie miała tego, czego potrzebowała.

A potem, trzy dni temu, dotarła do domu i otworzyła drzwi pokoju, który dzieliła z Vanem, zauważyła stertę pudeł naprzeciwko pokoju, po drugiej stronie korytarza. Ponieważ wszystkie pudła były zaadresowane do niej, Irene postanowiła potworzyć pierwsze. Nie mogła ukryć w jakim była szoku, kiedy znalazła nowy komputer IMB AT Model 2<sup>5</sup> w jednym z pudeł. Reszta zawierała wszystkie niezbędne przewody i dodatki, włączając w to monitor z kolorowym wyświetlaczem. Załatwił jej nawet najnowszy model Traiblazera<sup>6</sup>, który był tak nowym produktem, że nie zdążyła nawet poprosić dziekana o podpis pod podaniem o zakup. Znalazła notatkę od Vana pomiędzy pudłami. Poprzez swoje zaskakująco czytelne pismo - jak na faceta - stwierdzał: "Teraz możesz przywlekać ten swój śliczny tyłeczek do domu na czas. Wiesz, że nie lubię czekać. Użyj tego pokoju jako gabinetu - jest w wygodnie bliskiej odległości od sypialni - i bądź naga, kiedy wrócę do domu. Kocham. - Van."

Przerośnięty dzieciak sprawił, że zostanie w pracy wydaje jej się praktycznie niemożliwe, kiedy nie prowadzi lekcji, albo nie jest skupiona na czymś szczególnym. Zazwyczaj, gdy nie miała nic szczególnego do roboty, potrafiła coś znaleźć. W ten sposób powstawały jej najbardziej...cóż...niestabilne, ale interesujące pomysły. A teraz chciała tylko zakończyć dzień na uniwersytecie, wrócić do domu, popracować tam kilka godzin, a potem spędzić resztę nocy tarzając się po jej łóżku z Nilesem Van Holtzem.

- Jak normalnie ludzie mogą tak żyć? - pytała swojego komputera, który nagle nie wydawał się tak świetny, jak ten, który miała w domu.

Jej telefon zadzwonił, a ona tylko patrzyła. Wiedziała, że to on. Ten, którego winiła za zrobienie z niej takiej zdziiry. A przynajmniej wyciągnięcie z niej odrobiny zdzirowatości.

Kiedy telefon zadzwonił szósty raz, w końcu go odebrała.

- Tak?

- Wiedziałem, że tam jesteś. Jak długo jeszcze każesz mi na siebie czekać?

- Do końca świata. - odcięła się.

- Co się stało?

- Ja...nie wierzę, że to mówię, ale chcę wrócić do domu.

---

<sup>5</sup> IMB AT Model 2 - model PC stworzonego w latach 80.

<sup>6</sup> Triblazer – firma produkująca modemy

Na początku nic nie powiedział, ale wyobraziła sobie, że może usłyszeć jego uśmiech. - Więc wróć do domu. - powiedział w końcu.

- Bałam się, że to może się zdarzyć.

- Co?

- Rozpraszasz mnie. Przy takim tempie nigdy nie dostanę Nagrody Nobla.

- Czy to nie jest nagroda pokojowa? Nigdy jej nie dostaniesz, bo jesteś...

- Zamknij się.

Zaśmiał się. - Wróć do domu, Doktoreczko. Chcę cię zobaczyć. A mój fiut umiera z potrzeby bycia w tobie.

- Tak było wczorajszej nocy. I dzisiaj rano. I myślałam, że jesteś wieczorem w restauracji.

- Taki był plan, ale Carrie poprosiła mnie, żebym się z nią zamienił. Ona i doradcy jadą gdzieś na weekend i chciała mieć wolny piątek.

- To miło z twojej strony.

- Najpierw zmusiłam ją, żeby mnie o to błagała. A potem musiała obiecać, że kupi mi Ferrari.

Irene westchnęła.

- Po co to westchnięcie?

- Po nic. To było zbyt głupie, żeby komentować.

- Więc wracasz niedługo?

Spojrzała na zegar na biurku i dostrzegła kolejną ramkę ze zdjęciem Holtza, którego nigdy wcześniej nie widziała siedząc naprzeciwko niego. Ze zdenerwowanym warknięciem przesunęła je na bok. Prawie dziewiąta i nie ma kompletnie nic skończonego. Teraz wróci do domu i nie dokończy nic, bo Holtz dosłownie złowi ją w korytarzu...a ona mu na to pozwoli.

- Mogłabym, tak myślę.

- Rety, czy mogłabyś brzmieć na jeszcze bardziej przepracowaną?

- Właściwie to tak.

- Wpadnę po ciebie.

- Nie kłopotz się. Jackie będzie tu za minutę i odwiezie mnie do domu.

- Jesteś pewna?

- A nie brzmię na pewną?

- Wiesz, że jeśli będziesz nieznośna, kiedy wrócisz do domu, to będę musiał cię znowu zerznąć.

Zamknęła oczy, jej ciało płonę na samo wspomnienie.

- Irene?

- Zamknij się. - pstryknęła palcami kiedy Jacie weszła i stanęła jakby była gotowa wyjść od razu. Albo wybiec. Irene zatrzymała dezercję Jackie podniesieniem jednego palca. - Jack tu jest. Wychodzę w tej chwili, ty napuszony, apodyktyczny, egoistyczny, niewydolny umysłowo bucu.

- Dlaczego po prostu tego nie przyznasz. - powiedział wzdychając. - Przyznaj, że kochasz mnie i mojego idealnie proporcjonalnego fiuta. I nie ma nic co kochasz bardziej od jego życiodajnego eliksiru.

Irene oparła się na krzesło i gapiła na Jackie z otwartymi ustami. - Życiodajnego eliksiru?

- Więc jak ty byś to nazwała?

- Ta przesolona wydzielina, której smaku nie mogę się pozbyć, a którą, nalegasz, żebym połykała.

Jackie przeszła na drugą stronę maleńkiego biura Irene i schowała twarz w rogu.

- Nalegam? Oboje wiemy, że błagasz mnie o to. - Jego głos się obniżył. - Chcę cię w domu. Teraz. I nagą w dziesięć minut po przekroczeniu progu. Wyrażam się jasno?

Wstała. - Wychodzimy i jedyne, co jest jasne, to to że jesteś klinicznym przypadkiem niepoczytalności.

- To prawda.

Irene rozłączyła się i wzięła swój plecak. Obróciła się do przyjaciółki, otworzyła jedną z szuflad biurka i wyjęła małą tytanową walizkę, którą schowała w sekretnej przegródce. W walizce miała szprycę wypełnioną ostatnimi pięćdziesięcioma gramami swojego wynalazku. Każdego dnia coraz bardziej żałowała, że to trzyma. Na dodatek, zdała sobie sprawę, że naprawdę tego nie potrzebuje. Holtz, zadowolony z siebie drań, w sumie miał rację. Poza tym, coś tak niebezpiecznego powinno być zniszczone. I tym razem upewni się, żeby unikać Rubikonu.

Włożyła walizkę do plecaka, zapięła go i założyła na plecy, szelki przełożyła przez ramiona.

Obeszła biurko, a Jackie zmarszczyła brwi, zatrzymując ją w miejscu. Jeśli dowiedziałyby się, że Irene zostało jeszcze trochę, Jackie przygwoździłaby jej tyłek do ściany.

- Co? - zapytała Irene, próbując nie brzmieć na spanikowaną.

- Kiedy zaczęłaś nosić dzinsy i koszulki do pracy?

Irene ledwo powstrzymała westchnięcie ulgi. - Od kiedy wstaję zbyt późno, żeby zrobić coś więcej niż wzięcie prysznic i włożenie tych ciuchów. Zabawne, moi studenci wyglądają na o wiele mniej zagrożonych przez mój ubiór, więc nie wiem co o tym sądzić.

Razem, kobiety wyszły z budynku i w dół po schodach, podczas gdy Jackie opowiedziała Irene jak przez Paula kuchnia stanęła w ogniu.

- Przysięgam, czasem nie wiem co on sobie myśli. - powiedziała znowu Jackie.

- Prawdopodobnie siedzi w twojej cipce tak głęboko, że nie może logicznie myśleć.

Zajęło to dobrą minutę, żeby Irene zorientowała się, że idzie sama.

Kiedy się obróciła, zobaczyła swoją przyjaciółkę siedzącą na schodach. - Co?

- Tak się tylko zastanawiam gdzie się podziała moja najlepsza przyjaciółka.

- Nie rozumiem.

- Opowiadanie żartów to jedno, ale używanie słowa "cipka" to co innego. Przynajmniej dla ciebie.

- Oh. To. Cóż, vagina brzmi zbyt klinicznie, kiedy dyskutujemy o tym dlaczego twój partner aktualnie funkcjonuje niepoprawnie.

Kręcąc głową, Jackie zgrabnie wstała. - Nie zauważyłam, że to nadchodzi.

- Czego nie zauważyłaś?

Jackie zeszła z pozostałych wschodów. - To znaczy, wiedziałam, że się w nim zakochasz. Wasza dwójka jest tak idealnie niedopasowana, jak moglibyście się w sobie nie zakochać? - Zatrzymała się przed Irene. - Ale nigdy nie pomyślałabym, że sprawi, że będziesz szczęśliwa. A przynajmniej nie w taki sposób. A on to zrobił, prawda Irene? Sprawił, że jesteś szczęśliwa?

Irene wzruszyła ramionami. - Nie myślałam o tym, ale chyba to prawda. On nie jest przy mnie...zakłopotany. Nawet jeśli nie rozumie ani jednego słowa z tego co mówię, nigdy ni wygląda na zakłopotanego. - Złapała paski swojego plecaka. - Muszę powiedzieć, że mi się to podoba.

Jack położyła dłoń na ramieniu Irene. - To dobrze. Zaslugujesz na szczęście, kochanie. A co z jego sforą?

- Wyglądają na przerażonych i totalnie nie mam pojęcia dlaczego. Zawsze jestem należycie uprzejma.

- Cena, którą płacisz jako nowa samica Alfa.

- Wszystko rozumiem, ale wybieganie z każdego pokoju do którego wejść wydaje mi się dosyć przykre, nie uważasz?

- Masz rację.

Irene zauważyła jasnoczerwonego Mercedesa Jack, ale zatrzymała przyjaciółkę zanim mogła skierować się do niego, jej oczy zwrócone były w stronę czarnego czterodrzwiowego samochodu z przyciemnianymi szybami zaparkowanego dokładnie przed nim.

Jack powąchała powietrze. - Irene, czuję ty...

- Witam, doktor Conridge.

Irene zerknęła przez ramię i ostrożnie zabrała swoją dłoń z dłoni Jackie. - Oh. Witaj, Jenny. - Obróciła się, aby stanąć z kobietą twarzą w twarz. - Potrzebujesz z czymś pomocy?

Dobrze wykarmiona dziewczyna z Iowa osłepiająco się uśmiechnęła, Irene tego nienawidziła. - Wiesz czego chcę, no nie, profesorko?

Irene przytaknęła. - Oczywiście, że wiem. - Podeszła do kobiety i pozwoliła złapać się mocno za ramię, podczas gdy trzech mężczyzn, wyglądających na wytrenowanych zabójców, wyszło z wozu i ruszyło w ich kierunku. - Muszę przyznać, że zawsze podejrzewałam Marka.

Jenny zaśmiała się. - Nie jest nawet w przybliżeniu tak inteligentny. Mam ją. - Powiedziała Jenny po rosyjsku i wskazała głową za Irene. - Zabijcie jej przyjaciółkę.

Sięgając po broń, jeden z mężczyzn obracał się, ale natychmiast zamarł. - Gdzie ona jest?

Irene nie śmiała pokazać emocji. Po prostu patrzyła przed siebie.

- Zapomnijcie o niej. - Jenny pchnęła Irene do w kierunku samochodu. - Nie będziesz nam sprawiać żadnych kłopotów, prawda, profesorko?

Opierając ręce na drzwiach samochodu, Irene obróciła się do Jenny Fairgrove, dziewczyny Ameryki. - Dlaczego miałabym to robić? - zapytała pewnie. - Obie wiemy, że lokatę uczuciową pokładam w moich wynalazkach. - uśmiechnęła się. - Za odpowiednią cenę, każdy może mnie mieć.

Z uśmiechem, Jenny wsiadła za Irene do wozu. - Dobrze wiedzieć, profesorko. Bo myślę, że uzna pani naszych ludzi za potrafiących się całkiem nieźle dostosować.

\*\*\*\*\*

Van wyszedł na tylną werandę i patrzył w las. Czuł niepokój i nie miał zielonego pojęcia czemu, ale wiedział, że mu się to nie spodoba. Jego kły wysunęły się z dziąseł, a jego wzrok zmienił się z ludzkiego na wilczy. Obserwował nerwowe wilki włączące się po terenie Van Holtzów i wiedział, że reszta sfory też to czuje. Coś było nie tak. Właściwie, coś było cholernie nie tak. Po prostu jeszcze nie wiedzieli co.

Jego siostra wyszła na ganek i stanęła obok.

- Jakież wieści od Irene? - zapytał.

- Jeszcze nie.

- Jackie?

- Nie.

Van zszedł po schodach, Carrie zaraz za nim.

- Powiedz nam co mamy zrobić.

Spojrzał na nią w dół i powiedział - Musicie...

Wyraźne, piskliwe wycie zatrzymało każdego wilka w odległości mili. To nie było wilcze wycie. To szakał.

Nawet nie zdał sobie sprawy z tego, że się zmienił, dopóki nie spojrzał w dół na swoje cztery łapy przedzierające się przez ciemność, zmierzające w kierunku wycia. Jego sfera biegła zaraz za nim.

\*\*\*\*\*



Wielki facet w samochodzie podskoczył i wyjrzał przez okna.

- Co to do cholery było? - zapytał jeden z nich.

- Szakał. - powiedziała cicho Irene obserwując jak ulice miasta zmieniają się w przedmieścia. Nie wieźli jej na główne lotnisko, tylko na jedno z małych lądowisk. Jedno ze zbudowanych tylko dla prywatnych samolotów.

- Czy ona właśnie nazwała nas szakalami? - zażartował jeden z nich.

Irene wyszczerzyła się, co starło uśmiech z twarzy mężczyzny. - Nie. Powiedziałam, że wycie, które słyszeliście było wyciem szakała. - Spojrzała na Jenny. - Przyjdą po ciebie.

Jenny spojrzała na faceta, a on na nią. Była bardzo zaniepokojona tym, że ma wariatkę w wozie. - Szakale po mnie przyjdą?

- Nie. Wilki.

Jenny westchnęła. - Dlaczego, dlaczego to mi zawsze trafiają się wariaci?

- Oh! - Irene wskazała podekscytowana. - Widzisz to miejsce, tam?

- Co z nim?

- To tam się wszystko zaczęło. Tam przekroczyłam Rubikon.

Rozdrażniona, Jenny warknęła - O czym ty, do kurwy nędzy, gadasz?

- To pora karmienia. - wyszeptała Irene.

- Koniec tego. - Jenny wyrzuciła obie ręce w górę. - Uśpijmy ją.

Irene znów usłyszała piskliwe wycie i ruszyła się, uderzając łokciem w tył, dokładnie w nos Jenny. Chrupnięcie chrząstki nigdy wcześniej nie brzmiało tak pięknie.

Jenny wrzasnęła i zasłoniła twarz, krew tryskała spomiędzy jej palców. Irene walnęła pięścią w jaja faceta siedzącego obok niej. Jęknął z bólu, ale nie zemdlał, na co liczyła Irene. Zamiast tego, złapał się za krocze, ale dało jej to okazję do sięgnięcia za nim i otwarcia drzwi.

Droga się przesuwała, a Irene szybko obliczyła prędkość z jaką się poruszali, wysokość wozu, swoją aktualną wagę, wagę plecaka i potencjalne uderzenie samochód-ziemia.

Ustawiając swoje ciało pod kątem 26,8 stopnia, Irene wzięła głęboki oddech, licząc na szczęście, i wyskoczyła z jadącego samochodu.

## Rozdział 11

Ciało Irene przetoczyło się kilkakrotnie zanim zderzyła się z bezwzględną drogą. Sapiąc, kiedy całe jej ciało bolało, Irene uniosła głowę. Sekundę zajęło jej zorientowanie się, że palce jej prawej ręki są drętwe. Okej, więc jej obliczenia były odrobinę niepoprawne. Dobrze, że jest leworęczna.

Dźwięk hamowania zmusił Irene do obrócenia głowy. Samochód zawrócił i wiedziała, że w każdej chwili może zacząć się na nią kierować.

Zmuszając się do powstania, Irene zatoczyła się w stronę lasu. Zignorowała oślepiający ból pulsujący w nadgarstku i lepkie uczucie krwi spływającej jej po twarzy. Co ją znacznie bardziej martwiło, to sposób w jaki jej wzrok się zaciemniał. Ostatnią rzeczą, jaka była jej potrzebna to omdlenie.

Potrząsając głowę i zmuszając się do każdego kroku, Irene brnęła do przodu, wiedząc doskonale gdzie powinna być. Dokładnie wiedziała gdzie musi ich poprowadzić. To była jej jedyna szansa i mogła doprowadzić do jej śmierci. Lepiej zginąć we własnym kraju niż w jakimś miejscu, w którym nigdy nie była.

Byli za nią, szybko się zbliżając, jednak mogła usłyszeć jednego z mężczyzn mówiącego im, żeby jej nie gonili. Irene wciąż miała plecak, który nieziemsko jej ciążył. Ale zdejmując go straciłaby jeszcze więcej czasu, więc szła dalej.

Jej pamięć kierowała nią, mówiła którądy iść. Jej pamięć to jednocześnie dar i klątwa. Bez niej teraz byłaby martwa. Z nią, może skończyć uwięziona w laboratorium w Rosji. Fajne możliwości.

Irene zobaczyła przerzedzenie wśród drzew, skupiła swoją siłę woli na przedarciu się przez drzewa. Musiała to zrobić.

Wielkie dłonie złapały jej plecak i włosy, ciągnąc do tyłu. Irene machała ramionami i nadepnęła stopą na jego, powodując zdrowy ryk bólu, zanim rzucił nią w drzewo.

Oszołomiona, Irene użyła drzewa, żeby się podnieść, i przeszła za nie. Poleciała do przodu, potknęła się i upadła na ziemię. Ale doszła do przejaśnienia. Przeszła przez Rubikon.

- Ty jebana ździro! - Jenny Fairgrove splunęła na nią podciągając ją w górę za włosy. - Gdzie tak uciekałaś, profesorko? Myślałaś, że gdzie pójdziesz? Nigdy się od nas nie uwolnisz.

Męskie ręce wyrwały ją od Jenny i Irene czekała. Na policzek, uderzenie. Coś, co przypominałoby, że to oni kontrolują sytuację, a nie ona.

Nie będąc w stanie dalej walczyć, Irene czekała. Ale wiedziała, wiedziała, że jeśli nie pozbawią jej przytomności, to będzie dalej walczyć. Walczyć, aż ją zabiją.

Niestety, to leżało w jej naturze.

Jednak wielkie ręce w jej włosach były też jedynym, co powstrzymało ją przed upadkiem.

Spojrzała na drugiego mężczyznę idącego w jej kierunku, wypluwającego po rosyjsku przekleństwa pod jej adresem. Był jakieś półtora metra od niej, kiedy wszyscy usłyszeli śmiech i zatrzymali się.

Irene wyszczerzyła się. - Witajcie na moim terenie, towarzysze.

Szybko starła krew z oczu i obserwowała jak agent obraca się w kierunku dźwięku, a jedna z klanu Dupris zderza się z nim i zaciska szczęki na jego głowie.

Wielki Rosjanin krzyknął, biegnąc po swoją broń, ale nigdy nie domyśliłby się jak wielka była rodzina i klan Dupris. "Rozmnażają się jak króliki" narzekał zawsze Van. I nigdy nie była za to tak wdzięczna.

Złapali agenta za części ciała, o których istnienia prawdopodobnie nawet nie czuł i zaczęła się brzydka szarpanina. Przez cały czas, kiedy odrywali mięso od jego kości i członki od korpusu, śmiali się. Dźwięk, który wydawali, gdy byli podekscytowani.

Najwyraźniej byli całkiem podnieceni.

Inny agent uniósł broń i próbował wciągnąć Irene z powrotem między drzewa nawet kiedy oglądał masakrę przed sobą. Ale nagle pojawiły się wilki, napadając na niego od tyłu.

Pchnięta przez pęd i przez to, że wciąż trzymał ją za włosy, dostała się razem z nimi prosto w sam środek pola bitwy. Oddał strzał, ale wielka złota łapa uderzyła jego rękę, miażdżąc ją swoim ciężarem. Piskliwy wrzask był tak głośny, że mógł zostać usłyszany nawet ponad wyciem, warczeniem i rykiem.

Irene wyplątała palce mężczyzny ze swoich włosów i odepchnęła się. Ale zanim mogła rzucić się od ucieczki, lufa pistoletu przycisnęła się do jej gardła.

- Wstawaj.

Prawie zawyla. Trzeci agent. Kierowca. Całkiem o nim zapomniała. Podciągnął ją na nogi, obrócił i złapał za gardło.

Warknął, jego dłoń zaciskała się na jej szyi, jego złote oczy świeciły się w ciemności. - Powiniennem cię teraz zabić. - I pomyślała, że to robi, ale zatrzymał się, kiedy twarz wściekłego mężczyzny przysunęła się blisko jego wydając długie i niskie warczenie.

Agent spojrział na kompletnie nagiego Nilesa Van Holtza. Ale tak po prawdzie to nie nagość przyciągnęła jego uwagę, tylko te kły.

\*\*\*\*\*

Van nawet nie musiał mówić temu skurwysynowi, żeby puścił jego kobietę, on po prostu wiedział, że to mądre posunięcie. Irene odeszła i Van skupił całą swoją uwagę na mężczyźnie, który nie należał do jego terytorium.

- Co masz zamiar z tym zrobić psinko? - zadrwił facet.

Jezu, nienawidził tygrysów syberyjskich. Zawsze. Mogły być gorsze od lwów.

Ale nie musiał wykonywać pierwszego ruchu. Jego siostra to zrobiła. Carrie kiedyś umawiała się z tygrysem i wciąż nienawidziła gnoi. Wpadła na jego plecy kiedy zmieniał się z człowieka w tygrysa, a Van ruszył za nimi. Kilkoro ze sfory dołączyło. Wielki drań musiał ważyć co najmniej ponad trzysta kilo i kiedy się przemienił miał koło trzech metrów. Ale potem dwóch z samców rozplodowych Löwe go dorwało.

Bójka nie trwała długo kiedy hiena odgryzła jedną z nóg tygrysa. Ale Van usłyszał dźwięk nabijania pistoletu. Obejrzał się i zobaczył lufę .45 kierującą się w jego stronę, trzymaną przez gorącą blondynę z czymś, co wyglądało na złamany nos.

Wyszczerzył kły, gotowy na rzucenie się jej do gardła, kiedy pojawiła się Irene, która, jak głupio myślał Van, miała biec do domu niczym przerażona dziewczynka. Zamiast tego, podeszła od tyłu do blondynki i otoczyła prawym ramieniem szyję kobiety, jej przedramię dociskało gardło. Jej lewa ręka wśliznęła się pod rękę blondyny, unosząc ją i broń, pokazując kobiecie pojemnik, który Irene trzyma w lewej dłoni.

- Chcesz wiedzieć nad czym pracuję, Jenny? - pytała Irene. - Więc proszę bardzo! - Wbiła igłę w szyję kobiety i nacisnęła tłok wydając złośliwe warknięcie niczym wilczyca.

Z trudem łapiąc powietrze, Irene zatoczyła się do tyłu, a blond włosy samica upadła na kolana. Wyciągnęła strzykawkę ze swojej szyi i patrzyła się na nią. Ale po sekundzie, cokolwiek Irene na niej użyła, zaczęło działać, przeżerając się przez szyję i niszcząc jej twarz.

Krzyki kobiety stały się zagłuszonymi szlochami, jej skóra ropiała i rozpuszczała się na ich oczach. Krew już nie była zatrzymana przez ludzkie ciało i rozlała się na ziemi. A kiedy gnijące kości Jenny upadły w piach...dawno już odeszła.

\*\*\*\*\*

- Co...co ty zrobiłaś?

Irene otworzyła oczy. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że je zamknęła, dopóki ich nie otworzyła. Wtedy też zorientowała się, że wszyscy na nią patrzą.

- Nie martw się. - powiedziała do jednej z samic ze Stada. - To była ostatnia porcja. - Irene nie zadała sobie trudu i nie wspomniała, że może łatwo zrobić to znowu mając kilka podstawowych artykułów codziennego użytku i listek gumy do żucia. Nie. Wspomnienie o tym to nienajlepszy pomysł.

Holtz poszedł do niej, jego siostra i Jackie zaraz za nim. Patrzył jej w twarz. - O co chodzi? - zapytał delikatnie.

- Złamany nadgarstek, tak myślę.

Skrzywił się i wskazał na kilku członków Sfory, którzy pobiegli w las. - Musimy zabrać cię do szpitala, kochanie. Nasz lekarz nie może tu tego wyleczyć.

Irene wzruszyła ramionami, a potem żałowała, że to zrobiła. Znow zamknęła oczy, dopóki nie nadeszły nudności, kiedy ból już przeszedł. - W porządku.

- A co z jej resztkami? - Dopytywała się kolejna samica ze Stada. - Nasze dzieci się tu bawią. Polujemy tu...

- Jakie resztki? - zapytała Irene

Obserwowała jak wszyscy gapią się na miejsce, w którym Jenny Fairgrove zmarła bolesną śmiercią. Nie pozostało ani jednego kawałka kości czy plamki krwi.

Co było powodem, dla którego chcieli tego Rosjanie. Miła, czysta, wydajna metoda zabijania.

- Nie martwcie się. Nie zostaje po tym śladu, nic niebezpiecznego. Jutro w tym miejscu będą kwiaty.

Van uśmiechnął się, kiedy odsuwał zbłąkane, mokre od potu włosy z jej twarzy. - Kwiaty?

- Nie osądzaj.

- Nie osądzam. To po prostu tak bardzo w typie "Irene".

Irene spojrzała na swoje ramię. - Na prawdę myślę, że powinnam iść i zaopiekować się tym. Ból staje się całkiem nie do zniesienia.

- Czujesz teraz ból nie do zniesienia? - zapytała jedna z wilczyc. Irene nie nauczyła się jeszcze imion członków Sfory.

- Tak. - odpowiedziała prosto Irene. - Ja po prostu nie jestem typem krzykacza...zamknij się, Holtz.

- Nic nie powiedziałem. - zaśmiał się.

Holtz chwycił za jej nieuszkodzoną rękę. - Chodź, kochanie. Zabierzmy cię do szpitala. - Z łatwością wziął ją na ręce, ostrożnie, aby nie poruszyć jej zranioną kończyną.

Nigdy wcześniej Irene nie czuła się tak bezpieczna, taka ważna. A jego ciało tak uspokajająco ogrzewało jej jak nic nigdy...

- Irene!

Irene otworzyła oczy. - Co?

- Nie mdlej, kochanie. Potrzebuję, żebyś była przytomna.

Irene nie wiedziała o co mu chodzi, dopóki nie rozejrzała się i zdała sobie sprawę, że byli już prawie w domu.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Po prostu trzymaj te śliczne niebieskie oczy otwarte.

Zachichotała. - Jesteś jedyną osobą, którą znam, a która lubi moje oczy.

- Uważam, że są wspaniałe. I liczy się tylko to co ja mówię. Jeszcze się tego nie nauczyłaś?

- Tak, nauczyłam. Złapałam cię też podczas ganiań własnego ogona, więc wybac mi, jeśli nie jestem jeszcze gotowa, żeby wpisać cię jako ośrodek wiedzy.

Warknął kiedy kilka wilków odwróciło się do nich i zaczęło śmiać. - Nie ma już między nami nic świętego? - dopytywał się. Potem dodał przy jej uchu. - Poza tym, to znów mnie upokarzało.

Zaśmiała się i poczuła jego uśmiech przy swoim policzku. O tak, to na pewno jedna z tych rzeczy, które kochała w Holtzu...to, że, na swój sposób, był tak dziwny jak i ona.

Oczywiście, to też oznaczało, że ich dzieci będą kompletnymi świrami.

\*\*\*\*\*

Van chodził po korytarzu, podczas gdy lekarze nad nią pracowali. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że zapewnią Irene najlepszą opiekę, ponieważ szpital miał skrzydło pediatryczne imienia Van Holtza. Ale i tak nie będzie się czuł pewny, dopóki jej nie zobaczy. Dopóki nie będzie wiedział, że wszystko z nią w porządku.

- Nudzisz mnie.

Van zignorował swoją siostrę i poszedł w stronę podwójnych drzwi prowadzących do izby pogotowia.

- Nilesie Van Holtz, nawet się nie waż.

Obracając się, Van podszedł z powrotem do siostry.

Irene zemdliała podczas jazdy. Nic, co robił, nie mogło jej obudzić, co go szczerze martwiło. Wiedział, że nie mógłby jej teraz stracić. Była dla niego wszystkim. Absolutnie wszystkim.

Co było powodem dla którego od początku nie chciał się zakochać! I, będąc szczerym, obwinił ją o swój aktualny nawrót zamartwień. Jak śmiała go w sobie rozkochać! Jak śmiała być tak cholernie słodka i cudowna i kompletnie nieświadoma czegokolwiek oddalonego od normalności i człowieczeństwa, przez co nie miał wyjścia i musiał się w niej zakochać.

- Przestań dyszeć, albo przyniosę ci psią miskę. - warknęła siostra.

Lekarze wyszli na korytarz i gdyby jego siostra nie dotarła do mężczyzn przed nim, rozerwałby pierwszego, którego dorwałby w swoje ręce.

- Co z nią, doktorze Bennet? - zapytała trzymając Vana z daleka.

- Właściwie, jest całkiem dobrze. Poinformowała nas jak prawidłowo założyć gips i wdaliśmy się w miłą, długą debatę na temat tego, czy jakiegokolwiek leki będą potrzebne w jej wypadku.

W tym momencie Van już przestał walczyć ze swoją siostrą i gapił się na lekarza. - Nie zrobiła tego.

- Oh, tak, zrobiła.

- Więc mogę wnioskować, że będzie z nią w porządku?

- Oh, oczywiście. Przebadaliśmy ją od góry do dołu i zrobiliśmy rezonans.

- Rezonans? Po co?

- Ponieważ miała podejrzenia, że może mieć skrzep.

- Czy miała skrzep?

- Nie.

- Więc dlaczego...

Lekarz uniósł rękę, kiedy jego koledzy pochylili głowy i starali się nie śmiać. - Proszę, panie Van Holtz. Wierzę, że odpowiedziałem na wszystkie pytania i udzieliłem wszystkich informacji jakie jakikolwiek człowiek może znieść. Zatrzymamy ją na obserwacji na noc. Tylko prewencyjnie. Jutro - najlepiej rano - może pan ją zabrać do domu. Albo po prostu gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Było coraz więcej prychnania z wstrzymywanego śmiechu, kiedy inni lekarze zaczęli się oddalać, a Van pokiwał głową. - Zrozumiałem.

- Dobrze. Teraz proszę dać im kilka minut na zabranie jej do pokoju i potem może się pan z nią zobaczyć. A teraz, jeśli pan wybaczy, muszę udać się gdzieś bardzo, bardzo daleko.

Lekarz odszedł, a Van spojrzał na swoją siostrę. Uśmiechnęła się w sposób, który uważał za uśmiezek Van Holtzów. - A ty się martwiłeś.

\*\*\*\*\*

Irene patrzyła na swój gips. Dzięki Bogu, to było czyste złamanie, lekarz musiał tylko nastawić jej rękę i umieścić w gipsie. Niepotrzebne były żadne operacje. Ale i tak dyskutowała z mężczyzną, czy to właściwe postępowanie. Jej dawne badania pokazały, że...ahhhhhh, morfina. Co za milutki narkotyk.

Uśmiechając się kompletnie bez powodu, Irene pozwoliła swoim powiekom opaść. Była zmęczona i chciała wrócić do domu.

Dom. Jej dom. I Vana.

Ale lekarze zatrzymali ją na noc. Z jej ubezpieczeniem zazwyczaj wyrzucali ją w ciągu kilku godzin, ale najwyraźniej teraz była Van Holtzem. A to oznaczało prywatny pokój i najlepszą opiekę. Oh, tak, mogłaby z łatwością przywyknąć do takiego traktowania.

Drzwi pokoju się otworzyły, ale Irene nawet nie kłopotowała się otwieraniem oczu. Kolejna pielęgniarka albo doktor, aby krążyć. Wszyscy krążyli, na to wyglądało.

- Jak się pani czuje, pani profesor?

Irene zmarszczyła brwi. Znała ten głos. Otworzyła oczy i spojrzała w górę na twarz swojego asystenta.

- Mark? Co ty tu robisz? - Obejrzała go. Nosił strój lekarza. Czemu?

- Chciałem zobaczyć co z panią. Musi pani wiedzieć, że robiłem co mogłem, aby ją przed panią chronić, profesor Conridge. Naprawdę.

Irene nie czekała aż powie coś jeszcze; po prostu zamachnęła się złamaną ręką w jego twarz, mając nadzieję, że gips złamie mu nos. W tym samym czasie chciała krzyknąć, ale ręka Marka zakryła jej usta, a igła, którą wbił jej w ramię zmieniła wszystko w ciemność.

\*\*\*\*\*

Z połową tuzina róż w ręku, Van pchnął drzwi szpitalne. Zmarszczył brwi, kiedy zobaczył pusty pokój.

- Irene? - Sprawdził łazienkę, ale ona też była pusta. Wyszedł z pokoju i wpadł na swoją siostrę.

- co się stało?

- Nie mam jej tu.

Van podszedł do recepcji. - Szukam Irene Conridge.

Pielęgniarka zdziwiła się. - Nie mam jej w pokoju?

- Czy stałbym tu, gdyby była?

- Proszę się uspokoić, panie Van Holtz. Jestem pewna, że gdzieś się tu kręci. - Wstała i wychyliła się przez ladę, skupiając się na pielęgniarce wychodzącej z jednego z pokoi. - Josie, zagłądałaś do Conridge?

Pielęgniarka przytaknęła. - Wzięli ją na rentgen.

Van poczuł warczenie z tyłu gardła. - Czemu? Już miała robione zdjęcia.

Jego siostra położyła dłoń na jego ramieniu. - Kto zabrał ją na rentgen?

Pielęgniarka wzruszyła ramionami, nawet trochę nie zmartwiona. - Musiał być nowym stażystą. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Jedyną rzeczą, jaka powstrzymała Vana przed skoczeniem obydwu pielęgniarkom do gardeł była ręka siostry na ramieniu i jej zimny głos w jego uchu.

- Nie tu. Nie teraz.

Van obrócił się na pięcie i odszedł. Kiedy tylko wyszedł na zewnątrz, kwiaty, które kupił dla Irene zostały rozgniecione o ścianę.

- Nie powinienem był jej zostawiać.

- Poszedłeś kupić kwiaty. - tłumaczyła jego siostra. - Jak długo nas nie było? Dziesięć minut?

- Nie powinienem był jej zostawiać. - powtórzył. - Musimy ją znaleźć.

- Czy myślisz, że mogliby znowu spróbować wywieźć ją z kraju?

- To koniec. - Van podszedł do automatu telefonicznego poza terenem szpitala. - Mam dość tego całego gówna.

- Czekaj. Co ty robisz?

- Jesteśmy Van Holtzami, do diabła. - warknął, wciskając monety do automatu. - Dziadek zawsze mówił, że trzymamy się razem w najgorszych czasach. Nawet jeśli gardzimy sobą nawzajem.



Oczy jego siostry zrobiły się okrągłe jak monety. - Chyba do niego nie dzwonisz? Postradałeś zmysły?  
Tata obedrze cię żywcem ze skóry.

- Tata wciąż liże rany. Mówimy o mojej partnerce. Oboje dobrze wiemy, że zrobiłbym wszystko, aby sprowadzić ją z powrotem...i to zrobię.

## Rozdział 12

Irene patrzyła w górę na sufit. Zauważyła wentylator kiedy tylko wrzucili ją do tego pokoju, krzyczącą i wrzeszczącą. Ale z ręką w gipsie - i bolącą jak cholera - nigdy nie będzie w stanie się tam wspiąć i wydostać stąd. Więc musiała wymyślić inne opcje. I tak zrobiła.

Przywieźli ją do ściśle tajnej bazy Sił Powietrznych. Gdzieś w Teksasie.

Powiedziałyby, że traktowali ją dobrze. Dobre jedzenie, wino, telewizja z kablówką i absurdalną ilością kanałów. Coś koło dwudziestu? Kto, zdrowy na umyśle, spędzałby czas przeskakując po dwudziestu programach?

Ale razem z całym tym dobrym jedzeniem i wszystkim innym, pojawiło się pytanie. Dużo pytań. Pytali czego chcieli Sowietci i cokolwiek to było, oni chcieli tego dla siebie. Tak jakby kiedykolwiek zaufała mężczyznom w tak poważnej sprawie. Oppenheimer<sup>7</sup> nigdy nie wybaczył sobie tego, co wypuścił na świat, ona nie podąży tą samą drogą.

A poza tym... tęskniła za Vanem. Ku swojemu przerażeniu. Tęskniła za innym człowiekiem. Co dalej? Zacznie płakać na reklamach z kotami i kupować ciasteczka od tych małych, faszystowskich harcerek? Którym, do dnia dzisiejszego, nigdy nie wybaczyła, że nie pozwoliły jej dołączyć do lokalnego zastępu. Suki.

Co gorsza, zastanawiała się, czy on za nią tęskni. Nikt nigdy tego wcześniej nie robił. Irene nie była typem kobiety, za którą ludzie tęsknili, jeśli nie było jej w pobliżu. Za to zazwyczaj czuli ulgę. Jej studenci w tym semestrze muszą być absolutnie wniebowzięci przez te wszystkie przypadki, kiedy jej nie było w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Cóż, nie ma się o co martwić. Wszystko przygotowane. A oni będą żałować dnia, w którym ich oczy na niej spoczęły.

Agent Harris wkroczył do pokoju niosąc dwie puszkę lodowatego napoju i uśmiechnął się do niej. Nienawidziła tego uśmiechu. Nie widziała nic tak sztucznego od czasu, kiedy Jackie i Paul przekonali ją, żeby poszła z nimi na obiad do Klubu Playboy.

- Proszę, profesor Conridge. - Postawił przed nią puszkę.

- Dziękuję.

- Wie pani, Niles Van Holtz jest dość zdeterminowany.

- Tak. Przekonałam się o tym.

- Właściwie, to skontaktowała się z prezydentem w pani sprawie.

Irene prychnęła. - Regan? On nie pomoże. Wciąż jest na mnie wkurzony za porównywanie jego i Hitlera, kiedy byłam zaproszona do Białego Domu.

Harris chrząknął i usiadł na skos od niej. - Dlaczego nie porozmawiamy trochę o Jenny Fairgrove?

- Jenny Fairgrove? - Irene mrugnęła. - Oh, tak. Chce zostać moją asystentką. Ale wątpię, żebyśmy miała ją tym uhonorować.

---

<sup>7</sup> Robert Oppenheimer – dyrektor naukowy Projektu Manhattan – pierwszych amerykańskich prób tworzenia broni atomowej

- A to czemu?

- Jest zuchwałą. Już tylko za to nie dałabym jej tej pracy.

- To wydaje się dosyć ostre.

- Albert Einstein mógłby się starać o posadę mojego asystenta, a gdyby był zuchwałą...jemu też nie dałabym tej pracy. Oczywiście, po tym, jak dowiedziałam się, że Mark pracował dla was cały ten czas, nie jestem pewna, czy zaufam komukolwiek. A jak ma się jego twarz?

Usta Harrisa zacisnęły się. - Złamała pani swoim gipsem jego kość policzkową.

Irene patrzyła na Harrisa, ale nie reagowała. W końcu, agent nie wytrzymał - I? Jak się pani z tym czuje?

Powoli pięciokrotnie mrugając, odpowiedziała stanowczo - Nic nie czuję. - Wzruszyła ramionami. - Jest to i dar i przekleństwo.

Irene zerknęła na małomównego agenta, Marshalla. - Czy myślisz, że mógłbyś przynieść mi coś na ból głowy? Aspiryna jest wszystkim, czego potrzebuję.

Krzepki agent spojrzał na Harrisa, który odpowiedział potakującym skinieniem. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi, a Irene skierowała swoją uwagę z powrotem na Harrisa, już zapomniawszy o zgruchotanej twarzy Marka.

- Więc czemu pytasz mnie o Jenny Fairgrove?

- Mamy informacje, że nie jest tym, za kogo się podaje.

Irene patrzyła na Harrisa, aż musiał usiąść w bardziej komfortowej pozycji.

- Coś nie tak, pani profesor?

- Masz skandynawskie korzenie.

- Uh...tak, mam.

- Tak. Mogę to wywnioskować ze struktury twoich kości. - Nagle walnęła go pięścią w nos, kierując cios tak, żeby zemdlął, ale żeby go nie zabić.

Irene uklękła przy jego odwróconym twarzą do ziemi ciele i zaczęła grzebać w jego kieszeniach, aż znalazła klucze.

- Mam was.

- Mówił, że jesteś zawzięta.

Z westchnieniem, Irene złapała klucze w dłoń i zerknęła przez ramię.

- Doktor Conridge? - zapytał.

- Tak.

Wskazał na nią. - Chodź. - Wyciągnął do niej rękę. - Podnieśmy cię.

Naprawdę wielkie ręce zaskakująco delikatnie chwyciły jej ramiona i podniosły ją na nogi.

- Ty jesteś...?

- Wszystko, co musisz wiedzieć, to to, że jestem z rodziny. - Poklepał ją po głowie i doznała przejmującej chęci uderzenia go w jądra. Co oznaczało tylko jedno...

- Musisz być Van Holtzem.

Uśmiechnął się. - Możesz na mnie mówić wujek Edgar. - popchnął ją w kierunku drzwi. - Przepraszam, że nie dotarłem tu wcześniej. Byłem w Bogocie.

- Czemu?

- Czyż nie jesteś słodka - było chyba jedyną odpowiedzią. - A teraz, dostarczymy cię z powrotem, zanim mój bratanek skieruje całą sforę i rząd Stanów Zjednoczonych przeciwko sobie.

Irene westchnęła. - Naprawdę, szkoda, że nie wiedziałam, że się pojawisz.

Wujek Edgar, który był nieludzko masywnym facetem, spojrzał w dół na nią, jego oczy się zwęziły. Wyglądał dokładnie jak Holtz. - Czemu? - Ale wyglądał, jakby nie chciał znać odpowiedzi.

Niestety, tak czy siak dostał odpowiedź trzydzieści sekund później, kiedy wschodnia część bazy eksplodowała.

Zanim mógł cokolwiek powiedzieć, Irene wytłumaczyła - Nie martw się. Wybrałam część bazy, którą zamknęli. Ale i tak rozwali... - Światła zamigotały i zgasły, zostawiając ich w kompletnej ciemności. - ...elektrykę.

- Dobrze, że umiem widzieć w ciemnościach, co? - Złapał jej ramię. - Chodźmy.

- Co z Harrisem?

- Nie martw się o niego. Nie będzie cię znów niepokoił.

- Oh? - Nie potrzebowała światła, żeby się oświecić.

- Nie. Nie. Nie zabiję go. Ale mógłbym. I twój partner prawdopodobnie chce, żebym to zrobił. - Poprowadził ją do holu, w którym panowały egipskie ciemności i pozwoliła mu się prowadzić, bo tak naprawdę nie miała wyboru.

- Jesteś z CIA, prawda?

- Czyż nie jesteś słodka. - powiedział znów.

- Tak. Jestem dojmująco urocza. - Wyprowadził ją na zewnątrz, strażacy pędzili, aby ugasić strategiczny pożar, który zaplanowała. - Czy były kiedykolwiek czasy, kiedy mężczyźni Van Holtz nie byli nadęci? - zapytała, nie będąc w stanie powstrzymać się od uśmiechu.

- Nie od czasów przed Chrystusem.

\*\*\*\*\*

Van wtargnął do domu Van Holtzów i obserwował, jak wszyscy członkowie sfory, poza jego rodzicami, znikają. Nawet jego siostra złapała swojego partnera za rękę i wyciągnęła z pokoju.

- No więc? - prychnął. - Jakież wieści od Edgara?

- Nie. - jego ojciec odpowiedział spokojnie, przekręcając stronę swojego Wall Street Journal. Rany staruszka w całości się wyleczyły, zabookowana sześciomiesięczna wycieczka po Europie i kłopotliwe dźwięki dochodzące zza drzwi ich sypialni, sugerują, że Staruszek Holtz świetnie się czuje na emeryturze.

- Więc koniec z czekaniem.

- I co zrobisz, synu? - zapytała jego matka, pracując nad swoim gobelinem.

- Coś! - ryknął. - To już jest więcej niż którekolwiek z was robi. Mojej partnerki nie ma i nikogo to nie obchodzi!

- Oczywiście, że nas to obchodzi. - jego matka delikatnie wyjaśniła.

Bojąc się, że powie coś, co bezpowrotnie uszkodzi jego kochającą więź z rodzicami, Van obrócił się, wspiął na schody i skierował do jego pokoju. Otwierając drzwi, zerwał z siebie marynarkę i rzucił ją przez pokój, kierując się do telefonu. Podniósł słuchawkę, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał dźwięki, które uznał za denerwujące i radosne w tym samym czasie.

Stukanie i piski.

Van rzucił słuchawkę na widełki i wyszedł ze swojego pokoju, przeszedł na drugą stronę korytarza. Pchnął drzwi, ignorując wyszczerbienia na niezliczone kable i przewody.

I siedziała tam. Przy swoim komputerze, podłączając coś, czego nawet nie chciałby zrozumieć.

Słyszał, jak cicho przeklina, zdenerwowana, że palce jej prawej ręki nie poruszają się tak szybko, jak by chciała. I wyczuł, że też trochę ją bołą, kiedy wciąż je zgina i wykrzywia.

Van dał sobie chwilę na cieszenie się z widoku jej tu...bezpiecznej. Gdzie należała.

Znów zakłęta i obróciła się w krzesło bokiem, zginając palce i morderczym wzrokiem patrząc na swój bezbronny gips.

- Nawet nie myśl o zdjęciu tego gipsu, Doktoreczko.

Irene poderwała głowę i posłała mu uśmiech pełen ulgi...kilka sekund później wyskoczyła z krzesła i rzuciła mu się w ramiona.

Van trzymał Irene blisko przy sobie, ulga, jaką poczuł mając ją znów w swoich ramionach, prawie powaliła go na kolana.

- Myślałam już, że nigdy nie dotrzesz do domu. - powiedziała przy jego szyi.

- Ja? - zaśmiał się. - Prawie się pochorowałem ze zmartwienia.

- Wiń rząd. Chcieli mojego związku.

- Złamali cię?

Jej prychnięcie było uosobieniem arogancji. - Nie w tym życiu. Ale...

- Ale?

- Żałuję, że nie wiedziałam, że twój wujek nadchodzi. Byli naprawdę zmartwieni z powodu uszkodzeń.

Nie chcąc jej wypuścić, Van odsunął się wystarczająco, by widzieć jej twarz. - Uszkodzeń?

- Z powodu wybuchu. - odpowiedziała prosto.

- Nie chcę tego słyszeć, prawda?

- Prawdopodobnie nie. Poza tym, twój wujek powiedział, że się tym zajmie.

- To wystarczy. - Van podniósł ją i zaniósł z powrotem do ich sypialni, zatrzasnął drzwi stopą.

Położył ją na łóżku, wyciągając się obok niej. - Tęskniłem za tobą, Doktoreczko.

- Ja za tobą też.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund, potem oboje smutno westchnęli.

- Co my sobie zrobiliśmy? - zapytał Van.

- Nie mam pojęcia. Byłam taka szczęśliwa nie dbając o nikogo. A teraz mam wszystkie te...te...emocje. I to wszystko twoja wina!

- Moja wina? - Van zaczął ściągać jej ubrania. - Jestem samcem Alfa Sfory Van Holtz. To magnes na kobiety, Doktoreczko. Powinienem być po kolana w cipkach. Zamiast tego jestem do szaleństwa zakochany w tobie. I nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie.

- A co ze mną? - odpowiedziała, podnosząc się, żeby mógł zdjąć jej koszulkę, zanim złapała za jego bluzę i podniosła ją. - Moje życie było zorganizowane i pod kontrolą. Ja byłam pod kontrolą. Teraz wszystko, o czym mogę myśleć, to seks z tobą. Najbardziej irytującą ludzką istotą, jaką kiedykolwiek znałam.

- Tak jakbyś ty była promyczkiem cholernego słońca? Wujek Verner wciąż próbuje dojść do siebie po tej grze w Ryzyko.

- Jeśli nie możesz poradzić sobie z dominacją nad światem, nie podnoś kostki.

Van stał na końcu łóżka i ściągał jej dzinsy. - Oh, to bardzo miły sposób mówienia o własnej rodzinie.

- Rodzinie? Kiedy oni stali się moją rodziną?

- Kiedy tylko zgodziłaś się za mnie wyjść.

- Nigdy nie zgodziłam się za ciebie wyjść.

- Tak, zgodziłaś się. Po prostu nie pamiętasz.

Irene uklękła i rozpięła jego spodnie. - Holtz, mam pamięć, o której komputery tylko marzą.

- Nie przechwalaj się, kochanie. Bo ci tak zostanie. - Palce jej prawej dłoni nie chciały współpracować, więc pomógł jej rozpiąć jego dżinsy i zsunąć je, potem kopnął je, buty i skarpetki na bok. Popchnął ją z powrotem na łóżko, wgniatając ją w materac swoją wagą. - Pobierzemy się. Pogódź się z tym.

- Dobra. Ale nie zmienię nazwiska.

- Okej. Ale będziemy mieli wesele.

Wydała z siebie dźwięk, który jawnie wskazywał na obrzydzenie.

- Nie chcę tego słyszeć, Doktoreczko. Mam dużą rodzinę. Będziemy mieli wesele. Za rok od teraz, zdecydowałem.

- Cóż, nie mam czasu siedzieć i zamartwiać się o serwetki, czy mają być z imionami, czy jednak bez i o kwiaty, czy coś tam.

- Poradzę sobie z tym wszystkim.

- Tak. Poradzisz. - Podniosła prawą rękę, tę z gipsem, nad głowę i lewą otoczyła jego szyję. – A teraz. Musiałam pozostać bez stosunku płciowego...

- Pieprzenia.

- ...pieprzenia, przez cztery dni. Bierz się do roboty. Masz dużo do nadrobienia.

\*\*\*\*\*

Ponieważ miała drukarkę włączoną non-stop przez czterdzieści minut, nie słyszała nic. Potem Jackie uderzyła ją w ramię.

Zaskoczona, obróciła się na krześle. - Co? - Patrzyła w zamyśleniu na swoją przyjaciółkę. - Co to za sukienka?

Jakie spojrzała w dół na białą suknię, którą trzymała w dłoniach i z powrotem na Irene. - To dla ciebie.

- Zapomnij. Nie idę dzisiaj na żadne kolacje. - Znów skierowała twarz na komputer. - Holtz zrozumie.

- Nie, tym razem nie.

- Poza tym, - dodała Irene - nigdy nie włożyłabym bieli na kolację charytatywną.

- Irene Danielle Conridge!

Obejrzała się przez ramię - Co? Co zrobiłam?

- Najwyraźniej zapomniałaś o własnym ślubie.

Irene przewróciła oczami. - Nie ma mowy. To dopiero za rok.

- Minął rok.

- Nawet tego nie próbuj. Ślub jest dopiero w październiku.

- Jest październik.

- Październik, w roku 1985.

- Jest rok 1985.

Palce Irene zastygły nad klawiaturą. - Ale nie dziewiętnasty, na pewno.

- Tak Irene. Jest sobota, dziewiętnasty października, 1985 roku.

- Ale nie godzina ósma.

- Nie.

Irene wypuściła oddech.

- Jest siódma czterdzieści pięć...po południu.

- Cholera! - Irene wstała, obracając się do swojej przyjaciółki. - Dlaczego nikt mi nie powiedział?

- Mówiliśmy ci. Nie zauważyłaś dekoracji, ludzi przychodzących i wychodzących...przymierzania sukni? Albo tego, że weszłam tu godzinę temu i powiedziałam ci, że musisz się ubrać na ślub?

Wzruszyła ramionami. - Nie do końca.

Oczy Jackie się zamknęły. - Powiedz mi kiedy ostatni raz brałaś prysznic.

- Uh...wczoraj.

- Oh! - Jackie wybiegła na korytarz. - Potrzebuję wilczyc! Mamy alarm.

- Czy czasem nie rozdmuchujesz tego na zbyt wielką....

- Zamknij się!

Spojrzała na już widoczny brzuch Jackie i sarknęła - Jestem taka szczęśliwa, że ty i Paul postanowiliście się rozmnażać.

- Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabiła. Bo to zrobię.

Przez następne trzydzieści minut, wilczyce i jeden szakal poddawały Irene litanii fizycznych zabiegów, wliczając prysznic, ułożenie jej niesfornych włosów w zabójczo ciasny koczek, nałożenie jej na twarz czegoś, co uważała za bezużyteczny makijaż, i wbicie jej w białą, dopasowaną suknię, której nigdy by dla siebie nie kupiła.

Stojąc za zamkniętymi drzwiami, prowadzącymi do sali balowej i czekających pana młodego i gości, Irene zerknęła w dół, na bransoletkę, którą Carrie zakładała na jej rękę, podczas gdy Jackie zakładała pasujący naszyjnik na jej szyję.

- To miłe.

- Van to dla ciebie zdobył. - powiedziała Carrie wydając rozdrażnione westchnienie. - Nie pamiętasz?



- Czy to było tego dnia, kiedy kupił mi Zenith Z-171 PC<sup>8</sup>?

Jackie roześmiała się i powiedziała - Wisisz mi dwadzieścia dolców, Van Holtz. Mówiłam, że bardziej spodobają jej się komputery, niż warta czterdzieści tysięcy biżuteria, którą twój brat jej kupił.

- Co może zrobić biżuteria? Zdajesz sobie sprawę, że ten pecet jest przenośny? I ma podświetlany ekran zasilany baterią!

- Nie wiem, dlaczego on w ogóle zawraca sobie tym głowę. - mruzczała Carrie, zanim odsunęła się kilka kroków i obejrzała Irene od stóp do głów. Wzruszyła ramionami. - Myślę, że tylko tyle dało się zrobić.

- Jej, dzięki.

- Nie słuchaj jej. - Jackie wcisnęła jej w ręce mały bukiet czerwonych róż i gipsówki<sup>9</sup> - Wyglądasz wspaniale.

Kwartet smyczkowy zaczął grać i wilczyce ruszyły do sali balowej wolnym krokiem.

- To taka strata czasu.

- Irene, weź się w garść.

- Mam rzeczy do zrobienia!

- Co? A ja nie? A teraz przestań jęczeć i za dziesięć sekund idź za mną tą nawą, albo, dopomóż mi Boże, skopię ten twój liliowo biały tyłek!

Jackie obróciła się i obie zamarły, zdając sobie sprawę, że miały na sobie skupioną uwagę wszystkich gości.

Sztucznie się uśmiechając, Jackie wyszeptwała - Oberwie ci się za to później.

A potem jej nie było, schodziła powoli nawą, kiedy Irene niecierpliwie i szybko policzyła do dziesięciu. Podążyła za przyjaciółką i parę razy prawie ją minęła. Za trzecim razem, Jackie uderzyła ją łokciem w brzuch, co skutecznie spowolniło Irene.

Kiedy w końcu dotarła do boku Holtza, łzy leciały mu po policzkach, ale wiedziała, że to nie przez piękno chwili.

- Przestań się ze mnie śmiać. - wyszeptwała.

- Czy mogłabyś wyglądać na jeszcze bardziej wkurzoną? - Zaśmiał się, trzymając opuszczoną głowę, kiedy ksiądz, wielebny, czy ktoś tam, brzęczał na temat tego po cholere się tu zebrali.

- Są miriady rzeczy, które mogłabym teraz robić. Przydatnych, zmieniających życie rzeczy. To jest strata czasu.

- Przepraszam? - Ksiądz/wielebny/ktoś tam sarknął. - Czy pozwolisz?

- Przepraszam, - powiedziała Irene i dodała - ale proszę bardzo, zwiększaj tempo jeśli chcesz.

---

<sup>8</sup> Zenith Z-171 PC – model komputera przenośnego

<sup>9</sup> gipsówka – inaczej Łyszczec, roślina o drobnych, białych kwiatach; często używana przy bukietach

Co wydobyło z Holtza parsknięcie.

Wytrzymała dobre pięć minut, zanim jej stopa zaczęła stukać.

- Przestań. - Holtz warknął, ale i tak była przekonana, że wciąż się śmieje.

- Nudzę się. - odszepnęła. - Jeszcze trochę i zacznę rozbierać rzeczy na części. A wiesz jak bardzo nie cierpisz kiedy to robię.

- Skoro już jesteśmy w temacie, to co się stało z moim Mercedesem?

- O czym ty mówisz?

- Wróciłem wczoraj do domu i nie było tam nic, poza spalonym metalem.

- A. To. Tak, chciałam zobaczyć jak pracują silniki. Odeszła na chwilę, żeby wziąć szklanę soku pomarańczowego i kiedy wróciłam...bum.

- Bum?

Książdz/wielebny/ktoś tam chrząknął.

- Przepraszam. - mruknął Holtz.

Kilka zdań o zobowiązaniu i miłości później, Holtz burknął pod nosem - Co masz na myśli mówiąc 'bum'?

- Chciałam tylko sprawdzić, czy mogę z niego wycisnąć większą prędkość.

- Jak dużą?

Wzruszyła ramionami. - Nie wiem. Zastanawiałam się nad tym pomysłem podróżowania z jednego kraju do innego samochodem. Pomyślałam, że gdyby był wystarczająco szybki, mógłby działać jak hydroplan<sup>10</sup>.

- Dobra, wystarczy tego. Trzymaj się z daleka od moich samochodów.

- Ale masz ich tak dużo.

- Nie o to chodzi!

- Przepraszam! - książdz/wielebny/ktoś tam przerwał. - To jest doniosła i uświęcona wiekami ceremonia, więc czy wasza dwójka mogłaby zachowywać się jak na takiej i zamknąć się do świętej anielki?

Wkurzona, Irene postukała w miejsce na jej nadgarstku, w którym byłby jej zegarek, gdyby te wredne wilczyce nie zabrały jej go. - Albo, mógłbyś to przyspieszyć. Mam rzeczy do zrobienia i twój chaotyczny wykład mnie nudzi!

- Dobra! - książdz/wielebny/ktoś tam krzyknął. - Bierzesz? - zapytał Holtz.

- No!

---

<sup>10</sup> hydroplan –samolot, który może unosić się na wodzie

- A ty?

- Tak, tak.

- Obrączki?

- Tutaj. - Holtz umieścił obrączkę z białego złota obok sporego diamentu, który koniecznie chciał jej kupić.

- Dobra. Jesteście małżeństwem.

- Widzisz? - zapytała słodko Irene, żeby zagrać na nerwach. - To nie było takie trudne, prawda?

Przez chwilę naprawdę pomyślała, że ten mężczyzna może ją uderzyć.

\*\*\*\*\*

Van patrzył jak Irene chodzi po sali. Jak na kogoś niewiarygodnie słabego w zwykłych, ludzkich relacjach, naprawdę zadziwiła go, kiedy przychodziło do prób znalezienia darczyńcy, który dokonałby donacji dla uniwersytetu. Nie chciał, żeby pracowała, ale wiedział, że musi coś zrobić. Podczas jednego z toastów zauważył, że zabrała mu zegarek i zdjęła jego tył. Zegarek za dwadzieścia tysięcy, a ona go rozkłada.

Cóż, przynajmniej, kiedy dostała zadanie, uspokoiła się. I wyglądała absolutnie prześlicznie. Szczególnie, kiedy rozpuściła włosy z tego koka. Zbłąkane włosy wciąż wychodziły i w końcu poszła do łazienki i wyjęła wszystkie szpilki. Ale dokonał dobrego wyboru w kwestii sukienki, kiedy ona nie mogła sama jej wybrać poza stwierdzeniem "Nic bufiastego jak to, co nosiła Księżna Diana."

Powinien być wkurzony. Ale nie był. Kochał to, że Irene potrafiła mieć w dupie ich wesele. Bo ostatecznie to nie ma znaczenia. Z lub bez kawałka papieru, byli razem na całe życie. Nikt inny nie był dla niego tak idealny, jak ta oślepiająco genialna kobieta.

Irene podeszła do niego, ale zanim mogła opaść na jedno z krzeseł, pociągnął ją na swoje kolana.

- Wszystko w porządku?

- Tak. Mikolev Thornapple - prawdziwe nazwisko, zauważ - właśnie obiecał dziesięć tysięcy na sekcję naukową. - Spojrzała na niego. - Jedziemy na miesiąc miodowy?

- No. Zaraz po tym jak tu skończymy.

- Gdzie?

- Na Arubę.

Musiał ugryźć się w język, kiedy zmarszczyła brwi.

- Bo mój wielki tyłek wygląda tak dobrze w słońcu?

Śmiejąc się, Van uszczypnął jej ramię. - Szwajcaria, Niemcy, Norwegia, Szkocja. Będziemy się zatrzymywać w uroczych zamkach i pensjonatach<sup>11</sup>. Przy wszystkich, niedaleko, będą bardzo stare, bardzo interesujące biblioteki.

- Nie masz nic przeciwko temu, że będę przesiadywać w dusznych, starych bibliotekach godzinami?

- Nie, jeśli obiecasz, że opowiesz mi wszystkie ciekawe rzeczy, których się dowiedziałeś...i zapewnisz regularny seks.

- To obietnica, której mogę dotrzymać.

- Tak myślałem.

Nagle Irene delikatnie objęła jego twarz dłońmi i pocałowała go. - Jak wiesz lub nie - powiedziała przy jego ustach. - prawie czterdzieści jeden procent małżeństw w tym kraju kończy się rozwodem. Ale czuję, że pobijemy tych dziwaków głównie dlatego, że jesteśmy ekscentryczni i niestabilni wystarczająco, żeby to działało. Szczególnie z twoim unikatowym łańcuchem DNA i moim mniej niż entuzjastycznym zainteresowaniem legalnymi procesami wszelkiego rodzaju.

- Irene, złotousta, czy to jest twój sposób na powiedzenie, że jesteśmy dla siebie idealni?

- Tak. Czy ja mówię niewyraźnie? Poza tym, kochamy się nawzajem, a to najważniejsze. Bo, serio, czym jest ideał? Co to zn...

I Van pocałował ją, zanim pogrążyła się w kontemplacjach, zadowolony zastanawiał się, jak to się stało, że mu się tak poszczęściło.

---

<sup>11</sup> B&B – Bedandbreakfast – typ zakwaterowania, popularny w krajach anglojęzycznych, nie ma odpowiednika w Polsce, więc został pensjonat

## Epilog

Dwadzieścia lat później...

Irene machała i zmuszała się do uśmiechu, aż ostatni SUV zniknął jej z oczu. Potem wtargnęła do domu, zatrzaszkując za sobą drzwi.

Holtz sięgnął po nią. - Doktoreczko...

- Ani słowa! - warknęła i popędziła schodami, prosto do pokoju córki. Praktycznie kopnęła drzwi, a ta mała źmija nawet nie odwróciła wzroku od swojego peceta. Nie, nie tak. Jej komputera firmy Apple. Oh, hańba!

- Jak mogłaś!

W końcu oderwała wzrok od tego, nad czym pracowała, Ulva Van Holtz obróciła się na krześle, by spojrzeć w twarz swojej matki. - Co jak mogłam?

- Dlaczego powiedziałaś jej, że jest w ciąży?

Ulva zamrugła w zdziwieniu. - Ponieważ jest w ciąży.

- Nie o to chodzi.

- Nie jestem pewna o co chodzi.

- Nie możesz po prostu mówić tego, co ci przyjdzie na myśl. I przestań mówić moim uczniom, że znalazłaś błędy w ich pracach dyplomowych.

- Ale ty mówisz to, co przyjdzie ci na myśl.

- Nie o to chodzi.

- Więc, myślę, że nie jest dla mnie jasne o co ci chodzi. I znalazłam błędy. Właściwie, powinna przemyśleć całe ostatnie dziesięć rozdziałów.

Irene zbliżyła się do swojej córki, rozmyślając nad możliwością złamania jej karku, ale dwie kobiety przestały się kłócić, kiedy mężczyźni Van Holtz pojawili się na widoku. Holtz trzymał obydwu ich synów w ramionach - do góry nogami.

- Co wy trzej robicie?

- Nic - odpowiedzieli unisono, co oznaczało "coś".

- Tata mówi, że możemy jechać do cioci Jack i wujka Paula. - Jej syn powiedział to ze swoim najśłodszy uśmiechem. Nawet nie dwunastolatek, a już łamacz serc.

- Oh, tak powiedział, co?

- Już dzwoniłem - przyznał Holtz. - Powiedzieli, że bardzo chętnie będą ich mieć u siebie.

- Cóż, z ich dziesiątką tysięcy dzieci, co znaczą trzy kolejne?

- Ja nie jadę. - powiedziała Ulva z arogancją, która skrajnie irytowała Irene.

- Tak. Pojedziesz. Albo nie zagrasz w Warcrafta<sup>12</sup> aż do dnia Sądu Ostatecznego. Zrozumiałaś?

- Dobra. I tak wolę towarzystwo ciotki Jackie niż jakiegokolwiek, które tu znajduję. - A potem Ulva obróciła się z powrotem do swojego komputera, efektywnie ją odprawiając.

Irene ruszyła, by ją udusić, ale Holtz złapał jej ręce i wyciągnął ją z pokoju.

- Pakuj plecaki na kilka dni. Kierowca będzie czekał za dziesięć minut.

- Ta dziewczyna doprowadza mnie do szału! - Warknęła Irene po zatrzasknięciu drzwi.

- Nie chciała komplikować tego twoim studentom.

Irene machnęła na to ręką i zaczęła zbierać pranie. - Miałam na myśli, widziałeś tego biednego chłopca? Ma jakieś dziewięć stóp wzrostu, dwa tysiące funtów i wyglądał na kompletnie przerażonego.

Holtz wyciągnął się na łóżku. - Nie był przerażony. Po prostu wiedział, że to będzie bolesna droga do domu.

- Możesz zetrzeć ten uśmieszek z twarzy, Van Holtz. - Postawiła koszyk na pranie koło łóżka i przykucnęła obok niego, aby odnaleźć jego skarpetki. - Widziałam te spojrzenia między wami dwoma. I jak udało ci się rzucić te skarpetki aż tutaj? - Klęknęła i sięgnęła pod łóżko.

- Wybacz, kochanie.

- Jesteś taki rygorystyczny w sprawie nieporządku w twojej cennej kuchni, ale twoje cholerne skarpetki...

- Wiem. Jestem taki niechlujny. Nie wiem o czym ja myślę.

Ze skarpetkami w dłoni, Irene usiadła, mrugając, kiedy znalazła się twarzą w twarz z Holtzem. - Co ty robisz?

- Nic.

- Nadal uważam, że wrzucasz te skarpetki pod łóżko tylko po to, żebyś mógł pogapić się na mój tyłek.

- Doktor Conridge! Co za okropne rzeczy mówisz. - I wyszczerzył się w ten sposób. Ten sam uśmiech, który, nawet po tylu latach, rzucał ją na jej przysłowiowe kolana.

Oczywiście, fakt, że wciąż chciał patrzeć na jej tyłek zadziwił ją jak odkrycie uranu. I to był jeden z powodów, dla których nie pozwalała ekipie sprzątającej dotykać ich prania.

- I przestań opowiadać ludziom, że podpaliłam twój samochód i cię dźgnęłam. Widziałeś twarz tego biednego chłopca?

- Ale zrobiłaś te rzeczy.

- To były wypadki. - warknęła.

---

<sup>12</sup> World of Warcraft – gra MMORPG

- Ty tak twierdzisz. A Conall Viga-Feilan nie jest chłopcem. Ale nigdy się nie dowiem, dlaczego uwikłał się w związek z karzełkiem.

- Miki Kendrick nie jest karzełkiem. I jest z nią, bo ona jest genialna i groźnie niestabilna.

- Jak ty?

- Nie jestem groźnie niestabilna. Te testy to potwierdzą. - gderiała.

Śmiejąc się, Van złapał Irene za ramię i wciągnął ją na łóżko. Przyszpilił ją do materaca, ręce nad jej głową. - Mam pomysł, Doktoreczko.

- Co?

- Kiedy tylko pozbędziemy się dzieciaków, spędzimy kolejne czterdzieści osiem godzin kompletnie nadzy.

- Zachowujesz się, jakby tylko dzieci mieszkały w tym domu.

- Uwierz mi. Sfora znajdzie sobie inne miejsca na terenie, w których może zostać na weekend.

- Ludożerca<sup>13</sup>.

- Kiedy w grę wchodzi ta cipka, masz cholerną rację.

Westchnęła zamyślona. - Zdziwiał mnie jak ten typ rozmów może mnie seksualnie pobudzać.

Holtz pochylił się i uszczypnął jej piersi. - Zdziwiał mnie, że uważam ciebie, mówiąc to, za cholernie gorącą.

Plecy Irene wygięły się, kiedy ssał jej sutek przez koszulkę i koronkę stanika.

- Może masz urojenia. - jęknęła.

- Nie. Po prostu kocham wiedzieć, że ta cipka należy do mnie i nikogo więcej. Bo tak jest, prawda, Doktoreczko?

- Na to wygląda. Uważam wszystkich innych mężczyzn za odpychających.

- I lepiej niech tak zostanie. - dokuczał jej, uśmiechając się, jego broda była oparta na jej obojczyku. - Nie dzielę się tym, co moje.

Zatapiając dłonie w jego włosach, Irene ciągnęła go, aż ich twarze były na tym samym poziomie. - Wilki. - I posłała mu ten uśmiech, którego nikt poza nim nie widział. - Tak cholernie wymagające.

- Geniusze - westchnął - tak cholernie gorące.

---

<sup>13</sup> W oryginale: *ogre*. Da się to przetłumaczyć na *wilkołak* i *ludojad*, w tekście chodzi właśnie o podwójne znaczenie, ale nie ma polskiego odpowiednika, więc zdecydowałam się na prostsze rozwiązanie.